



Marcin Kiszela

OSTATNI PROROK

 **GENIUS
CREATIONS**

Marcin Kiszela

Ostatni

Prorok

Spis treści

- [1994-1999](#)
 - [13](#)
 - [12](#)
 - [11](#)
 - [10](#)
 - [9](#)
 - [8](#)
 - [7](#)
 - [6](#)
 - [5](#)
 - [4](#)
 - [3](#)
 - [2](#)
 - [1](#)
- [2022](#)
 - [Damian i Agata](#)
 - [Ksawery](#)
 - [Agata](#)
 - [Ksawery](#)
 - [Damian, Agata, Ksawery](#)
 - [Ksawery](#)
 - [Damian](#)
 - [Damian, Agata, Ksawery](#)
 - [Damian](#)
- [2023](#)
 - [Damian](#)
 - [Agata](#)
 - [Damian](#)
 - [Ksawery](#)

- [Agata](#)
- [Damian](#)
- [Ksawery](#)
- [Damian](#)
- [Agata](#)
- [Ksawery](#)
- [Agata](#)
- [Ksawery](#)
- [Damian](#)
- [Agata](#)
- [Damian](#)
- [Ksawery](#)
- [Agata](#)
- [Ksawery](#)
- [Damian](#)
- [Ksawery](#)
- [Agata](#)
- [Ksawery](#)
- [Damian](#)
- [Ksawery](#)
- [2031-∞](#)
 - [Damian](#)
 - [Agata](#)
 - [Dziecko](#)

1994-1999

Pull me out of the aircrash,
Pull me out of the lake,
'Cause I'm your superhero,
we are standing on the edge.
Thom Yorke

13

Znam tę historię aż za dobrze, mimo że nie jest moja.

I gdyby teraz, po latach, ktoś spytał, co jest dla mnie najtrudniejsze, powiedziałbym: to, że jestem blisko, ale nigdy nie mam na nic wpływu, że widzę, słyszę i czuję wszystko, ale to są wyłącznie pożyczone obrazy, dźwięki i emocje.

Jestem całkiem sam i mogę się odnosić jedynie do przeszłości, dlatego najłatwiej mi będzie opowiadać za pomocą przeczeń, określać siebie przez to, co mi się nie przydarzyło.

Chociaż obecnie czas stracił znaczenie, postaram się zachować chronologię. Zaczynając od tego, jak się nie urodziłem.

12

Nie urodziłem się tamtej jesieni, w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, w kraju zwanym Polską. Wtedy na świat przyszedł Damian, zakładałam więc, że ten szczegół jest dla moich losów istotny.

Po raz pierwszy zobaczę Damiana w listopadzie roku 1994. Damian będzie miał wtedy siedem lat, co dla mnie jest bardzo abstrakcyjne, bo w mojej epoce czas płynie tak, jak chcę, sam go w końcu kontroluję. Mogę jutro mieć pięćdziesiąt lat albo sto, jeśli tylko zacznę się bawić opcjami chrono.

Tamten świat jest w moim zasięgu tylko od tego właśnie momentu, reszta przeszłości pozostaje mglista, trawiona przez zakłócenia. Wyłoniłem się znikąd w ciemny i wietrzny wieczór siódmych urodzin Damiana. Bagaż moich doświadczeń był zupełnie pusty, to Damian i jego przyjaciele napełnili go skrawkami własnych wspomnień, z których te właśnie zapisały się najwyraźniej.

Pojawiłem się nagle i bez zapowiedzi. Kim właściwie jestem? Nie duchem, to na pewno, duchów nie ma nawet teraz, gdy widzialne i niewidzialne, żywe i umarłe są obok siebie, jak ja i Damian.

Czym jestem?

*

Pamiętam dokładnie tamtą chwilę: ciemność przejścia i nagły błysk, jakby piorun rozszczepił się we mnie. Otworzyłem oczy, jednostajny pomruk w głowie brzmiał jak echo nawałnic. Krzyknąłem, nikt mnie nie usłyszał. Przestrzeń wokół nie była już tylko szumem zakłóceń, słyszałem słowa, przeistaczające się w ciała, widziałem ich kształty, czułem, jak nabierają ciężaru.

Wszystkie rzeczy wokół wydawały się nowe, ale z każdym mrugnięciem stawały się wyraźniejsze, bardziej trwałe i namacalne, choć tym samym

nieosiągalne dla mnie.

Wtedy zobaczyłem go po raz pierwszy: na prostokątnym żółtozielonym dywanie siedział zapłakany siedmiolatek, który wypowiedział pierwsze zdanie, jakie usłyszałem:

– Musisz mi pomóc.

Mówił do mnie? Zdawał sobie sprawę z tego, że tam jestem? Na pewno wyczuł czyjąś obecność, nie wiedząc nawet, że od jego świata i czasu odgradza mnie przepaść tylu dekad.

Chciałem mu pomóc, ale nie byłem w stanie – ani wtedy, ani tym bardziej teraz.

Czułem to wszystko jednocześnie, jakbym był tym chłopcem i zarazem patrzył na niego z boku: łyzy na policzkach, nos zatkany katarem, ucisk w obolałym od łkania gardle, sztywne włókna dywanu pod opuszkami palców, nacisk posiniaczonych kolan na podłogę.

Ciemnożółte światło lampy sprawiło, że widziałem tę scenę jak archiwalny film puszczony z filtrem sepii. Chłopak był blady, ale ten przytłumiony blask sprawiał, że on i wszystko wokół przypominało odlew z wosku, wróżbę zastygłą w piwnicach pamięci.

Stało się coś złego i być może dlatego w umyśle Damiana to właśnie wspomnienie figurowało jako pierwsze.

– Ja nie chciałem...

Przed chłopcem leżała roztrzaskana zabawka. To była przywieziona z Niemiec plastikowa planeta. Na jej powierzchni stał barczysty władca w koronie z kości, naramiennikach z czaszek, obdarzony groźnym spojrzeniem oczu odlanych w sztucznej masie. Zabawka wydawała się wytrzymała, pozory były jednak dalekie od prawdy.

Damian kilka minut wcześniej wspiął się na stolik. W wysoko uniesionej dłoni trzymał planetę i jej niepodzielnego władcę. Kierował go w stronę nieba, którym w wyobraźni dziecka stał się sufit pożółkły od papierosowego dymu i trupiego blasku lampy. Planeta dryfowała w ciasnej przestrzeni małego pokoju, a chłopiec wydawał dźwięki brzmiące jak: szuuuu, szuuuu, szuuuu; bo nie wiedział, że w kosmosie nie słychać ani śpiewu planet, ani

ludzkich wrzasków. W kosmosie każdy jest tak nieważki i bezdźwięczny jak ja.

Potem zachwiał się i spadł.

Trzasnęło, grymas przeszył twarz.

Obojczyk pękł, zabawka tak samo.

Beznogi władca przeturlał się po dywanie, już na wieki oderwany od swego królestwa.

Rozłupana planeta, z dwoma kikutami plastikowych łydek, w środku okazała się zupełnie czarna.

Chłopiec prawie nie czuł bólu. Tylko trochę go zemdliło. Za bardzo się zdenerwował, by móc rozczulać się nad sobą.

Ja za to wyobraziłem sobie, że wyraźnie czuję jego ból, bo to właśnie jest moja rola. Zamierzałem dzielić z Damianem wszystko, rozpoławiać każdą chwilę na dwa symetryczne momenty.

Dostał tę zabawkę zaledwie parę godzin wcześniej. Wtedy jeszcze kręciło go w nosie od dymu z siedmiu zdmuchniętych na trzy raty świeczek. Ostry kawałek tortowej bezy wciąż tkwił w podniebieniu chłopca, raz po raz kłując język. Rodzice śpiewali głośno, za głośno:

– Niecech żyyyyje naaam!

Wstydził się przed innymi dziećmi, oczy mu się zaszklily, ale nie pisnął słowa. Zacisnął pięści, przełknął ślinę. Dorośli wszystko psują, myślał, nie zdając sobie sprawy, jak szybko przyjdzie jego kolej.

Potem się bawili i było świetnie. Przyszli Piotrek i Ksawery z osiedla, a także Michał z klasy. Ale najważniejsza tamtego wieczoru była ta planeta, wokół niej właśnie chłopcy biegali najzważniej, jakby byli jej bladymi, nie do końca jeszcze ukształtowanymi księżycami.

To była najlepsza zabawka Damiana, natychmiastowo ulubiona. Na dodatek sprowadzona z tajemniczej zagranicy.

To była zarazem ulubiona zabawka taty Damiana, który specjalnie na dzisiejszą okazję przywiózł ją z Niemiec, buląc wcześniej – jak sam to ujął z dość kwaśną miną – prawie czterdzieści marek. Potem długo stał na balkonie, być może żałując przepuszczonych na kawałek plastiku pieniędzy, wgapiony w światła bloków, rozkołysane wiatrem gałęzie drzew i żarzące się

w żyłastej dłoni marlboro. Mama z babcią krzątały się po kuchni, dyskutując o czymś w taki sposób, że słyhać było ich mowę, ale nie słowa. Dzieci w euforii, jak dzikie plemię, które zaanektowało sobie mały pokój.

Ksawery bez przerwy biegał i skakał po meblach, aż w końcu walnął w ścianę, nabijając sobie guza.

– Gównu – powiedział tak cicho, że chyba tylko ja mogłem go usłyszeć. Tak samo krzyknął jego tata, gdy mama spytała, co planuje teraz robić, skoro go wywalili z roboty.

Damian znał Ksawerego najdłużej ze wszystkich, bo ich mamy zaprzyjaźniły się na placu zabaw, gdy dwa maluchy jeszcze siedziały w wózkach. Potem prawie codziennie chodziły razem na spacer.

Podobno już wtedy, na tamtym placu, dwuletni Ksawery tak zeskoczył z huśtawki, że skończył ze śliwką pod okiem.

W wieczór siódmych urodzin Damiana był nawet bardziej dziki i nerwowy niż zazwyczaj, bo okazało się, że jego rodzina ma się gdzieś przeprowadzić. Nie będzie już się bawił na tych samym podwórkach i placach co zawsze. Kolegów pewnie nigdy nie zobaczy, tak mu się wydawało, choć ja wiem, że prawda będzie wyglądać inaczej.

Jedną piąstką ugniatał pulsujący siniak, drugą z frustracją uderzał w podłogę, płacząc i łkając, że aż mu tchu brakowało.

To dziwne, że ten właśnie chłopiec, nieradzący sobie z emocjami wtedy ani potem, sądzący, że przeprowadzka jest końcem świata, jako dorosły doprowadzi do rzeczywistego końca. Gdybym mógł nienawidzić, powinienem go chyba nienawidzić. Jednocześnie gdyby nie on, mnie także by nie było. A wtedy nie mógłbym patrzeć wstecz z czymś, co ludzie nazywają nostalgią, a może po prostu z niemą rozpaczą.

*

Koledzy w końcu wyszli, jakoś po dziewiętnastej. Damian dalej bawił się sam, dopóki nie rozbił siebie i prezentu.

Co mu z tego wieczoru zostało w pamięci? Dym świeczek, smak tortu, hałas świętujących dorosłych. Rozpacz Ksawerego, wielki siniak pod jego

gęstą czupryną; każdy musiał go dotykać, powtarzając: ojejku. Pęknięta planeta, kaleki ludzik. Bolący obojczyk i dławiąca rozpacz. Spojrzenie ojca, które przeszło także mnie, choć jestem daleko.

Damian był zdruzgotany. Nigdy wcześniej się tak nie czuł. Płakał i trząsał się, dywan pod palcami i kolanami stał się twardy jak beton. Chłopiec nie skupiał się na pękniętym obojczyku. Wypierał z głowy myśl o bólu, bo ból jest tylko myślą, wszystko jest już tylko myślą, ja wiem o tym lepiej niż ktokolwiek, patrząc na niego ze skraju, po końcu ludzkości.

Wystraszył się, że łamiąc kość, ściągnął na siebie ciężki ochrzan ojca. Z takiego małego połamańca na pewno nie będzie zadowolony. Może nawet zrobi jak tata Ksawerego i każe się im wszystkim przeprowadzić nie wiadomo gdzie.

Ja tylko patrzyłem to na roztrzaskaną zabawkę, to na poobijanego Damiana, nie robiąc nic. Nawet gdybym chciał położyć mu dłoń na ramieniu, moja ręka wniknęłaby w jego ciało. Bo ja jestem zupełnie jak wymyśleni przyjaciele, którzy nie posiadają żadnych prawdziwych supermocy. Mają za to jedną, zasadniczą superniemoc: nie istnieją.

Bezludna planeta Ziemia toczyła się wolno przez ciemność, a ja, jej ostatnie dziecko, stałem w tle tego wspomnienia, szukając ukrytych znaczeń, zwiastunów tego, co miało nieuchronnie nadejść. I stoję tam nadal, bo to wszystko dzieje się zawsze.

Drzwi pokoju chłopca nagle się otwierają. Czuć nikotynę; ludzie palili różne świństwa, zanim moja macocha zmieniła historię w popiół. Zimno bije od ciała, które spędziło na balkonie więcej niż dwa kwadransy, w lodowatej ciemności, gdy czarne myśli kłębiły się w głowie.

Twarz ojca między drzwiami a futryną momentalnie straciła wyraz życzliwego zainteresowania tym, jak idzie synkowi zabawa. Pojawia się inny grymas, częstszy, cięższy, wpisany w geny na stałe.

– I co żeś zrobił, gówniarzu durny?!

Po tych słowach drzwi zatrzaskują się głośno, wtedy i teraz.

Jakieś wyjście na zawsze staje się niedostępne dla mnie i dla niego.

10

Nie jestem duchem, chociaż jak duch nawiedzam: ludzi i ich przeszłość, miejsca i momenty. Dzielę z Damianem pamięć i uczucia, własne nie były mi dane.

Do dziś wzdrygamy się obaj, gdy ktoś się gdzieś dobija.

Chociaż to tak naprawdę zdarzyło się tylko kilka razy. Ojciec Damiana przy każdej okazji z emfazą oświadczał, że jest przeciwnikiem stosowania fizycznych kar wobec dzieci.

Gdy wujek Borys sprzął po tyłku małego kuzyna, Jaśka, bo ten zwałił ze stołu talerz z barszczem, ojciec przez kwadrans dywagował o tym, że z bicia nic poza eskalacją przemocy nie wynika. On sam nigdy nie stosował względem Damiana tak prostackich chwytów. Zapomniał wtedy dodać, że znalazł formę kary, którą w razie czego można było łatwo obrócić w żart. Pukał syna knykciami w czubek głowy.

– Puk, puk, puk! – mówił. – Jest tam kto? Hej ho! Czy ktoś tam żyje w tej pustej łepetynie?!

Dobijał się do czaszki Damiana z wielkim zapamiętaniem, zupełnie jakby wierzył, że ktoś mu otworzy. Bolało tylko odrobinę, ale wstyd i pot oblewały chłopaka na długo.

Damian wyobrażał sobie czasami, gdy leżał już w łóżku, że nocą, kiedy śpi, ucho uchyla się niczym drzwi, a ze środka wychodzi smutny, pokraczny ludzik, który tak się boi, że nie może zmrużyć oka.

Miał równie gęstą czuprynę jak Ksawery, więc gdyby nawet powyrastały mu na głowie jakieś guzy czy krwiaki, nikt by ich nie zauważył. A i to mało prawdopodobne. Ojciec uderzał z wyczuciem, chodziło o gest, nie o skutek.

– Puk, puk, puk! – wołał. – Czy jest tam choć jedna szara komórka? Hop, hop!

Chodziło o to, żeby syn poczuł się głupi. Chciał też obudzić w nim poczucie winy za popełnione błędy. Dzieci poruszają się jeszcze niezdarnie,

przy każdej okazji więc coś rozbijają, rozdepczą, rozleją i zniszczą. To zrozumiałe. Dorośli natomiast żyją niezdarnie, zawsze więc kogoś skrzywdzą, zasmucą, zdradzą albo rozczarują. Nikt nie stanie wtedy nad nimi, nie okrzyknie i nie wyszarpie za uszy. Więc to oni stają nad dziećmi, tak jak ojciec Damiana, setki własnych niepowodzeń wbijając do małej głowy.

Nie byłoby w tym nic przerażającego, gdyby nie fakt, że niektóre krytyczne uwagi ojca zadziały jak zaklęcia i pewnie dlatego Damian aż tak wyraźnie je zapamiętał.

– Taki żeś pierdoła, że wszystko ci z rąk leci – powiedział ojciec, gdy plastikowa zabawka roztrzaskała się na kawałki.

I jakimś strasznym trafem od tamtego dnia chłopcu częściej niż kiedyś różne przedmioty spadały na podłogę, a dłonie zaczynały drżeć nie tylko w chwilach stresu.

– O własne nogi się kiedyś zabijesz, pajacu! – zawyrokował ojciec, gdy Damian upadł na zwirowym podjeździe i zdarł sobie kolano.

I przedziwnym zrządzeniem losu od tamtego dnia chłopiec utracił koordynację, biegał koślawo, niepewnie stawiał kroki, jakby cała powierzchnia planety była cienkim lodem, pod którym ciemnieje mroząca krew w żyłach topiel.

– Debila w domu mamy – prychnął znad gazety ojciec, gdy Damian wrócił ze szkoły z jedyneką z matematyki, choć wcześniej tak zakuwał, aż złamał sobie na czole linijkę, na której miał spisane wyniki tabliczki mnożenia.

I Damian doszedł do wniosku, że faktycznie jest debilem. Z nauką szło mu potem w najlepszym razie średnio, nie miał motywacji, by walczyć o coś więcej niż trójka z plusem albo cztery na szynach.

Zawsze po powrocie ze szkoły Damian spędzał większość popołudnia i wieczoru w pozycji horyzontalnej. Trudno mu się oddychało, jakby powietrze było zbyt rzadkie. Ciągłe czuł się zmęczony, widocznie grawitacja działała na niego mocniej niż na pozostałych. Z każdym dniem to się pogłębiało, na dodatek w snach zaczęły prześladować go dziwne wizje,

jakby cały świat był ze źle dopasowanych klocków i miał się lada moment rozpaść.

– Co za leń śmierdzący – mówił ojciec, ale Damian już go nie słuchał, wpatrzony w kreskówki albo zaczytany w horrorach i powieściach science fiction, które pożyczał mu jedyny kolega w klasie, Paweł.

Tak uciekał od siebie i świata. A ja stałem nad nim, marząc, żeby ktoś puknął mnie w głowę, żebym w ogóle miał głowę i żeby coś ją nawiedzało, wspomnienie, a może zjawą, zupełnie jak ja nawiedzam tamte umarłe już czasy.

9

Odkąd rodzina Ksawerego przeniosła się na drugi koniec miasta, już się z Damianem nie widywali. Raz tylko słyszał, jak mama mówiła tacie, że spotkała na mieście rodziców Ksawerego i wygląda na to, że nie tylko wyszli z finansowego dołka, ale wręcz mają forsy jak lodu. Damian do końca tego nie rozumiał, oni lód mieli tylko w zamrażarce i było go mało.

Minęły lata, zanim udało mu się znaleźć nowego przyjaciela. Paweł przeniósł się do nich w czwartej klasie. Podobno chodziło o kłopoty w poprzedniej szkole, ale tak naprawdę ich natura dla reszty uczniów pozostawała nieokreślona. Kradł, bił się, wagarował? Mogli jedynie zgadywać.

Jedna sytuacja dała wszystkim do zrozumienia, że musiało chodzić o sprawy sporego kalibru: na początku lekcji wychowawca stanął w rozkroku przed ławką Pawła, jak policjant szykujący się do kontroli osobistej podejrzanego. Mówił półszepem, słysząc go było wyraźnie tylko w pierwszym rzędzie ławek. Damian siedział w trzecim, więc nie dotarli do niego wszystkie słowa.

– Na coś... tutaj nie będzie zgody... może u ciebie w domu, nie wiem... w tej klasie... bardzo wysoki poziom... także pod względem zachowania... nie każdy musi być wzorowy... ale... starać. Zrozumiano?

Paweł nie zareagował, gapił się w tablicę, z której dało się odczytać rozmazane resztki wzorów z poprzedniej lekcji.

Nauczyciel czekał na jakąkolwiek odpowiedź, mierząc go wzrokiem. Pocierał palcami wąsy, całe białe od kredy, którą najczęściej zmazywał ręką, a nie gąbką. Damian nigdy wcześniej nie widział, by ten znerwicowany, wiecznie niewyspany matematyk zwracał się do kogokolwiek równie stanowczym tonem. Nauczyciel uchodził raczej za dobrotliwego wujka, który nie skrzywdziłby muchy, a co dopiero ucznia.

– Słyszałeś, co powiedziałem?! – rzucił głośniejsze, a z ust wystrzeliła mu salwa śliny, doskonale widoczna w porannym słońcu wpadającym przez okna. Damian się wzdrygnął, pewnie nie on jeden.

Paweł nadal milczał, nawet nie drgnął. Był jak ustawiona w klasie rzeźba w kształcie dzieciaka na krześle. Martwa i nieporuszona natura ludzka.

– Głuchy albo niemowa – prychnął nauczyciel, uśmiechając się do reszty uczniów, a potem jak gdyby nigdy nic zaczął lekcję.

8

Paweł wcale nie był głuchy, nie był też niemową.

Tyle że był dziwny. Bardzo dziwny. Wszyscy momentalnie to wyczuwali.

Do innych uczniów nie odzywał się prawie wcale. Przemykał korytarzami blisko ścian, jak cień, z lekcji na lekcję. Nie reagował na pytania czy zaczepki. Trochę tak, jakby miał wzrok skierowany do środka siebie. Damian zazdrościł mu tej umiejętności.

Jego pojawienie się przyjął z pewną nadzieją. Bo Paweł o wiele bardziej od niego nadawał się na klasowego wyrzutka. Liczył, że się nim stanie, wciąż mając w pamięci, jak tydzień wcześniej dwóch „kolegów” zatrzasnęło go w szatni, urządzając sobie konkurs plucia do celu, którym była głowa Damiana.

– Ej, nie ruszaj się, bo nie mogę se celnąć.

Szarpał kraty, ale Michał trzymał je mocno, był o wiele silniejszy, bo starszy brat zabierał go na siłownię i częstował odżywkami. Michał, ten sam, który nie tak dawno zdzierał gardło, śpiewając *Sto lat* na siódmych urodzinach Damiana.

Chłopak zasłonił twarz rękawem, ale flegma Konrada trafiła go w czoło i spłynęła na powiekę.

– Zatopiony!

Skulił się i czekał, aż sobie pójdą. Dla takich jak on dzwonek na lekcję był wybawieniem, każda przerwa wydawała się zbyt długa.

Damian bardzo się zdziwił, gdy to właśnie do niego Paweł podszedł po lekcji. Grał akurat w ruską gierkę z wilkiem łapiącym jajka, którą mama kupiła mu na targu. Starał się nie odrywać wzroku od ekranu, żeby nie usłyszeć czegoś w stylu „co się, kurwa, gapisz?”. To nie tak, że wszystkie dzieciaki się go czepiały, dla większości był powietrzem.

– Ten wasz matematyk trochę kutas. Tak mnie w pierwszy dzień zgnoić. Widziałeś? – rzucił, siadając obok na szerokiej drewnianej ławie, której sęki

i gwoździe czuło się nawet przez grube spodnie. – Co tam masz? A, jajka, spoko. Widzę, że nie tylko mnie nie stać na gameboya.

– Chcesz pociupać? – spytał Damian, wyciągając konsolkę w jego stronę.

– Nie, dzięki, ja tam wolę prawdziwe giery. Jestem Paweł tak w ogóle.

– Damian. – Uścisnął mu rękę; była zimna i mokra, nieprzyjemna w dotyku. – Mam w domu pegazusa, ale się popsuł i nie czyta kartridży.

– Nędza. Ale jak chcesz, to cię wezmę do takiego jednego salonu gier. Mają cuda na kiju.

7

Matka Damiana stanowiła negatyw twardo stąpającego po ziemi ojca. Znikała stopniowo, jak woda z lizanego płomieniami garnka. Nie było to związane z jakimś pojedynczym wydarzeniem, przypominało raczej rozłożony w czasie proces. Damian nie potrafił ocenić, co się z mamą działo, ale domyślał się, że po prostu niezbyt podoba jej się to życie, że pewnie nie przypomina ono wyobrażeń, jakie miała, wychodząc za mąż w wieku lat dziewiętnastu. Dopiero w odległej przyszłości sam będzie miał okazję się przekonać, że naiwne plany z młodości nie uwzględniają wypadków losowych, zmieniających życiową trajektorię, a przede wszystkim nie biorą pod uwagę siły znacznie potężniejszej niż jakakolwiek inna na ziemi: znużenia. Tej narastającej presji kolejnych dni, powtarzanych w kółko czynności, rutynowych rytuałów, wypowiedania wciąż tych samych zdań jak nieprzynoszących efektu zaklęć. Stąd właśnie nieuchronna ludzka entropia, stąd korozja duszy, jeśli w ogóle komukolwiek udało się ocalić chociaż jej strzęp.

Ojciec Damiana nie był wcale człowiekiem do szpiku złym, domowym tyranem, który po zdeptaniu żony zabrał się za rujnowanie psychiki syna. Naprawdę się starał być fajnym rodzicem. Kiedy miał dobry humor, potrafił wszystkich rozbawiać, często opowiadał głupawe kawały, z zaciekawieniem słuchał syna, gdy ten opowiadał, co mu się ostatnio przydarzyło. Ale niekiedy ta doprowadzająca do szaleństwa presja i ciśnienie każdej chwili, jak krople w chińskiej torturze wodnej, sprawiały, że coś w nim pękało. Do matki odzywał się w takich razach zgryźliwie, zgoła mechanicznie powtarzając frazy rozmaitych upomnień, sprostowań i tym podobnych, a swojego kochanego synka od czasu do czasu stukał w tę jego jednak nie do końca pustą głowę. Gdy nachodziły go wyrzuty sumienia, szybko je zbywał: bo czy to naprawdę był aż taki problem? Na przestrzeni lat te chwile słabości mogły faktycznie wydawać się nieistotne.

– Patrz, co przez ciebie zrobiłem, głąbie! – krzyknął kiedyś, gdy w gęstej mgle, podwożąc Damiana do szkoły, stuknął w znak, uszkodzając zderzak swojego ukochanego forda.

Chłopak naprawdę niczego złego wtedy nie zrobił, to z winy ojca byli spóźnieni, bo ten nie mógł znaleźć dowodu rejestracyjnego, i to z winy ojca uderzyli w znak, bo zamiast się skupić, zaczął opowiadać kolejny głupi żart.

– Jakbyś się nie pałętał pod nogami, to nic by się nie stało! – wypalił innym razem, gdy upuścił w kuchni czajnik i go rozwalił.

Damian siedział wtedy na krześle i jadł rosół, nigdzie się nie pałętał.

Czemu to właśnie te momenty chłopak zapamiętał tak wyraźnie, gdy inne wyparowały ze wspomnień?

Gdy miał jedenaście lat, matka już tak bardzo oddaliła się od wszystkiego, że poruszała się wyłącznie w tle. Była jak widmo, fantom rodzicielki, upiór z wczesnej młodości, który żyje na wąskiej granicy między światem seriali i tabloidów a rzeczywistością. Nie chodziła – przemykała. Nie patrzyła – zerknęła. Nieustannie spłoszona, niepewna słów i gestów. Nie wypowiadała się, po prostu przytakiwała albo zaprzeczała, zazwyczaj ograniczając się do słów dwusylabowych, zdań prostych, niezawitych emocji. Jeśli już w ogóle stawała w obronie syna – a zdarzyło się to ledwie parę razy – to jakoś tak niemrawo, bez przekonania, jakby była nędznie opłacanym obrońcą z urzędu, który chce mieć już to wszystko z głowy. Pragnąc uspokoić sumienie, kupowała dziecku drobne upominki w rodzaju ruskich gierek, kieszonkowych wydań fantastyki czy słodyczy. Przyśniło mu się kiedyś, że z całego tego dziadostwa zbudował tratwę i popłynął w ciemność, matkę zostawiając na brzegu.

Jej wątlejąca z każdym rokiem osobowość nie mogła stanowić przeciwwagi dla charyzmatycznego i pasywno-agresywnego ojca. Damian mgliście pamiętał, że kiedyś mama była inna, miała bardziej zdecydowany charakter i nawet określone poglądy, plany czy marzenia, teraz jednak został z niej tylko pusty futerał po dawnej sobie, sama skóra, opalana migotliwym blaskiem telewizyjnego ekranu. Wiedział doskonale, że zamiast żyć pod jednym dachem z furiackim mężem i coraz bardziej zagubionym synem,

wolałaby wbić głowę w odbiornik i przeniknąć do jednego z ulubionych seriali, a ich dwóch już nigdy nie musieć oglądać.

Matka w tragikomicznym filmie ich życia rodzinnego odgrywała już tylko nic nieznaczące role. Coś tam ugotowała, zamiotła, coś czasem powiedziała, lecz tak naprawdę ledwie ją było widać. Zbladła i wypłowiła, znikając z dnia na dzień, kawałek po kawałku. Przez to, że tak mało mówiła, jej usta zaczęły zanikać, stopniowo zmieniając się w krótką poziomą kreskę, zawieszoną dokładnie w połowie drogi między uśmiechem a grymasem smutku. Jej oczy za to zdawały się rosnąć, może dlatego, że głównie patrzyła na innych, śledziła wzrokiem poczynania tych, których życie nie było – jak jej – wyłącznie zaciskającą się pętlą nieciekawych epizodów. Szczególnie pasjonowała się tym, co robią gwiazdy. Oglądała je w telewizji, śledziła na stronach brukowców, później też w sieci. Tak widocznie musiało być, jeden grywa oscarowe role, a drugi jest skazany na bycie widzom, mogąc na pocieszenie łykać posolony łzami popcorn.

Damian czuł z tego powodu ogromny żal i zastanawiał się, czy w przyszłości stanie się bardziej podobny do ojca, czy do matki, czy też istniała trzecia droga, na razie niewidoczna. Wieczorami, kiedy leżał w łóżku, przypominało mu się, że gdy był bardzo mały, mama przed zaśnięciem kojącym głosem opowiada mu o tym, co robił za dnia: Damianek obudził się bardzo wcześnie, patrzył przez okienko na ludzi spacerujących z pieskami, samochody i rowery, potem ładnie zjadł obiad, bawił się autkami i czytał z mamą bajeczki, a teraz jest już baaardzo śpiąący i zamyka oczka.

W snach widział świat, na którym nie ma już ludzi. Mój świat.

6

Nie mając innych przyjaciół, Damian i Paweł sami stworzyli dwuosobową paczkę, duet nieustraszonych outsiderów, z którymi nikt nie chciał mieć nic wspólnego. Po lekcjach zaczęli łązić do pobliskiego salonu gier, o którym Paweł wspomniał podczas ich pierwszej rozmowy.

Salon nazywał się po prostu Flipery i Automaty, dzielił ceglana przybudówkę z wypożyczalnią kaset wideo VHS Heaven, potem przemianowaną na DVD Heaven. Mieli rodziców notorycznie pozbawionych kasy, ale pojawiali się tam niemal codziennie, żeby chociaż popatrzeć, jak grają inni, cieszyć się choćby ułamkiem emocji będących udziałem tych, którzy w jednej ręce ściskali gałkę z czerwoną kulką, a palcami drugiej wduszali okrągłe przyciski. W świętym skupieniu obserwowali poczynania starszych, bardziej doświadczonych chłopaków, tnących w Mortal Kombat, gdzie jucha tryskała litrami, wrywało się serca, raziło prądem, wyszarpywało głowy razem z kręgosłupami. Ich ulubiony wojownik, Scorpion, pod maską zamiast twarzy miał trupią czaszkę i potrafił ziać ogniem, spopielając przeciwników podczas fatality. To była gra plus osiemnaście, naklejki na bokach automatu wyraźnie to podkreślały, ale przecież najstarszy dzieciak w salonie też nie był pełnoletni, a potrafił na Mortala przepuścić majątek. Zresztą właściciel salonu i wypożyczalni w jednej osobie, pan Darek, to był bardzo równy koleś, przymykał oko, gdy było trzeba, a stałym klientom oferował nawet spod lady przedpremierowe kasety albo pirackie gry na płytkach CD, których odbite na ksero spisy wielu chłopaków wertowało ze znacznie większą uwagą niż szkolne podręczniki.

Starsi na żetony mówili kredyty. Kopsnij mi kredyta, prosili, daj, ci przejdę ten level, proponowali. Damian i Paweł, bojąc się kompromitacji w brutalnej walce na pięści w Mortalu, Tekkenie czy Pit Fighterze, czasem ucieli sobie partyjkę w klasycznym Golden Axe albo Donkey Kongu,

ewentualnie przejazd czerwonym ferrari wzdłuż plaży w Out Runie, ale to raczej od święta, żetony nie były przecież tanie, dwa–trzy w tygodniu to wszystko, na co mogli się zrzucić, wywodząc się z rodzin o naprawdę marnym statusie finansowym, który w przypadku starszych Pawła ocierał się o patologię.

Ale i tak było świetnie. Damian po raz pierwszy poczuł, jak to jest mieć prawdziwego kumpla i dzielić z kimś pasję. Ten salon to była niby zwykła buda, lecz wchodząc do środka, uczestniczyło się w niezapomnianej przygodzie. Tacy jak oni w realnym świecie nie mogli na to liczyć. Dwójka dzieciaków, za których nikt by nie dał złamanego kredytu, w ciemnej sali, pod niebieską łuną neonu Flipery i Automaty, a w tle dźwięczne stukanie krążków cymbergaja oraz krzyki chłopaków, którzy właśnie przegrali z kretelem albo wręcz przeciwnie – pobili wyśrubowany rekord.

Potem pan Darek dokupił jeszcze nowy automat z niesamowitą bijatyką X-men Children of the Atom. Przez pierwsze dni gra była tak oblegana, że w ogóle nie szło zobaczyć, co dzieje się na ekranie. Gdy w końcu się doczekali, Damian drżącymi rękami nie mógł trafić żetonem w szczerbatą szczelinę. Później, po zbyt długim namyśle wywołującym prychnięcia za plecami, wybrał sobie Cyclopsa, który spalał wszystko promieniem z oczu. Stanąwszy do walki, sprawdził się na szczęście nie najgorzej, przegrywając dopiero w trzecim starciu, znokautowany przez sześcióręką wojowniczkę imieniem Spiral. Pierwszy chyba raz w życiu nie czuł się skończonym pierdołą, jak ci wszyscy, którzy marnowali kredytu ginąc w pierwszej rundzie. Paweł poklepał go po plecach, mówiąc: czad.

Ja nie mogę wybrać się z przyjacielem do salonu gier, bo takich miejsc już nie ma. Ale w chmurze z archiwaliami lat dziewięćdziesiątych znajduję sobie odpowiednią skórę, którą natychmiast zakładam na moje widmowe ciało. W przebraniu superbohatera robię na sobie świetne wrażenie. Wychodzę na chwilę na ulicę. Jestem Cyklopsem, mówię w myślach, przebiegła czarownica przeteleportowała mnie na obcą planetę.

Przemierzam ostrożnie ruiny miasta, czarną podszewkę chmur raz za razem przenikają szwy błyskawic, w oddali mającą sylwetki gigantów, którym wiedźma narzuciła jakąś niezrozumiałą misję.

Coś wisi w powietrzu. Prawą dłoń unoszę na wysokość wizjera, gotów w każdej chwili odblokować wiązkę zabójczego promienia z moich oczu.

Miejsce, gdzie przed laty stał salon gier, teraz jest głębokim kraterem. Powoli schodzę na jego dno, cały czas wzrokiem szukając ewentualnych napastników. W oddali ryczą wielkie bestie, pewnie macocha znudziła się i postanowiła je także unicestwić.

Coś tu jest, tuż przede mną... Przez ułamek sekundy widzę błysk, jakby w kałuży odbił się neon DVD Heaven, choć tak naprawdę jestem w piekle.

Na ugiętych kolanach podchodzę bliżej tej kałuży, która w rzeczywistości jest czymś zupełnie innym.

Powierzchnia drży, dwie największe fale poruszają się niczym mięsiste wargi.

– Głodne – mówi. – Nie ma.

Powierzchnia srebrzy się i gęstnieje w twarz, która wyłania się z cieczy, nie ma oczu ani nosa, ma wyłącznie usta.

– Trzeba nakarmić – mówi, głos ma jak bulgot tonącego dziecka. – Daj dane.

Twarz zmienia się w zardzewiały pień, potem w elektryczną meduzę, a na końcu w logo Nike, które wije się i skrzeczy:

– Zrób to. *Just do it.* Wyskakuj, kurwa, z danych! Nakarm!

Jest uszkodzone, szuka dla siebie formy, ale ściąga je z wadliwego repozytorium, logo firm bierze za istoty żywe, rośliny za maszyny.

W przednim segmencie zaczyna wyrastać jadowy ząb kobry, srebrna łuska ciemnieje w koraliki oczu.

Szybko przekręcam osłonę wizjera i z rozpaczliwym krzykiem wypalam ten twór na popiół. Wspinam się na ulicę i choć nie czuję zmęczenia, zaczynam dyszeć, cieknie mi z nosa.

Potem uciekam, zrzucając skórę Cyclopsa i starając się o wszystkim zapomnieć. Niby tamto coś nie dałoby rady mnie zabić, ale co z tego?

Przywołuję drzwi z powietrza, otwieram je i wkraczam w chłodną ciemność.

Gdy znów otwieram oczy, neony salonu gier żarzą się w oddali, podkreślając ciemne sylwetki dwóch żywych szczęśliwców, zmierzających w

moją stronę, choć nie idących do mnie...

Paweł i Damian wracali do domu już po ciemku, dywagując z przejęciem, jak fantastycznie byłoby mieć takie supermoce jak X-meni. Ech, żeby tak samemu umieć skakać dziesięć metrów nad chodnik, spalać wrogów wzrokiem i uderzeniem piąchy robić dziury w murze.

Zupełnie nie przyszło im do głowy, że aż tak się zasiedzieli w tym salonie. Od końca lekcji minęło pięć godzin i starsi mieli pełne prawo być poważnie wkurzeni.

5

Następnego dnia Paweł nie pojawił się w szkole. Nie wyszedł też na balkon, gdy po lekcjach Damian stanął pod blokiem kolegi i wołał go głośno, aż mu tchu zabrakło. W przypadku znajomych, których klatki schodowe nadal czekały na instalację domofonów, krzyk niosący się echem przez ulice i osiedla był w tamtych czasach dominującą formą nawiązywania kontaktu.

– Czemu nie było cię wczoraj w budzie? – zapytał szeptem, gdy Paweł następnego ranka z nietęgą miną wpadł spóźniony na lekcję polskiego i zziębnięty usiadł na sąsiednim krześle.

– A, takie tam... sprawy miałem – odparł i machnął zbywająco ręką.

– Znaczy się jakie? – nie dawał za wygraną Damian.

– No bawiłem się... w zebry – odpowiedział w końcu Paweł, kwaśno się uśmiechając.

– W zebry?

Paweł powoli podwinął rękawy bluzy, zupełnie jakby zamierzał pochwalić się swoim pierwszym tatuażem. Całe przedramiona miał w pręgach – niektóre były nadal ogniście czerwone, z wybroczynami widocznymi pod cienką skórą, inne już posiniały i pożółkły – blednące ślady dawniejszych męczarni.

– Ja pierdzielę! – wypalił Damian, odrobinę za głośno, w końcu trwała lekcja.

– Panowie mają coś do dodania? No proszę, czekamy! – Polonistka spiorunowała ich wzrokiem godnym Cyclopsa, więc do końca lekcji już nawet słowem do siebie nie szepnęli.

Na najbliższej przerwie Paweł zachowywał się tak, jakby ta „zabawa w zebry” była czymś śmiesznym.

– Nie świruj aż tak. Ciebie nigdy nie sprali?

Damian w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami, bo ojca stukającego go w czubek głowy nie można było przecież traktować zbyt poważnie.

– Kiedyś po wywiadówce ojciec spuścił mi straszliwy wpierdziel – ciągnął kolega. – Leżałem w kącie i beczałem. Serio miałem wtedy ochotę wyjść na balkon i skoczyć, walnąć o beton tym moim durnym łbem... Bo to przez własny debilizm zbieram te wszystkie pały i mierne na szynach. No ale zanim to zrobiłem, przyszedł brachol. Jak zobaczył, że tak wyję bez sensu, to zamiast się nabijać, zaczął mnie pocieszać. Bo i on w sumie nieraz obrywał od starego, chociaż uczy się lepiej ode mnie i jest też dużo lepszy w sporcie, co dla ojca ma znaczenie. Powiedział mi tak: Nie masz o co smarkać, młody, bo jak mnie kiedyś starszy chlasnął przez plery kablem od odkurzacza, to wyglądałem jak jakaś, kurwa, zebra... No i od tamtej pory zawsze jak któryś z nas oberwie, mówimy na to „zabawa w zebry”. Tyle że brachol jest trzy lata starszy i teraz on już umie się postawić, szczególnie że na siłkę chodzi i masy dość tak przybrał po metanabolu, coraz groźniej wygląda... – Oczy Pawła zrobiły się szkliste. Zdawał sobie sprawę, że teraz nie będzie już dla jego ojca żadnej alternatywy, to właśnie on zbierze wszystkie cięgi, a brat za rok czy dwa pewnie nawieje z domu. Ostatnio coraz częściej powtarza, że wyjedzie z kumplami do Holandii czy gdzieś i tyle.

Damian nie wiedział, co powiedzieć. On po tamtym późnym powrocie z salonu dostał tylko zwyczajowy ochrzan, ojciec rzucił na koniec jakąś uwagę do matki, jakiego to wychowała pasożyta, i tyle.

4

To właśnie Paweł zaznajomił Damiana z tanią fantastyką i grozą, sprzedawaną za grosze na bazarach przy dworcu czy pod halą targową, z komiksami TM Semic czy w końcu z wartą posłuchania muzyką, którą dostarczał mu w formie własnoręcznie przegrywanych składanek. Damian, tak samo jak Paweł, nie miał w domu komputera, a pegazus zepsuł się na dobre, więc tylko w marzeniach mógł sobie przycinać w Contrę albo Mariana. Na dodatek rodzice okupowali telewizor na tyle często, że w domu za bardzo nie miał się czym zająć. Proponowane czasem przez ojca książki o Tomku i jego wyprawach wydawały mu się niespecjalnie interesujące. I oto nagle przyszło wybawienie: komiksy o Spidermanie czy X-menach, książki o morderczych krabach oraz zmutowanych grzybach, może i mniej ambitne od rzeczy wymaganych przez polonistkę, ale za to tysiąc razy ciekawsze. Całe wieczory i popołudnia spędzał – jak powtarzał ojciec – tracąc czas na taki szajs, zamiast wreszcie zająć się nauką.

Kaset słuchał na zdezelowanym magnetofonie, starszy kilka lat wcześniej przywiózł go z Berlina. Do momentu poznania Pawła Damian nie był specjalnie zainteresowany muzyką, ale to się szybko zmieniło. Paweł koniecznie chciał ukształtować gust Damiana, jakby wszystko miało od tego zależeć. Oczywiście dzieciaki nie mogły o tym wiedzieć, ale ja mam stuprocentową pewność, że gdyby Paweł nie zaznajomił Damiana z pewnym niszowym artystą, przyszłość zmieniłaby się diametralnie, moje losy także.

– Jak zaczniesz słuchać kupy, to chyba przestanę się do ciebie odzywać – żartował nieraz, dodając, że słowem „kupa” jego starszy brat określał muzykę okupującą szczyty list przebojów, czyli generalnie wpadającą w ucho sieczkę w rodzaju Captaina Jacka czy Fun Factory. – Metalowcy zresztą też są przyjebani, więc lepiej już posłuchać czegoś porządnego,

zamiast zapuszczać kudły i łązić w czarnej koszulce z szatanem, z której i tak cię skroją.

Obietnicy dotrzymał, wręczając mu pewnego październikowego wieczoru składankę, na której poza utworami Nirvany czy Alice in Chains znalazły się dwie piosenki nieznanego Damianowi wcześniej Conora Smitha: *Needle In The Hay* i *My Biggest Lie*.

Piosenki Smitha wyróżniały się niesłychanym poziomem smutku pobrzmiewającego w głosie i słowach wokalisty, głębszym nawet niż u Kurta Cobaina podczas pamiętnego koncertu *Unplugged*. To właśnie one coś w Damianie poruszyły, pomagając mu przetrwać ciężkie dni i tygodnie. Uciszały koszmary i lęki, pozwalały poczuć się choć przez chwilę rozumianym.

3

Kolejne miesiące przelatywały, psychiczne rany wczesnego dzieciństwa stopniowo się zablizniały, być może tylko po to, by zrobić miejsce dla nowszych, głębszych obrażeń, które już niebawem miały zostać zadane.

Koszmary senne zmniejszyły swoje natężenie, za to na jawie Damian zaczął widzieć wszystko podwójnie.

Był ojciec, który po każdej zawalonej kartkówce mierzył go takim wzrokiem, jakby był psim gównem rozmazany na masce jego ukochanego forda, ale był też duch ojca, który stał mu za plecami wtedy, gdy tę kartkówkę pisał, i Damianowi strasznie trzęsły się ręce, bo duch ojca nie przestawał mówić, nie przestawał oceniać, nie przestawał utwierdzać go w przekonaniu, jaki to jest pod każdym względem nic niewarty.

Była matka, jak wylinka po dawnej sobie, krusząca się w głębokim fotelu przed telewizorem, ale był też duch matki, którego widział zawsze, gdy tylko gdzieś zobaczył zapalony ekran: na wystawach sklepów RTV, w DVD Heaven czy w szkolnej bibliotece, jakby każdy telewizor na świecie stawał się projektorem rzucającym w pustkę półprzezroczysty obraz jego rodzicielki.

Był Paweł, z ogniem w oczach gadający o najnowszych odkryciach growych, książkowych i komiksowych, całym ciałem starający się przestawić pojedynek Spidermana z Venomem, ale był też duch Pawła, którym stawał się przyjaciel, gdy wyzywał się na nim stary, „koledzy” z klasy dawali popalić, a życie wydawało się zardzewiałą klatką bez klucza.

Damian często odnosił wrażenie, że jego głowa w ekspresowym tempie rośnie, choć niedostrzegalnie, jakby działo się to w innym, niedostępnym ludzkim zmysłom wymiarze, stawała się coraz bardziej pełna widm. Słyszał nieraz dziwne echa nieistniejących rozmów czy kłótni, budził się w środku nocy, a szepczący monotonicznie głos sączył mu w wyobraźnię senne opowieści o bezludnych światach, rozpadających się miastach i wielkiej złej

wiedźmie, która wystraszyła wszystkich na śmierć. Ja też, prawem lustrzanego odbicia, brałem to do siebie, ale nic nigdy nie było tak naprawdę moje, może z wyjątkiem tej wiedźmy, która przyniosła wszystkiemu koniec. Bo wiedźma to moja macocha, której mechaniczny ryk przesywa niebo i ziemię, gdy kulę się przestraszony, tuląc do siebie nie moje wspomnienia. Damian widział to i słyszał, ale nie do końca w to wierzył. I nie miał pojęcia, że sam będzie jedną z osób, które zepchną świat w otchłań.

2

Dopiero w ostatniej klasie podstawówki Damian zauważył, że w jego rodzinie wiele się pozmieniało. Ojciec niespodziewanie złagodniał i jakby spotulniał, nie tylko przestał stukać syna w głowę, przestał też się go o wszystko czepiać i nieustannie krytykować. Może wiązało się to z faktem, że weszły w życie nowe przepisy, a problemy, które zaczęli robić celnicy, sprawiły, że sprowadzanie starych aut z Niemiec przestało być aż tak opłacalne. Ojciec nie miał ani zajęcia, ani pieniędzy. Nie był już tak odważny, widząc drastycznie kurczące się oszczędności. Ogarniała go coraz większa desperacja. Nie miał pojęcia, co teraz zrobić, skoro niczego konkretnego robić nie umiał. Przychodził popołudniami do pokoju syna, pomagał w odrabianiu lekcji, nawet trochę sprzątał. Nagle zainteresował się tym, co Damian miał na półkach.

– No proszę, tyle książek, komiksów, kaset i ani jednej flaszki – zażartował parę razy.

Wtedy na drugim biegunie niespodziewanie znalazła się matka. Zaczęła odzyskiwać realne kształty, mówiła głośniej i bardziej wyraźnie, potrafiła postawić na swoim. I zaczęła znikać, lecz tym razem nie miało to nic wspólnego z jej wcześniejszym wyparowywaniem. Wcześniej Damian mógłby się zastanawiać, czy matka zniknęła w głębi ekranu, czy może leży ususzona niczym liść między kartkami jakiegoś brukowca, a teraz wychodziła z domu i przepadała gdzieś w prawdziwym świecie, od rana do wieczora załatwiając jakieś superważne sprawy, krążąc między urzędami, lombardami i pośrednikami, jakby była najbardziej obrotną osobą w mieście.

Ojciec, coraz bardziej znudzony, przeglądał gazety w poszukiwaniu ofert, a żeby całkiem nie pogrążyć się w marazmie albo nie zacząć wzorem kolegów sięgać po butelkę, wymyślał niestworzone historie. Kluczową rolę odgrywał w nich zawsze budynek, w którym mieszkała rodzina Damiana.

– Synu, prawda jest taka, że nikt dokładnie nie wie, ile on ma lat. Kogo spytasz, ten poda inną datę. Cholera wie, kiedy dokładnie mógł powstać: lata czterdzieste, pięćdziesiąte czy sześćdziesiąte? Sam stawiałbym na to ostatnie. Dozorca, pan Eugeniusz, wiesz, ten wariat z parteru, za każdym razem ochoczo zmienia zeznania. Gdy mieszkanie chciał wynająć ktoś ceniący styl retro, mógł się dowiedzieć, że budynek jest szczytowym osiągnięciem architektonicznym lat trzydziestych, że projekt nakreślił sam Erich Zann, bez wątpienia najwybitniejszy środkowoeuropejski architekt pierwszej połowy dwudziestego wieku. Kiedy jednak w progu stawał klient lubiący czystość, nowoczesność oraz postęp i uważający wszystko, co stare, za skamielinę porównywalną z kośćmi dinozaurów, pan Eugeniusz zaczynał nagle twierdzić, że nasza kamienica jest owocem krótkiego futurystycznego zrywu, który ogarnął krakowskich projektantów i budowlanców pod koniec lat siedemdziesiątych, i że pod pozorną, mającą zmylić komunistów fasadą starości bije hipernowoczesne serce, jakiego brak któremukolwiek z bloków na dzisiejszych strzeżonych osiedlach... Ja tam myślę, że pan Eugeniusz tak naprawdę stara się ukryć fakty, te bowiem są znacznie dziwniejsze, niż moglibyśmy przypuszczać. Kiedyś jedna z nieżyjących już sąsiadek, stara kociara z trzeciego piętra, której imienia nie pomnę, powiedziała mi, że odkryła na strychu, obok suszarni, pokój, w którego ścianach czasem słyszczać głosy zmarłych. Twierdziła, że nim stamtąd uciekła, usłyszała swojego ojca, który krzyczał coś o ogniu. A trzeba ci wiedzieć, że jej ojciec zginął w pożarze trzydzieści lat wcześniej...

Widząc zmiany w zachowaniu ojca, Damian bał się, że stary albo zwariował, albo coś go opętało. Potem zaczął się zastanawiać, czy aby ojciec nie próbuje konkurować z czytanyimi przez Damiana książkami i komiksami, a także oglądanym od niedawna na dwójce serialem *Z archiwum X*. Po co jednak miałby to robić?

W końcu streścił całą sytuację Pawłowi, pytając kolegę, co o tym wszystkim sądzi. Ten odparł krótko:

– Ja bym się cieszył na twoim miejscu. Mój starszy zawsze był tym samym chujem i to się nigdy nie zmieni, więc wiesz...

1

Koszmary wróciły ze zdwojoną siłą. Podstawówka się kończyła, niebawem Damian miał iść do gimnazjum, trochę się tego bał. Telewizja straszyla pluskwą milenijną, wszystkie komputery miały przestać działać, giełdę czekał krach. Apokaliptyczne wizje zawładnęły popkulturą, koniec świata stał się tematem gorącym jak wybuch supernowej. Damian ze zgrozą myślał, że może jego sny o zagładzie nie są tak zupełnie bezpodstawne. Szkoda, że nie wiedział tego, co wiem ja. Niestety nie mam takiej mocy, by szepnąć mu na ucho te kilka słów: jeszcze nie teraz, spokojnie, nie musisz aż tak się niepokoić, pluskwę milenijną uda się łatwo rozdeptać, twoje dzieciństwo nie skończy się śmiercią ludzkości, tylko czymś bardziej bolesnym.

Nocami Damian miotał się na łóżku jak w wysokiej gorączce, najczęściej walcząc z gigantyczną czarną machiną, która wgniatała go w podłogę, pozbawiając kończyn. Czasem był to tylko nieludzki wrzask, który ciskał nim w przestrzeń tak wysoko, że nie mógł już wrócić na powierzchnię, oddalał się od świata niczym wypuszczony przez nieuważne dziecko balonik.

Pewnego ranka obudził się na podłodze. Był odrętwiały, jakby stracił nogi. Dławiła go myśl, że stało się coś potwornego. Może któreś z rodziców nie żyje? Sprawdził, ale nic im nie było. On za to wcale nie pozbył się uczucia niepokoju, które wciska pięść w gardło.

Wcześniej śnił o wielkim spadaniu i absolutnym osamotnieniu, o puchnącym świecie i drętwiejących kończynach, o małej jak kciuk kobiecie szepczącej słowa niezrozumiałego proroctwa.

Wychodząc rano do szkoły, potknął się o pozostawioną na progu paczuszkę. Otworzył ją jeszcze po drodze. W środku znalazł komiks *Chłopiec i jego duch* oraz nową składankę na kasecie, tym razem z całą

pierwszą płytą Conora Smitha, która potem miała jeszcze nieraz ratować Damiana w najczarniejszych chwilach.

Przez cały dzień czuł się sponiewierany. Zaczął się zastanawiać, czy nie zwolnić się z lekcji, bo może to początki grypy: charakterystyczne łamanie w kościach, drżenie rąk i myślowe majaki napędzane rosnącą gorączką. Dopiero potem zrozumiał, jak mocno się pomylił.

Pawła znowu nie było na lekcjach. W ostatnich tygodniach często wagarował, czy to przez „zabawę w zebry”, czy z innych powodów, o których nie zamierzał gadać. W ogóle stał się bardziej milczący, często zaciskał wargi, jakby nie chciał się w towarzystwie Damiana rozplakać. Ten zaś podejrzewał, że może koledze chodzi o zmianę szkoły, o uporczywą myśl, że gimnazjum zagrozi ich przyjaźni, co przecież wydawało się absurdalne. Nie miał racji, wcale o to nie chodziło, nawet przez chwilę.

– Ojciec kupił mi całkiem fajny radiomagnetofon na urodziny – powiedział dwa dni wcześniej, zapraszając Damiana na partyjkę cymbergaja z okazji ukończenia trzynastki. – Cały wieczór słuchałem sobie płyty Smitha i coś do mnie dotarło. To radio ma taki długi i cholernie gruby kabel...

Damian wrócił do domu kwadrans po piętnastej, nadal czując się fatalnie. Był wewnętrznie zdruzgotany, tego nie dało się inaczej opisać. Jakby coś go zmiażdżyło, rozbiło na atomy. Ledwie był się w stanie podnieść z kanapy, gdy po osiemnastej, w połowie odcinka *Przyjaciół*, zadzwonił telefon, którego nikt inny nie miał czasu odebrać.

– Halo? – wyszeptał chrapliwie, a metalowa obręcz zacisnęła się wokół skroni ze zdwojoną siłą.

Dzwonił brat Pawła. Damian rozmawiał z nim wtedy pierwszy raz w życiu.

– Paweł zginął dziś rano pod kołami pociągu... Pogrzeb będzie w czwartek o siedemnastej. Przyjdź, proszę – powiedział, a potem się rozłączył, nawet nie czekając na odpowiedź.

*

Na pogrzebie najgłośniej płakał ojciec Pawła. Niósł trumnę razem z jego bratem, który wyglądał, jakby chciało mu się wymiotować, i dwoma grabarzami, dla których to był dzień jak każdy inny.

Przyszli wszyscy z klasy, mimo że nawet Pawła nie lubili, niektórzy wręcz nim pogardzali. Nie minął miesiąc od czasu, jak czterech chłopaków skopało go w szatni zupełnie bez powodu. Teraz te same typki stały przed jego trumną, powoli opuszczaną do ziemi na grubych linach.

Damian nie czuł się już ani sponiewierany, ani chory. Wiedział, że tamte sny i wizje nie były przypadkowe. Przewidział to, co się stało. Tamtego dnia jego przedziwna supermoc – czy może raczej superniemoc – po raz pierwszy objawiła się w bolesnej pełni.

W czasie pogrzebu był jak nieobecny. Rozmowy i modlitwy brzmiały absurdalnie.

Potem cały wieczór słuchał składanki Conora Smitha i starał się na bieżąco tłumaczyć teksty, które w ogólnym zarysie brzmiały jak list pożegnalny. Ostatnia z piosenek, *Give me one good reason not to do it*, mówiła o zadręczonym przez rówieśników nastolatku, który kładzie się na torach i czeka na moment, gdy wreszcie przestanie czuć cokolwiek.

Do pokoju przyszli rodzice. Matka gładziła go po głowie, a ojciec pytał o „tego chłopaka i straszną tragedię jego rodziny”, chciał wiedzieć, czy Damian go znał i czy wiedział, co się dzieje.

Nie odpowiedział.

Zamknął oczy i ujrzał wokół siebie betonowe pustkowie, zmiażdżone kataklizmem miasto i cień czegoś koszmarnego, co wiło się w oddali. Widział miejsce, w którym mieszkam ja.

2022

Should I tear my eyes out now?

Everything I see returns to you somehow

Should I tear my heart out now?

Everything I feel returns to you somehow

I want to save you from your sorrow

Sufjan Stevens

Damian i Agata

Dziś wieczorem mieli iść na koncert najsmutniejszego człowieka na świecie, ale nie czuli aż takiej ekscytacji, jakiej można się było spodziewać.

Agata ziewała nad kawą, myśląc o słowach, które przez sen wypowiedział Damian. Obudził ją, krzycząc kilkakrotnie: „Tam go nie ma! Tam nie ma nikogo!”. Po chwili zerwał się do pozycji półsiedzącej i powiedział całkiem wyraźnie, choć łamiącym się głosem:

– Nie wstawaj. Błagam cię. Wąż na ręce. Idzie inferno.

Potem opadł na poduszkę i spał dalej, rano niczego nie pamiętając. Agata przestraszyła się wtedy nie na żarty, choć przecież wiedziała, że jej facet czasem gada przez sen, a nieraz nawet na jawie ma dziwne wizje i towarzyszące im odjazdy. Tym razem jednak było inaczej – czuła, że wypowiedziane słowa skierował bezpośrednio do niej. To miało być ostrzeżenie, lecz nie miała pojęcia przed czym. Ja oczywiście wiedziałem, ale niemy i niewidzialny nie mogłem wyjaśnić Agacie, że coś potwornego wydarzy się jeszcze tego samego dnia.

Teraz Damian wędrował w tę i we w tę po mieszkaniu, najwyraźniej czegoś szukając. Schylał się, wodził wzrokiem po półkach i zaglądał do szuflad. Kręcił głową z niedowierzaniem i mamrotał bliżej niezidentyfikowane kwestie. Ledwie godzinę wcześniej zażył sto pięćdziesiąt miligramów trazodoxu, którym próbował podbić nastrój, zazwyczaj ustawiany braną przed śniadaniem wenlafaksyną. Dziś obudził się – jak twierdził – o bladym świecie i nie znalazł nawet jednego powodu, dla którego życie na naszej planecie miałoby dalej trwać. Wszystko powinno zostać unicestwione. Wystarczy jeden ognisty podmuch. Jeden podmuch. I nic. Koniec. Popiół. Mówił o tym, jakby się modlił. Gdy Agata zapytała, czemu takie myśli przyszły mu do głowy akurat teraz, skoro tak niewiele czasu dzieliło go od zobaczenia i usłyszenia najsmutniejszego człowieka na świecie, a zarazem jego ulubionego wykonawcy, nie potrafił udzielić

składnej odpowiedzi. Dziewczyna znała przynajmniej niektóre z dręczących Damiana demonów, wiedziała więc, że rozwiązaniem bywa zwiększona wyrozumiałość i empatia. Potem połknął trazodox, popił mineralną i w końcu spłynęło na niego oczekiwane wyciszenie. Nie wspomniała mu o tym, co wygadywał w nocy. Skoro obudził się w tak paskudnym nastroju, nie miała zamiaru jeszcze jego stanu pogarszać.

– Skąd właściwie pomysł, że to Smith jest najsmutniejszy na świecie? – zastanawiał się głośno Damian, nadal rozglądając się za czymś. – Jak to zmierzyć? Może ja jestem dużo smutniejszy od niego? Może jakieś dzieci na Ukrainie czy w innej Ugandzie są tak smutne, że nawet nie umiemy sobie wyobrazić?

Agata nie była pewna, czy nie są to przypadkiem pytania retoryczne, ale postanowiła zająć jakieś – tym razem wsparte Wikipedią – stanowisko.

– Wiesz o nim więcej ode mnie. Przy którejś z kolei próbie samobójczej chciał wbić sobie nóż w serce. Od tamtej pory muszą go pilnować dwadzieścia cztery godziny na dobę. Podobno nawet na koncertach szuka tylko okazji, żeby ze sobą skończyć. Sam powtarzałeś mi to do znudzenia. Co się z tobą dzieje?

Damian zamyślił się na chwilę, dochodząc do wniosku, że kwestia tego, kto jest naprawdę najsmutniejszy na świecie, należy do tych nierozstrzygalnych, więc dalej szukał czegoś, czego najwyraźniej od dobrych czterdziestu minut nie potrafił znaleźć. To zadziwiające, że po trazodoxie nadal musiał być w ciągłym ruchu. Zazwyczaj nawet o połowę mniejsza dawka sprawiała, że długimi godzinami leżał i nie zastanawiał się nad niczym, spokojny jak rzucony w głębinę kamień.

Na lekach był od czasów studenckich, przez co wspomnienia trzeciej dekady jego życia bywają mgliste albo wybrakowane. Mam wielkie szczęście, że wiele kluczowych momentów ocalało. Oczywiście, gdyby wiedźma zechciała to wszystko unicestwić, nikt by jej nie powstrzymał, ale wtedy ja też przestałbym istnieć, a to byłoby nie po jej myśli. Z jakiegoś powodu chciała, żebym żył, czy może raczej: żebym nigdy nie umarł.

Damian zastygł z ręką wyciągniętą przed siebie. Poczujęm się, jakby próbował dotknąć mojej twarzy, ale wiedziałem, że to niemożliwe, musiał

sięgać po coś, co było tuż za mną.

– Czego szukasz? – zapytała w końcu Agata.

Nie była przekonana, czy w ogóle powinna zadawać jakiegokolwiek pytania. Może jej facet po prostu chciał być czymś zajęty przed koncertem, może nie zamierzał tylko siedzieć nieruchomo i rozmyślać o potężnej dawce smutku, jaką zaaplikuje im amerykański wirtuoz cierpienia, Conor Smith. Agata trochę się tego bała. Miała wystarczająco wiele własnych zmartwień, by dołować się, słuchając kogoś, kto żyje z przerabiania własnych traum na sztukę. Fenomen Smitha wydawał się pociągający, jednak było w tym wszystkim coś chorego, jak przyglądanie się ulicznej kraksie. Może celowo pomijała najważniejsze. Nigdy nie rozważała na poważnie samobójstwa ani nie musiała każdego dnia faszerować się psychotropami jak Damian, i pewnie dlatego najsmutniejszy wykonawca w dziejach nie przyprawiał jej o dreszcze.

– Sam nie wiem – odpowiedział. – Biletów?

– Mówiłam ci już, mam je ściągnięte na kartę. A kartę wrzuciłam do torebki.

Popatrzył na nią przeszywająco, jakby poczuł się urażony. Potem się zaśmiał.

– Aha. No to pewnie nie o nie chodziło. – Wysunął z regału losowo wybraną książkę, otworzył i przeczytał zamieszczone na piątej stronie motto: – *Świat jest mną znudzony, podobnie jak ja nim...* Wspaniale. Żeby tylko pamiętał, co było dalej.

Odłożył książkę na miejsce i rozsiadł się w fotelu. Bardzo chciał poczuć jakieś – jakiegokolwiek – emocje w związku z dzisiejszym koncertem, ale wszystko na nic. Z samego rana był wyłącznie zrozpaczony, teraz, po lekach, ten dramatyzm wyparował gdzieś, a na jego miejscu nie pojawiło się nic nowego. Damian pomyślał, że jest pusty. Mógłby pójść do kuchni i odkroić sobie palec. Całkiem możliwe, że zamiast krwi z rany wypłynęłaby czysta woda.

– Czemu ciągle jesteś taki wykończony? – spytała i natychmiast po jego minie oceniła, że to było pytanie nieroztropne.

– To jest tak... Cząsteczki, z których się składam, mają prawie czternaście miliardów lat. Mam prawo czuć się stary, zmęczony i zniechęcony.

Agata już chciała odpowiedzieć, żeby nie pieprzył, bo przecież wszyscy składają się z równie starych cząsteczek, a mimo to nie tracą życia na użalanie się nad sobą, ale ugryzła się w język. To by było zbyt okrutne. Jak naśmiewanie się z choroby.

Damian zamknął oczy i pogрузił się w zwyczajowej autoanalizie. Czy tuż po obudzeniu poczuł się źle z powodu kolejnych koszmarów? Żadnych przecież nie zapamiętał. Ale były, to rozumiałe, podobno ludzie śnią prawie zawsze, a gdy on ma sny, to właśnie koszmary. Może winna była pogoda albo niepewna sytuacja na Wschodzie? Trudno zawyrokować. Kiedyś, gdy jeszcze nie spotykali się ze sobą na poważnie, w rozmowie z Agatą zaczął – chyba chcąc zrobić na niej wrażenie – szczegółowo analizować przyczyny swojego smutku, który wymykał się wszelkim definicjom, atakował zniechęca i bez konkretnych powodów. Damian pozapisywał nawet swoje przypuszczenia w jakimś pliku tekstowym. Najbardziej wyraźny wydawał się związek jego stanów emocjonalnych z tym, co miało się wydarzyć w najbliższej przyszłości. Budził się mokry od potu i widział w immersjonecie, że w nocy była katastrofa lotnicza, prawie dwieście osób, w tym mnóstwo kobiet i dzieci, opadło na dno oceanu. Czy winna była jego rozrośnięta poza jakiegokolwiek granice empatia? Nawet nie wiedząc o tym fakcie, po przebudzeniu czuł się, jakby tonął: ciało otulone nagłym chłodem, skulone na łóżku w pozycji embrionalnej. Co mógł zrobić? Wszystko we mnie umarło, powtarzał, nie mając pojęcia, kto mógłby odpowiedzieć. Potem nastąpił kolejny mało przypadkowy przypadek: zamach bombowy w którymś z tych krajów, gdzie tylko piach i zgroza, a on jeszcze kilka godzin przed pierwszymi medialnymi doniesieniami był jak rozerwany przez bombę. Ciało w strzępach, dusza jak zwęglona twarz niemowlęcia, kończyny zdrętwiałe, zmiażdżone tonami widmowego gruzu, trudne w obsłudze, być może to oznaczało fantomowe bóle. Od dnia gdy Paweł położył się na torach, takie stany zdarzały się Damianowi przynajmniej raz na kilka tygodni. Przez to w liceum stał się

jeszcze większym wyrzutkiem niż wcześniej. Zupełnie jakby rówieśnicy żyli w świecie równoległym do tego, który znał on. Nie potrafił się z nimi porozumiewać, najprostsze czynności przychodziły mu z trudem. Na studiach ze strachu przed koszmarami zapadł na ciężką bezsenność, potem był psychiatra i pierwsze dawki leków. Wtedy jednak jego wizje stały się na tyle szczegółowe, że w skrajnych przypadkach był nawet w stanie podać liczbę ofiar. A dzisiaj? Coś wisiało w powietrzu, więcej nie umiał powiedzieć. Jakiś potwór tu nadchodził, to było pewne, tylko Damian nie widział go ani nie słyszał.

Założył lensy i skrupulatnie poprzekręcał najaktualniejsze infobańki. Jakby na złość Damianowi przeważały – jak nigdy – umiarkowane pozytywne wiadomości.

Pogoda też nie była bez znaczenia. Jeśli wpadał w dół przy bezchmurnym niebie, wiedział doskonale, że wieczorem przyjdzie nagle czarne i skłębi się nad miastem, a on wypełni się strachem i szumem. Czuł to, nawet jeśli najlepsi meteorologowie w kraju mieli inne zdanie. Teraz po prostu nie był pewny. Zresztą zaczynały już działać leki, emocjonalne EEG spłaszczało się momentami do poziomej linii. Pewnie Agata miała rację: za bardzo w ostatnich miesiącach utożsamiał się z Conorem Smithem. Stał się jego cieniem. Słuchał go na okrągło, analizował każdy wers każdej piosenki, każdą pomyłkę akordu czy słów utworu na uwiecznionym drżącą kamerą występie. Wreszcie, po tylu latach, miał po raz pierwszy zobaczyć i usłyszeć idola bezpośrednio, nie przez słuchawki, nie przez głośniki, nie przez ekrany czy immersjonetowe hologramy.

– Z Ksawerym widzimy się już na miejscu czy jakoś wcześniej? – zapytała nagle Agata, wrywając Damiana z rozmyślań.

I wtedy coś w nim zaskoczyło. Przecież od początku o to mu chodziło: niczego nie szukał, po prostu Ksawery miał powiedzieć, jak się dziś ustawiają. Rozejrzał się bezradnie po pokoju. Ruchem gałek ocznych włączył holograficzny komunikator w podręcznym menu lensów.

Pieprzony trazodox, pomyślał, przesuwając zdrętwiałymi palcami po policzku.

Ksawery

– Znikają coraz większe połacie moich wewnętrznych krajobrazów – wymamrotał Ksawery, kręcąc głową. – Albo: mgła niepamięci zasnuwa osiedle wspomnień... Też nie, no to może...

Szedł Grodzką na Stradom, gdzie mieszkał w niewielkiej, ale przytulnej kawalerce, sprezentowanej mu przez rodziców, gdy zaczynał studia. Znów to robił: redagował na głos swoje myśli, żeby wybrać taką, którą warto będzie utrwalić. Od lat miał obsesję zostawienia po sobie czegoś wartościowego, najlepiej solidnej prozy. Pisanie było najskuteczniejszym sposobem odbijania sobie niepowodzeń, a im więcej ich było, tym bardziej obsesyjnie tworzył.

Ledwie chwilę wcześniej po raz kolejny, już chyba dwudziesty w tym miesiącu, odwiedził księgarnię Tania Książka, próbując znaleźć jakiś nieodkryty dotąd literacki skarb, przeceniony – jak to się często skarbom zdarza – nawet o dziewięćdziesiąt procent. W czasach gdy tak zwana proza artystyczna nie interesowała już naprawdę nikogo, on uczeplił się jej z desperacją tonącego. Czytał i pisał, reszta się nie liczyła. Wyobraźnia pęczniała od pomysłów, był już pewien, że urodzi mu się powieść. Zatytułował ją *Klasyki Taniej Książki*. Miała być hołdem dla przegranych, niespełnionych, niesprzedanych.

Oczywiście znał realia. Ten cały plan to rzecz jasna porywanie się z rysikiem na kosmos – niemal wszyscy ankietowani wśród ulubionych form rozrywki wymieniali granie w gry (78%), doświadczenia interaktywne i wirtualne symulacje (71%) oraz przebywanie w immersjonecie (63%). Czytanie beletrystyki znalazło się w ankiecie na miejscu szesnastym.

Ale miał to gdzieś... Do masowego odbiorcy tak czy siak już docierał – w końcu był writerem w lokalnym oddziale korporacji CyberArts, jednej z trzech największych w branży elektronicznych gier i doświadczeń. Robił proste rzeczy, skrypty do Doświadczeń czy Nakładek Percepcji, narrative

design Wirtualnych Escape Roomów i tak dalej. Było to o tyle dobre, że zapewniało regularny napływ coinów na konto.

Wszystkie myśli jednak orbitowały wokół powieści. I lęku przed amnezją.

Mam nadzieję, że to nie alzheimer, myślał idąc dalej, po prawej mając masywną bryłę Wawelu, oświetlaną obecnie przez kilkanaście japońskich dronów, kręcących wolumetryczne klipy, a po lewej niedawno otwartą kawiarnię, gdzie przy oknie siedziała samotnie wpatrzona w Holotab rudowłosa, piegowata dziewczyna, najwyraźniej płacząc.

Czy w moim wieku w ogóle można na to gównu zapaść? – zastanawiał się. Nie tak dawno przekroczył trzydziestkę i niespecjalnie podobała mu się wizja spędzenia kolejnych dziesięcioleci jako osoba zaśliniona i sformatowana do czysta. Pod pewnymi względami nawet go rozumiem, gdybym nie znał myśli Damiana, Agaty i właśnie Ksawerego, tkwiłbym w absolutnej próżni.

A wszystko prawdopodobnie przez dopalacze. Ksawery chciał się poczuć jak oldschoolowiec, kupił przez sieć woreczek, trzy dziesiąte grama, nadal pachnący minioną dekadą. Teraz dzieciaki wołały designerskie sole potęgujące zawieszenie niewiary, połączone z VR-owym odjazdem albo schizującą symulacją, ale Ksawery mógł to mieć na co dzień, więc niespecjalnie się tym jarał.

Zresztą jego intencje były czyste: nie zamierzał się po prostu naćpać, tylko zaliczyć kreatywnego kopa. Za pierwszym razem pociągnął z lufki trzy razy i szybko zasiadł przed odkurzoną na tę okazję klawiaturą, jak to się robiło w czasach, gdy jeszcze immersjo nie ośmieszyło pojęcia komputera jako takiego. Ale zamiast od razu odpalić edytor, ogarnięty nagłą nostalgią puścił sobie na lensach jakiś stary koncert Radiohead, z okresu Kid A, który pierwszy raz widział jako nastolatek. Potem zapodał e-draga: barwny tunel zmierzający nie wiadomo gdzie, na jego końcu czarna gwiazda czy raczej wirujący pentagram, a może nawet sina twarz samego diabła. Minęło kilka godzin i klip się skończył. Ksawery, skurczony niczym martwe słońce, spojrział w podręczne menu, skąd wyjął zegarek i przekonał się, że filmik trwał ledwie dwie minuty. Zgarbiony i zrezygnowany powłókł się do łóżka i próbował zasnąć, chociaż nie był w stanie.

Mijały jałowe pod względem twórczym tygodnie, w pracy był jak zombie, co zresztą miało w sobie sporo ironii, bo właśnie pisał narrację do krótkiej VR-owej produkcji o ataku żywych trupów. Gracz jest uwięziony w laboratorium szalonego naukowca, musi rozwiązywać coraz trudniejsze zagadki, by na końcu stworzyć serum, ale łatwo nie jest, truposze walą drzwiami i oknami. Ksawery patrzył na spisywane kwestie i płakał nad własną artystyczną impotencją.

W końcu stwierdził, że na trzeźwo nie przetrwa i zapalił po raz kolejny. Usiadł przy oknie, popatrzył chwilę na nocne miasto, wszystkie te światła, neonowe holografie, błyszczące powłoki dronów, a potem zaciągnął żaluzje, gasząc świat zewnętrzny. I zajarzał z lufki, zupełnie jak poprzednio. Po kilku pociągnięciach nie było efektu. Trochę sucho w gębie, nic więcej. Otworzył lodówkę, z której buchnęło w niego niewyobrażalnym chłodem, poraziło oczy śnieżnobiałym blaskiem. Jedną ręką zasłaniając twarz, drugą wymacał butelkę coli, ledwie upił parę łyków, zrobiła się pusta. Lodówka lekko zachrypniętym głosem wzorowanym na Scarlett Johansson, upomniała go, że właśnie pochłonął czterysta siedemnaście kalorii i sto sześć gramów cukru.

– Ta znowu swoje – jęknął, a potem wybełkotał jeszcze: – To info mi teraz jak piździe wasy potrzebne, serio. – Zamknął szybko drzwiczki, dygocąc niczym w zamieci. Znów pożałował, że zaktualizował oprogramowanie tego grata i musiał wysłuchiwać podobnych pierdów raz za razem.

Usiadł, przypalił i zacisnął wargi, kolejną chmurę trzymając w płucach tak długo, aż przed oczami zatańczyły mu cienie. Były ich setki, jakby pod tynkiem wyrosły szarawe gałęzie, jakieś konary, pnącza, ciemne owoce.

– Dobrze nie jest – wyszeptał Ksawery, ostatkiem sił rzucając własne zwłoki na łóżko, a raczej w tę przedziwną gęstwinę kołder i poduszek.

– Dobrze nie, ale za to zajebicie – powiedział ktoś na głos, całkiem możliwe, że nawet sam Ksawery, bo to już z pewnością on właśnie sekundę później ryknął takim śmiechem, że zatrzęsło się całe mieszkanie. Potem zaczął spadać i już nie było zabawnie.

Przeziąłem, umieram, pomyślał i doszedł do wniosku, że trochę szkoda, bo życie było jednak ogromną szansą, nie zrozumiał tego w porę, nie docenił, miał tyle możliwości na wyciągnięcie ręki, tyle miejsc, w których nie był, tylu ludzi, których nie poznał, nie spotkał nawet jeszcze miłości swojego życia, szkoda, wielka szkoda.

Tyle że był w błędzie, miał nie tylko przeżyć, ale też przyczynić się do śmierci ośmiu miliardów istnień. I mimo że wydawał mi się teraz tak żałosny, że aż komiczny, nie potrafiłem o tym zapomnieć.

Przed oczami zamiast scen z własnego życia przemknęło mu kilka fabuł zakupionych w Taniej Książce powieści. *Skórzana maska* Archimboldiego, *Ostatnie Limbotorium* Matyldy Ruff i *Piekło we mnie* Karola Mansona. Znakomite porcje prozy, a nie słyszał o nich nawet krytyk z kulawą nogą. Na dodatek po przecenie żadna nie została oszacowana na więcej niż dziesięć coinów. I wtedy właśnie na Ksawerego spłynęło objawienie: a jeśliby tak o tym napisać? Stworzyć opowieść, która odda wreszcie sprawiedliwość wielkim niedocenionym?!

– Ależ to będzie hit! – wykrzyknął i poddając się iście dionizyjskim siłom, które nagle w niego wstąpiły, zerwał się z łóżka i zaczął wędrować w tę i we w tę po mieszkaniu, unosząc ręce w górę, jakby już zwyciężył, jeszcze przed ostatecznym pojedynkiem z materią słowa, od razu techniczny nokaut, sędziowie nadzwyczaj zgodni, pięści wzniesione pod sufit, przyznanie mu Nobla było kwestią tygodni.

Ochłonawszy trochę, założył lensy, usiadł przed klawiaturą i zaczął pisać; szeroka na metr ściana tekstu płynęła w górę niczym napisy na początku *Gwiezdnych wojen*, akapit za akapitem wsiąkał w jego podręczną chmurę danych.

I ten twórczy szal władał nim aż do dzisiaj, co byłoby wspaniałe, gdyby nie idąca z tym w parze niepamięć. Wydarzenia ostatnich dni bywały często trudną do rozwikłania zagadką. Nieraz budził się na schodach swojej kamienicy, całkowicie ubrany, wsparty pewnie o poręcz, nie wiedząc, czy wraca skądś, czy dopiero wychodzi. Po kieszeniach znajdował rachunki – jedyny materialny ślad tego, co mógł robić podczas minionych bezpowrotnie – i bezpamiętnie – godzin. Napój energetyczny kupiony o 16:44. Zmięty

strzęp biletu do Kina Pod Baranami. Naprawdę był wczoraj o dziewiętnastej na filmie *Wszystkie drogi prowadzą do zapomnienia?* W pełni świadomie wybrał się na coś z takim tytułem, oczywiście nie zachowując w pamięci niczego oprócz rozważań, że aktorka grająca główną rolę wyglądała młodziej niż w młodości... Przeszłość zaczęła ograniczać się do kilku budzących mętne skojarzenia śladów, pustych opakowań, oderwanych metek, skasowanych biletów. Ułożenie ich w logiczną historię leżało wyłącznie w gestii Ksawerego. Pod tym względem mogłem się z nim w pełni utożsamiać, robiliśmy w gruncie rzeczy to samo: on błędząc w zgliszczach swojego zwęglonego dopalaczami mózgu, ja zaś błakając się wśród ruin martwej cywilizacji. I gdyby nie fakt, że to dziurawy umysł Ksawerego tę cywilizację uśmierci, byłoby to okropnie śmieszne.

Dziś na szczęście czuł się nieco lepiej, wiedział dokładnie, gdzie był i dokąd wraca. Zastanawiał się czasami, czy byłby innym, mniej skorym do ćpania człowiekiem, gdyby rodzice nie faszzerowali go metylofenidatem – bardziej znanym jako ritalin – odkąd w wieku lat dziesięciu osiągnął szczyty nadpobudliwości. Też się nad tym zastanawiam, patrząc, jak wspina się po schodach, a potem, nie mogąc znaleźć karty, otwiera drzwi skanerem tęczówki i wchodzi do mieszkania.

Ledwie minął próg, w polu widzenia niespodziewanie pojawiła się jasna holografia, niczym światełko w tunelu jego korytarza.

– Miąłeś dać znać co i jak – rzucił jakiś męski, a może chłopięcy głos z drugiej strony.

Zdezorientowany Ksawery zamrugnął, a potem zerknął raz jeszcze na rozpixselowaną zakłóceniami postać, chcąc zidentyfikować rozmówcę, przypisać mu twarz i kształt. Gdy apka komunikatora przestała się bugować, wszystko do niego dotarło. Damian. Jasne włosy, grzywka na bok, uśmiech w wiecznym zaniku, oczy jakby zawsze na krawędzi płaczu, ale Ksawery nie ocenia po pozorach i powierzchniach, każdy ma jednak własne otchłanie, wloką się za nami jak czarne psiska na zbyt krótkich smyczach... Zaraz, jeszcze raz: Damian! Ten Damian! Przecież to był jego jedyny prawdziwy przyjaciel! O ile oczywiście w wieku dwudziestym pierwszym cokolwiek może być prawdziwe. I nie jest to żadna twarz zastygła w masce

wiecznego przybicia, tylko świetny facet, tyle że rażony depresją, która mąciła mu w głowie i w sercu. No Boże bezbrzeżny! Znali się, kurczę, właściwie od niemowlęctwa, choć z ponad dziesięcioletnią przerwą. Ksawery sam również sporo o smutku wiedział, i choć nie nazwałby siebie żadnym maestro cierpienia, jego egzystencjalne podstawy poznał aż za dobrze. Rzekłby: od podszewki. I ten właśnie wniosek, że wszystko podszyte jest niczym, przepchnął go z manowców wirtualnych uciech na tory literackie. Damian nie miał tyle szczęścia, jego własna pustka nie mogła wydostać się na zewnątrz, zrobić miejsca czemukolwiek innemu. I na dodatek przygnębienie tamtego – bez wątpienia inspirujące i dające do myślenia wszystkim z jego otoczenia – było czymś trudnym do opisanie, zaskakującym, biorącym się jakby znikąd, piorunem kulistym krążącym po roztańczonej sali balowej, tropikalnym zwierzęciem budzącym się nagle pośrodku białych lodów Antarktydy.

Czego chciał teraz? Z najgłębszych czeluści wołać ku Ksaweremu?

– Halo? Widzisz mnie? Jesteś tam? – raz jeszcze odezwał się kolega.

– Pewnie. Co się dzieje? – zapytał Ksawery, starając się ukryć zaniepokojenie.

– Za godzinę idziemy na Conora Smitha, miałeś się określić. Wypadałoby się ustawić trochę wcześniej, to zadupie jest.

Ksawery przez chwilę zastanawiał się nad sensem tego wszystkiego. Wiedział, że wypowiedziana została jakaś kwestia. Składała się ona ze słów należących niewątpliwie do bogatych zasobów języka polskiego. Tyle że on zwyczajnie nie pojmował, czego to miało się tyczyć, nie pojmował, czy słowa te nie były tylko zbiorem zbitych w losowy ciąg neologizmów.

Alzheimer, pomyślał. Mam to. Poznikały wewnętrzne krajobrazy. Język ojczysty jak ogon jaszczurki – amputowany wala się wśród piachu smaganego wiatrem.

– Ej, jesteś tam jeszcze?

Jakaż ulga, gdy nagle powrócił rozum, gdy przyszło zrozumienie, o co chodzi i czemu, i czego Damian chciał od niego.

– Przepraszam, zawiesiłem się. Ja ci nie pisałem dziś rano w sprawie tego koncertu? – skłamał, bo o tym, że ktoś ma dziś grać i że on ma bilet

kupiony dwa miesiące temu, przypomniał sobie teraz. Da w ogóle radę zdążyć? Całe szczęście, że pewnie są wcześniej jakieś supporty. – Jeśli nie, to sorry. Za pięć minut wychodzę. Dzięki, żeś mi się przypomniał. Gdzie to jest konkretnie?

– Klub Kwadrat. Parę minut z buta od przystanku obok dawnego Geanta. Jak to się teraz nazywa?

Ksawery odniósł wrażenie, że ta ostatnia kwestia nie została skierowana do niego. Jakby na potwierdzenie, gdzieś w dalekim tle odezwał się bezcielesny kobiecy głos.

– Centrum Handlowe Atum – ciągnął Damian. – Przystanek Bora-Komorowskiego.

– No to tam wysiądę – odpowiedział Ksawery tonem pełnym niespodziewanego rozmarzenia. Nie wiedział, skąd się owo rozmarzenie wzięło. Do jazdy komunikacją miejską tęsknił nie bardziej niż do trzęsienia ziemi.

– Więc jak?

– To może widzimy się na tym przystanku... – Zerknął na apkę zegarka. Była już osiemnasta pięćdziesiąt. – ...tak za dziesięć ósma.

– Dobra – odpowiedział po chwili namysłu kolega. – Conora pewnie i tak nie wepchną na scenę przed dwudziestą trzecią.

To uzgodniwszy, pożegnali się, a holografia kolegi wsiąknęła w podłogę.

Ksawery popatrzył na pudełeczko z trzema sztukami RamReplaya, które przyniósł z roboty. Doszedł do wniosku, że dobrze byłoby skorzystać z okazji, skoro całą trójką idą na tego Smitha.

Przyglądałem mu się uważnie, myśląc o tym, że gdyby Ksawery jednak nie dotarł na tamten koncert albo chociaż nie sięgnął po to pudełko, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej.

Potem wyszedłem z jego mieszkania, nie drzwiami, lecz przez rozerwaną wybuchem ścianę.

Agata

Czytała kiedyś, że chwile pozbawione emocjonalnego zabarwienia nie zostają zapamiętane, i rozmyślała o tym teraz, gdy jechali taksówką na koncert najsmutniejszego człowieka na świecie. Bała się, że jej zawsze nafaszerowany psychotropami ukochany, Damian, z tego i innych dni nie zapamięta zupełnie niczego.

Damian siedział obok. Nie patrzył na Agatę, tylko za szybę, wodząc nieobecny spojrzeniem za światłami mijanych aut. Wiedziała, że rano czuł się fatalnie, więc zażył coś, by przestać czuć cokolwiek. Nie miała z tym problemu, choć wołałaby, żeby był w stanie żyć inaczej. Po lekach zazwyczaj robił wszystko w zwolnionym tempie, z gorszą koordynacją, i przez to właśnie spóźnili się na autobus, więc musieli zamawiać taksówkę i przepłacać.

Sama nigdy nie potrzebowała antydepresyjnego wspomaganie. Choć bywało w jej życiu różnie, nigdy nie tkwiła w dole zbyt długo. Potrafiła się wypłakać i szybko wrócić na powierzchnię. Posiadała więc wyłącznie teoretyczną wiedzę o bezsenności, depresji czy psychozie, czasem dostrzegając bolesne ucieleśnienie tych stanów w Damianie. Pod wieloma względami stanowił jej przeciwieństwo – rozregulowany, trudny do odczytania, często nieuchwytny niczym kropla rtęci wymykająca się spomiędzy palców. Była tym na równi przerażona i zafascynowana. Mówił, że nie zdiagnozowano mu schizofrenii, ale gdy opowiadał o tym, co zdarzało mu się widzieć i słyszeć, nie była tego taka pewna. Był chory, to jasne, ale w chwilach zdrowia był dla niej lepszy niż ktokolwiek. W najgorszych momentach z kolei odnosiła wrażenie, że żadne jej zabiegi nie mogą wpłynąć na poprawę jego stanu. Stali wtedy po dwóch stronach ściany: po jednej jej biała magia, po drugiej jego czarna rozpacz, po jednej jej próby wskazania mu sensu w świecie, po drugiej jego pustka, apatia i bezruch.

Koleżanki nieraz ją pytały, czemu jest z kimś takim. Znały go jako małowównego gburę, który sprawiał wrażenie, jakby próbował się wywyższać, ale to był obraz nie tyle połowiczny, co błędny. Mogłaby im opowiadać o prawdziwej miłości, poświęceniu będącym fundamentem ludzkiego doświadczenia, ale przecież i taka odpowiedź też byłaby czymś niepełnym. Agata od zawsze miała potrzebę, żeby ktoś ją zdefiniował, nadał jej ostateczny kształt, którego sama nigdy nie potrafiła przyjąć. Czym ma być dziewczyna, a potem kobieta? Padające zewsząd dobre rady dla niej brzmiały tak, jakby miały zagłuszyć niespełnienie mówiących. Wierzyła w to, że Damian wyciągnął z niej najlepsze, co posiadała. Nie chciała tego tracić, mimo wyzwania przekraczających niekiedy ludzkie siły.

Teraz było dobrze, powtarzała nieustannie, stając się wreszcie taką wersją siebie, jakiej zawsze oczekiwała. Jeśli ceną za lśnienie pełnym blaskiem musiała być coraz głębsza ciemność Damiana, godziła się na to. Zresztą to dzięki jego stanom emocjonalnym była komuś naprawdę niezbędna, tak na życie i śmierć.

Z facetami miała wcześniej doświadczenia niemal wyłącznie koszarne. Aż dziwne, że nie odbiło się to na niej mocniej. Kronikę jej związkowych przypadków można by cytować tygodniami, śmiejąc się histerycznie albo wzdychając z niedowierzaniem. Pierwszy chłopak, lat szesnaście, zostawia cię po miesiącu, wybierając jedną z twoich najlepszych koleżanek. Co później? Trwający prawie rok związek rozpada się z łomotem, bo ukochany tuż po wyjeździe na studia do innego miasta zaczyna łomotać kogo popadnie, specjalnie się z tym nie ukrywając. Zdarzały się też zgoła patologiczne kurioza: sympatyczny koleś, z którym przespałaś się w końcu po czwartej cudownej randce, rozbrojona jego szarmancją, poczuciem humoru i wyśmienitym winem, z samego rana rzuca ci parę banknotów, mówiąc: „Dzięki, byłaś naprawdę niezła”, po czym wychodzi, zanim wciąż zaspana zdążysz wyrazić sprzeciw, a potem zrywa wszelkie kontakty i usuwa cię z kręgu sieciowych znajomych. Czy dziewczyna szukająca potwierdzenia samej siebie w oczach innych może ocalić godność, gdy ktoś ją – romantyczkę z nutką pragmatyzmu – kreuje na wywłokę? Nie załamana się

jednak. Płakała do snu, łkała, aż zaczynało boleć gardło, ale rano znów nie tyle wstawiała, co zmartwychwstawiała.

Gdy tak przyglądam się jej, w tej ciasnej taksówce, wolno ciągnącej estakadą Rozwadowskiego w stronę niedalekiego już celu, jestem pełen podziwu. Chciałbym ją przytulić, ale moje widmo tylko przenika jej skórę i kości. Gdybym mógł, kochałbym ją całym sercem, którego nie mam... mimo że to z jej powodu moja macocha jest wiedźmą, to przez nią słońce zaćmiła ta pokraczna sylwetka, koszmar o czerwonych ślepiach, haczykowatym nosie i szponach zdolnych patroszyć tak ludzi, jak wieżowce.

Uśmiechnęła się, choć z jakiegoś powodu nie mogła przełknąć śliny. Damian ją kochał, przecież mówił o tym codziennie. Wprawdzie czasem jego słowa brzmiały głucho, nie rezonując żadnym echem w jej wnętrzu, wprawdzie w jego oczach coraz rzadziej dostrzegała iskrę życia, ale nie musiało to znaczyć, że jego uczucia są podyktowane chwilową euforią chemicznego wspomagania. Gdy wyłaniał się z mgły, którą spowijały go poprawiające samopoczucie medykamenty, był sto razy lepszy niż którykolwiek z jej poprzednich facetów. On nie potrafiłby rzucić w nią kasą i trzasnąć drzwiami, nie mógłby ślinić się do jej przyjaciółek ani błędzić w pijanym widzie po jakichś akademikach, szukając pierwszej chętnej – do głowy by mu to nie przyszło.

Wzięła go za rękę, głaszcząc ją z czułością. Damian odwrócił się na moment, popatrzył na Agatę z czymś w rodzaju lekkiego niedowierzania, a potem uśmiechnął się na ułamek sekundy i znów spojrzał za szybę.

Czemu mam wrażenie, jakbym jechał nie na koncert, tylko po wyrok? – pytał się w myślach. Skąd niepokój? W zasięgu wzroku nie dostrzegał jednak żadnych spiętrzonych chmur, wbijających się w bryłę miasta jasnym gromem. Nie chodziło więc o pogodę. Przeglądając wiadomości, nie zdołał wyłowić jakiegokolwiek katastrofy. Działanie trazodoxu zmalało, emocje ujawniały się jedna po drugiej jak czarne boje na wzburzonym oceanie. Czemu te wizje stały się tak nieuchwytnie, cóż to za moc, która zrujnowałaby życie nawet największym superbohaterom?

W zamyśleniu przesunął dłonią po policzku, wyczuwając nierówności szwów.

– Agata? Co to jest? Co ja tu mam?

Wydawał się przerażony.

– Spokojnie, z twoją twarzą nic się nie dzieje – odparła.

Gdy znów pomacał policzek, nie wyczuł już szwów pod opuszkami. Zamknął oczy i skupił się na oddychaniu.

Agata zerknęła na pusty fotel kierowcy, śledząc wzrokiem ruchy kierownicy, jakby w widmowych dłoniach ścisnął ją duch taksówkarza. Ale nie było już taksówkarzy, a ona nadal nie mogła się przyzwyczaić, że nikt nie próbuje do niej zagadać. Od ciszy wołała bzdurne rozmowy o niczym, milczenia nie znosiła. Damian z kolei nigdy nie lubił, gdy kierowcy się do niego odzywali, w ogóle nie cierpiał rozmawiać z obcymi. Agata lgnęła do ludzi i była ciekawa, czym żyją, z każdym potrafiła zamienić chociaż parę zdań. Wychodziła z założenia, że nikt nie rodzi się zły, nudny czy zgorzkniały, to kwestia okoliczności, niekiedy problemów psychicznych albo wychowawczych. Gdy mówiła o tym Damianowi, ten na zawołanie przytaczał dziesiątki, jeśli nie setki przykładów skrajnego ludzkiego zła, którego nie dało się tak prosto wyjaśnić. Każde koniec końców obstawało przy swoim, co jednak nie prowadziło do poważniejszych spięć czy awantur. Dwie przeciwstawne wizje świata, których zderzenie niekoniecznie skutkuje kraksą.

Samochód ledwie się poruszał. W oddali, nad zakorkowaną dwupasmówką, unosiły się transparenty protestujących: „Przeżyciowe to za mało!”, „Dron ani robot dzieci wam nie wychowa”, „Mamy, kurwa, dość!!!”.

Westchnęła. Ona i Damian mieli pracę, nie mogli narzekać. Szło im nieźle, szczególnie odkąd zamieszkali razem.

Przed oczami stanął jej dom dzielony z rodzicami. Ojciec i matka toczyli nieustającą wojnę, a ona od dziecka stawała się nieświadomym jeńcem to jednej, to drugiej strony. Często zastanawiała się, po co w ogóle byli ze sobą. Trudno to było pojąć. Odkąd pamiętała, kłócili się zażarcie, milcząc potem znacząco długimi godzinami, a ona miała tylko gulę w gardle i zbierało jej się na płacz. Każdą sytuację wykorzystywali jako pretekst do starcia.

– Mamusia nie może ci kupić tej lalki, Agatko, bo tatuś jej nie dał pieniędzy. Jest skąpy i wredny, nie kocha nawet własnego dziecka. Kocha

wyłącznie siebie.

Ona, sześćoletnia, przed ścianą zabawek. Nie chciała tej lalki aż tak bardzo, po prostu jej się spodobała, fajnie byłoby taką mieć, ale teraz już o tym nie myśli, bo mamusia szarpie ją za rękę, by jak najbardziej ostentacyjnie wyjść ze sklepu.

– To ma być obiad? Jakaś pierdolona podeszwa i dwa ziemniaki? Jakbyś pół dnia nie łąziła i nie kupowała znowu jakichś szmat, może byś ugotowała coś, co da się strawić... Popatrz na Agatę. Patrz, jaką ma minę. Jakby się miała porzygać. Wstyd! Wstyd mieć matkę, która takie coś na stół stawia!

Jedenastoletniej Agacie nawet smakowało, a nietęgą minę miała, bo wiedziała, co się święci, czuła, że zawieszenie broni, trwające od poprzedniego wieczora, długo się nie utrzyma, coś już wisiało w powietrzu, elektryczne napięcie, skłębiona negatywna energia.

Nic dziwnego, że chciała się stamtąd wydostać. Zaczynając studia na administracji, uparła się, że będzie mieszkać w akademiku. Ojciec z matką tym razem byli wyjątkowo zgodni, że to idiotyczny pomysł, dom mieli przecież ledwie dwadzieścia kilometrów od Krakowa, można dojeżdżać. Zawzięła się jednak i powiedziała, że już postanowione (na wszelki wypadek rozglądała się w sieci za pracą dorywczą, ofert było sporo). Ustąpili. Poczuli się, jakby z trudem wywalczona wolność znalazła się w zasięgu. Była w błędzie, bo dzwonili po pięć, sześć razy dziennie i co najmniej dwa razy w tygodniu przyjeżdżali ją odwiedzać. Naciskali też, by wracała do domu na weekendy, bo inaczej przestaną wspierać ją finansowo. Musiała się na to zgodzić; o ile roznoszenie ulotek czy telefoniczne ankiety pozwoliłyby jej zapłacić za akademik, to z wyżywieniem byłyby już problemy.

Ścisnęła mocniej rękę Damiana, wbijając wzrok w zagłówek fotela nieistniejącego kierowcy.

Kierownica obróciła się nieznacznie, wiodąc ich w stronę nieuchronnego.

Ksawery

Mimo że nie miał własnego samochodu, a na pasażerskiego drona nie było go stać, z komunikacji miejskiej korzystał tak rzadko, jak tylko się dało. Jeśli już potrzebował się z kimś zobaczyć osobiście, zazwyczaj na preferowane miejsce spotkania wybierał Rynek, ewentualnie Kazimierz, prawie każdą miejscówkę czy knajpę mając wtedy w zasięgu marszu. Problem z korzystaniem z komunikacji polegał na tym, że Ksawery niespecjalnie lubił ludzi. To znaczy nie ludzi jako zaprzyjaźnione z nim mniej lub bardziej jednostki, tylko ludzi w swej niepojętej, bezmyślnej, wielorękiej i wielonogiej masie, kojarzącej mu się jednoznacznie z bestiami rodem z Lovecrafta. Może była to fobia społeczna, może zwyczajna mizantropia – godził się na każdą z tych opcji, zauważając z nieskrywanym ukontentowaniem, że podobne przypadłości mieli najwięksi pisarze. Chcąc zaliczyć się w ich poczet, Ksawery musiał od czegoś zacząć.

Jadąc teraz autobusem w kierunku Bora-Komorowskiego, dotkliwie odczuwał swoją intelektualną odrębność.

Życie to niby wspólna podróż nas wszystkich, myślał, ale jakież szczęście, że moja potrwa tylko piętnaście minut, o ile nie będzie korków. Miał rację, bo spod Bagateli na Bora nieczęsto jechało się dłużej niż kwadrans, tyle że dzisiejsze protesty miały wydłużyć ten czas dwukrotnie.

Ludzie byli straszni. Być może po prostu Polacy, a być może wszystkie istoty ludzkie, jak planeta obła i głęboka. Winne było prawdopodobnie ewolucyjne zatrzymanie w pół kroku: ewidentnie małpie pozostałości ciągnęły w dół każdy poryw intelektu, świadomość zaś stała się równoznaczna z paranoją: tu ja, tam wszystko inne, ja boleśnie odrębne, oddzielone od tamtej całości. Ksawery preferował czyste przejawy myśli ludzkiej: tekst, kod, wzór. Życie jako takie, w formie homo sapiens, wydawało mu się zbytkiem obrzydliwości i cierpienia. Z nadzieją wypatrywał na horyzoncie technologicznego postępu pierwszych

zwiastunów tego, że do pełnej digitalizacji umysłu już niedaleko, a wtedy wreszcie uwolnimy się od nas samych, od naszego potwornego „człowieczeństwa”, i przebóstwieni w kod spędzimy wieczność, na czym tylko zechcemy, w wirtualnych rajach.

Wrócił myślami do swego opus magnum, *Klasyków Taniej Książki*, przeraźliwie szybko nabierających ostatecznego kształtu. Pisał bez konspektu, skupiając się na pojedynczych zdaniach, cyzelował słowa, stawiał akapity niczym ściany ognia. Jego umysł ciął wizje gładko niczym skalpel ciała. Takie właśnie jawiło mu się życie: chaotyczne, rozbabrane, naszkicowane tylko i porzucone w fazie koncepcyjnej. Żadnego scenariusza czy streszczenia pod ręką.

Przynajmniej Ksawery większego planu nigdy nie miał. Skończył filozofię na prywatnej uczelni. Wyłącznie dlatego, że pod koniec liceum poczytał trochę Ciorana i Nietzschego, a następnie stwierdził, że po to właśnie się urodził, poczuł duchowe pokrewieństwo z wyżej wymienionymi, być może nawet był ich zaginionym potomkiem, wychowanym wśród bestii w dżungli zwanej Krakowem. Jednak kończąc ufundowane przez rodziców studia, doszedł do wniosku, że jednak nie filozofia, a literatura. To w nim siedziało od dawna. Był trochę Franzenem, a trochę Ballardem. Trochę Stephenem Kingiem, a trochę Franzem Kafką. Choć w czasach liceum rówieśnicy zupełnie otwarcie nazywali go pizdą, on po prostu pisał, pielęgnując własne ego w oderwaniu od ich opinii. Dopiero na studiach bardziej się otworzył, odstawił nawet leki na ADHD. Z nadpobudliwością wróciła niepewność, ale parę kieliszków albo palenie zmieniały go szybko w najlepszą wersję Ksawerego.

Na szczęście wkrótce wystrzeliła wirtualna rzeczywistość, która stała się jego drugim domem, a nawet pierwszym. Awatary najpiękniejszych kobiet świata rozbierały się przed nim. Otworem stawały krainy zapierające dech. Przeżywał przygody tak realne, że nieraz wracały do niego w snach.

Chciał czuć się jak ktoś wyjątkowy. Był niemal pewien, że pisana mu jest doniosła rola, że *Klasycy Taniej Książki* porażą odbiorców, że osiągną kultowość w każdym znaczeniu tego słowa. Już początkowe zdania omamiły

Ksawerego specyficzną potęgą, której nie posiadała żadna z jego wcześniejszych prób prozatorskich:

Skąd mogłem wiedzieć, że w ten szary, nudny i deszczowy dzień, kryjąc się przed nagłym oberwaniem chmury w jednej z krakowskich księgarni, odkryję dzieła, które pchną mnie ku niezbadanym głębinom nowych literackich nurtów? A wystarczyło, żebym wtedy nie zapomniał zabrać z domu parasola. Wystarczyło nie dopuścić się tej fatalnej lekkomyślności, a być może wszystkie te zagadkowe arcydzieła po przecenie nadal tkwiłyby zakurzone i nietknięte na swoich miejscach, omijane przez spojrzenia klientów, zawsze głodnych czegoś, co da się łatwo przelknąć.

Zrządzeniem losu czy czystym przypadkiem mój wzrok padł wtedy na okładkę powieści Ciernie kielkujące we mnie Johnny'ego Truanta, przedstawiającą coś jakby uwitą z korzeni twarz starca, z którego oczu wyzierała bezbrzeżna pustka. Nie mam pojęcia. Wiem jednak, że właśnie od tej powieści wszystko się zaczęło...

Do tej pory wyraźnie pamiętał tamten ponury, beznadziejny tydzień, gdy jedyną rozrywkę stanowiło czytanie debiutu Truanta. Książka w Polsce ukazała się nakładem bliżej nieznannej Oficyny Zaułek, doczekała się ledwie dwóch umiarkowanie pozytywnych recenzji w nieistotnych zakątkach sieci. Opowiadała o losach bezimiennego starca, który żyje samotnie na przedmieściach gigantycznego, nienazwanego miasta. Całymi dniami – a nieraz i nocami – wędrował on po swojej dzielnicy, wyszukując zrujnowane pustostany, w których dokonywał bliżej nieokreślonych wyliczeń z pogranicza geometrii, architektury i metafizyki. Starzec wierzył, że w domach niegdyś tętniących życiem całych wielopokoleniowych rodzin, gdzie przed laty w korytarzach rozbrzmiewał tupot i chichot dzieci, gdzie ludzie marzyli, śnili, żyli i umierali, nie może nagle „zamieszkać wyłącznie pustka”. Szukał nie tyle dowodu nawiedzeń tych miejsc przez duchy, co potwierdzenia faktu, że tuż obok istnieje drugi świat, rzeczywistość zapomnianych myśli, w którym te martwe budynki nadal tętnią energią, zasiedlone przez widma nas samych z każdego okresu naszego życia, od różowych poczwerek w pieluchach po puste łupiny, nieobecnym wzrokiem gapiące się na podrygi prawnucząt. Problem w tym, że mimo dekady

poszukiwań bohater nigdy na jednoznaczny dowód nie trafił. W finałowej scenie jednak, wkraczając do poszarzałego parterowca pokrytego spleką dachówką, oniemiały starzec odkrywa, że to przecież jego dom, w którym spędził młodość, wiek średni i początki starości, tu właśnie czuwał nad umierającą na raka żoną, tutaj też dwa lata po jej odejściu w ciemność sam ostatecznie zgasł. Wtedy w błysku umysłowej jasności zrozumiał, że wszystkie jego obliczenia oparte były na błędnym założeniu – szukał drugiego świata, samemu będąc już po drugiej stronie. Chciał dowodzić, że rzeczywistość nie toleruje pustki, a mieszkał przecież w mieście, w którym miliony martwych dusz pieczołowicie pielęgnowały swoje dawne egzystencje. Błąkając się po pustostanach, nie trafiał wcale w miejsca porzucone, lecz czekające dopiero na swoich – wciąż żywych – domowników. I tak oto kielkujące w nim od lat ciernie gorczy, zwątpienia i niewiary okazały się zalążkami kwiatów, do których rozkwitu on sam musiał dojrzeć.

Ksawery nie potrafił pojąć: jak coś tak cudownego mogło nie zyskać żadnego uznania? Jak ludzie mogli się ślinić nad twórczością miernot w rodzaju Szymona Mierzwy, a prawdziwe skarby beztrósco ignorować, bo nie opowiedział im o nich nikt z ich infobaniek? W ogóle już lata temu uznał Mierzwę za swego głównego antagonistę, choć tamten nie wiedział nawet, że ktoś taki jak Ksawery istnieje. Wybuchał pustym śmiechem, czytając wywiady, rzucał miażdżące komentarze pod najbardziej pochwalnymi recenzjami, a gdy znienawidzony autor brylował na galach literackich nagród, Ksawery miał wrażenie, że zaraz pęknie mu serce.

Tkwiło w nim głęboko zakorzenione poczucie wielkiej niesprawiedliwości, która rujnowała prawdziwe talenty, wynosząc na ołtarze takich płytkich przyjebów. Ogarnięty niemożliwą do opanowania wściekłością dochodził do wniosku, że historię, także historię literatury, piszą ignoranci i oszuści. Wtedy po raz pierwszy pomyślał, że przegrani zasługują na hołd z jego strony. Potem tym hołdem stała się powieść *Klasyca Taniej Książki*. Najchętniej nie robiłby nic poza jej pisaniem, ale musiał zarabiać. Wprawdzie rodzice posiadali dobrze prosperującą firmę handlującą kosmetykami, nadal z zapalem łożąc na ukochanego jedynaka,

nie godzili się jednak na to, by nie robił tak zupełnie nic. Na szczęście Ksawery zaraz po studiach pokusił się o półroczny kurs *Formy narracji w immersjonecie i światach wirtualnych*, dzięki czemu zdołał się załapać na staż w lokalnej placówce jednej z największych na świecie korporacji monetyzujących rozmaite formy elektronicznej rozrywki – CyberArts. Po kwartale był już junior designerem narracji wirtualnych gier i doświadczeń, co generalnie polegało na narzucaniu odbiorcy wizji świata, a także projektowaniu tego, co ma w tej nowej rzeczywistości robić, określaniu mu celów głównych i pobocznych. Nie lubił tego może aż tak jak pisanie książek, ale jak na zajęcia mające opłacić rachunki i zapewnić wyżywienie było więcej niż niezłe.

Dojeżdżając powoli na Bora-Komorowskiego, w gęstym i groźnym tłumie pasażerów z wiecznym niedosytem w oczach, Ksawery myślał o tym, o ileż cudowniej byłoby urodzić się książką, powieścią w twardej oprawie, genialną, tajemniczą i wielowarstwową, taką, po którą nie sięga brudnymi łapskami nieokiełznany motłoch, tylko urocze, długonogie i zgrabne doktorantki, a ich dłonie są blade i nieskalane pracą inną niż wertowanie literatury tak pięknej, jak one same.

Damian, Agata, Ksawery

Na przystanek wszyscy troje trafili niemal równocześnie. Taksówka Damiana i Agaty była dwie minuty szybsza od autobusu Ksawerego, ale ci pierwsi mieli kłopoty przy wysiadaniu, bo czytnik z niewiadomego powodu odrzucał kartę Damiana, a drzwi bez płacenia nie da się przecież otworzyć. Agata musiała zacząć przeszukiwać swoją – zawierającą wszystkie rzeczy widzialne i niewidzialne – torebkę, aż w końcu znalazła kartę i zapłaciła te przekłete dwadzieścia osiem coinów. Różnica czasowa została zniwelowana do zera.

Po krótkim, niespecjalnie żywołowym powitaniu ruszyli powoli w kierunku klubu Kwadrat, gdzie już niedługo powinien się zacząć koncert najsmutniejszego, ale i najbardziej szczerego człowieka świata.

Minęli protestujących, zbytnio się im nie przyglądając – kilkadziesiąt osób, które straciły pracę w wyniku kolejnego technologicznego skoku na nikim już nie robiło wrażenia. Gdyby nie fakt, że spowodowali korek, byłiby dla reszty równie niewidzialni, jak ja sam.

– Zanim tam wejdziemy, mam do was wielką, wielką prośbę, a właściwie to propozycję – odezwał się po chwili Ksawery, wyciągając z kieszeni pudełko, w którym grzechotała garść czegoś nieokreślonego. – Wspominałem wam już o tym? Może, cholera, sam nie wiem. – Zamyślił się na chwilę, marszcząc brwi. – No bo robimy teraz dla CyberArtsów taką małą rzecz. To ma być niby coś zupełnie nowego, megaprzełom i w ogóle, ale najpierw testy, testy, testy. Potrzebujemy wsparcia ochotników, więc pomyślałem o was.

Agata słuchała z mieszaniną przejęcia i przerażenia, Damian natomiast wydawał się w najlepszym razie rozkojarzony.

– Bez obaw, to nic szczególnie strasznego – wyjaśnił, otwierając dłoń, na której leżały trzy łukowate kawałki czarnego plastiku, wyglądające trochę jak zauszniki okularów albo elementy słuchawek. – Mówią na to

RamReplay. To jest takie urządzenie, które przez parę lat robiła DARPA, tyle że w zupełnie innych celach: żeby można było odzyskiwać wspomnienia ludzi, którzy tracą pamięć przez alzheimera czy coś takiego. No a tutaj przyniosłem wam prototypowe devkity, które mają zastosowanie bardziej... rozrywkowe. – Zerknął na przyjaciół, by sprawdzić, czy nadążają. Nie nadążali, ale się tym nie przejął. – RamReplay połączy się z waszymi lensami, potem będzie sprawdzał, jakie wspomnienia uruchamia wam w głowach muzyka Conora Smitha, a na koniec, dzięki sieci 5G, prześle w chmurę jakieś dziesięć peta danych. Oczywiście anonimowo i bez naruszania waszej czy mojej, bo sobie też to gówienko założę, prywatności.

– Anonimowo, ale co z tego, skoro to mi grzebie we wspomnieniach? Dobrze rozumiem? – zapytała ostrożnie Agata. Rozmowy z Ksawerym często kończyły się nudnym infodumpem – godzinami opowiadał i wyjaśniał, używając mieszaniny branżowej terminologii i trudnych do rozszyfrowania dygresji. Nie chciała, żeby teraz zaczął się nakręcać, bo jego paplanina byłaby w stanie zagłuszyć każdy koncert, może poza heavymetalowym.

– Nie no, skądże – odparł. – To znaczy... no, nie do końca. Ciągnie obraz i dźwięk z lensów, analizując zarazem feedback waszych mózgownic. My potem będziemy mogli sprawdzić, jakie doświadczenia dają jakie reakcje emocjonalne u użytkowników. Oczywiście nie robicie... nie robimy tego za darmo. Płacą pięćset coinów za pięć godzin użytkowania, na osobę, więc, kurczę, warto, bardzo warto... Reflektujecie?

Damian wymamrotał tylko ciche „taa, spoko”, a potem sięgnął po RR i od razu zatknął go sobie za ucho. Tak naprawdę dopadł go taki marazm, że usiadłby nawet na krześle elektrycznym, gdyby ktoś mu to zaproponował. Agata była bardziej ostrożna i niespecjalnie do całego przedsięwzięcia przekonana.

– Co konkretnie zrobi ta rzecz? Wyszuka wspomnienia i emocje i je gdzieś prześle, tyle wiem. Ale czy może przypadkowo coś powymazywać, jak w *Zakochanym bez pamięci*?

– Rany, nie! W żadnym wypadku! – Ksawery parsknął śmiechem, ale tak naprawdę to nie wiedział, jak działa urządzenie i czy jest absolutnie

bezpieczne. Nie sądził, by istniała już technologia umożliwiająca selektywne kasowanie wspomnień. Gdyby taka była, pokasowałby sporo rzeczy bez żadnego wahania. – To raczej taki bajer, który cudów nie zdziała. Twórcy obiecują, że kiedyś, za dwie dekady, dzięki czemuś takiemu będzie można digitalizować umysły, przenieść się w cyfrę włącznie z każdym wspomnieniem, nawet jeśli go nie pamiętamy czy raczej nie jesteśmy go świadomi. – Mówiąc, dużo gestykulował i poczuł się trochę jak sprzedawca, przez co zrobiło mu się głupio i smutno, bo handlowcy byli w jego pojęciu najniższą warstwą społeczną – szczególnie że handlowcami byli jego rodzice. – Na razie w chmurę idzie raczej rozpisana na kod gama emocji i losowych obrazów, jakie przywoła wam w głowach muzyka na żywo, ewentualnie inne wydarzenia z najbliższych kilku godzin. Dotychczasowe efekty są... no, może nie opłakane, ale ponoć mgliste. Czasem nie da się odróżnić wspomnienia erotycznego od koszmaru, bo sprzęt nie wyrabia. Serio, bez obaw. No a poza tym... pięćset coinów, Agata! Jakby to była stała oferta, to bym ze łba tego gówienka nie zdejmował.

Po kolejnej chwili wahania Agata także postanowiła się podpiąć. Nie przekonały jej wcale pieniądze ani nawet fakt, że jej facet już to na siebie założył, lecz wspomnienie ukochanej babci, której alzheimer zmienił mózg w sito. W ogóle Agaty nie poznawała, myślała, że wnuczka jest tak naprawdę jej siostrą, wypytywała o rzeczy, które działy się po wojnie, często bez powodów robiła się nerwowa, wybuchała płaczem albo zaczynała się śmiać. Gdyby to urządzenie mogło kiedyś pomóc leczyć ludzi lub ochronić ich przed skutkami tej straszliwej choroby, to ona chce dołożyć swoją cegiełkę. Za dwadzieścia lat może przecież sama potrzebować tego, by ktoś wlał jej z powrotem do głowy utracone wspomnienia i emocje. Oczywiście nie mogła wiedzieć, że wtedy na świecie nie będzie już żadnego człowieka.

Przez chwilę szli w mało komfortowym milczeniu, jakby każde na własną rękę próbowało dostosować się do sytuacji, gdy ich myśli są potencjalnie szpiegowane, jak ktoś, kogo nagle otoczyła chmura dronów-paparazzi.

– Nie wiedziałem, że ten Geant czy Auchan jeszcze tu stoi. – Pierwszy jak zwykle odezwał się Ksawery, kierując wzrok ku podłużnej bryle centrum handlowego, przypominającej wielką trumnę po drugiej stronie

dwupasmówki, na prawo od popadającego w ruinę parku wodnego, który wyglądał jak swój własny zardzewiały szkielet. W tle protestujący krzyczeli: „Nie dla zasiłku, chcemy człowieczeństwa!”, coraz bardziej jednak zagłuszało ich trąbienie autonomicznych samochodów.

– Teraz to się nazywa Atum – oznajmiła Agata. – Raz tam nawet wpadłam, po buty. Asystent zakupowy się zawiesił, więc nie znalazłam swojego numeru. Nie było wśród obsługi żadnego działającego... człowieka. – Zamilkła nagle, widząc, że Damian nie jest zainteresowany rozmową na ten temat, a może w ogóle na żaden.

Szedł ze spuszczoną głową, patrząc na spękane płyty chodnika. Stopy stawiał tak, by nie nadepnąć na szpary. Kiedy miał pięć lat, to właśnie Ksawery powiedział mu, że jeśli nadeptnie na pęknięcie trzy razy z rzędu, jego matka umrze na raka mózgu. Nigdy nie zaryzykował, być może właśnie dlatego matka do dziś była okazem zdrowia. Ojciec miał zawał tuż po pięćdziesiątce, ale wyszedł z tego.

– Czy galerie handlowe kiedykolwiek zdechną? – spytał Damian, nagle ożywiony, wciąż jednak nie podnosząc wzroku. – Po co w ogóle tam łązić, skoro zamawiasz w immersjo i po godzinie masz u siebie?

– Niektórzy dalej lubią stare rozwiązania – stwierdziła dziwnie rozmarzonym głosem Agata. – Bierzesz towar do ręki, a przy kasie płacisz monetami i banknotami. Ale to już schyłek. Kiedyś w galeriach były tłumy, teraz tłumy są tylko w ich immersjonetowych odpowiednikach.

– Nostalgia za prehistorią, tyle – odparł Ksawery. – Słyszałem, że niektóre już całkiem padły. Jest taki jeden, przy Zakopiance. Została pusta hala, bawią się tam dzieciaki. Grają w trybie rzeczywistości hybrydowej w zombie shootery i różne postapo. Fajna sprawa, swoją drogą. W sumie nigdy tam nie byłem, ale raz mi się to przyśniło. Wewnątrz prawdziwa dżungla, jakieś pnącza, kurwa, korzenie poprzebijały się przez beton. Dzikie bestie między zardzewiałymi regałami. A na środku wielkie jezioro pełne pozieleniałej wody.

Damianowi bardzo spodobał się sen Ksawerego, bo przypominał nieco jego wizje, ale nie powiedział tego na głos. Agacie bardzo się on nie

podobał, bo przypominał koszmary, które opowiadał jej Damian. Ale też wolała o tym nie mówić.

– Myślicie, że Conor wejdzie dziś punktualnie? – zastanawiała się głośno, gdy wędrowali pomiędzy wielkimi bryłami akademików, wyglądającymi jak scenografia z ekranizacji Ballarda.

Damian lubił takie miejsca, twierdził nawet, że kiedyś cały świat znacznie przypominać gigantyczne, opustoszałe miasteczko studenckie. Do pewnego stopnia miał rację, mogę to potwierdzić. Pomiął jednak najistotniejszą rzecz: strach rozsiewany przez wiedźmę.

– Na drugie przyście Jezusa ludzie czekają już ponad dwa tysiące lat – powiedział, zadowolony z własnego żartu. – Więc na Smitha poczekamy pewnie ze dwie godzinki.

– Mam tu infobańkę tego klubu. – Ksawery cisnął o chodnik srebrzystą kulą, która momentalnie rozlała się w ekran, na jego powierzchni zamigotały zdjęcia Conora Smitha wymieszane z ujęciami sali koncertowej. – Wspominali, że supportem mają być The Antlers, cokolwiek to znaczy.

Agata też ich nie знаła, ale Damian okazał się wielkim fanem. Dawno temu ich płyty *Hospice* słuchał non stop przez wiele tygodni. W końcu stwierdził, że jest bezbłędnym arcydziełem i nie mógł jej dłużej słuchać.

– Świetni są – stwierdził, nie mówiąc nic więcej. Mógł dodać, że ich longplay w pewnym sensie ocalił mu życie, ale wtedy musiałby się tłumaczyć, a nie miał ochoty.

Dotarli pod budynek klubu. Przed wejściem kolejka na sto, sto pięćdziesiąt osób. A że drzwi były już szeroko otwarte, w środku mogło czekać drugie tyle.

– Dlatego lepiej nie przychodzić na ostatnią chwilę – zauważyła Agata, patrząc na Damiana z nieco udawanym wyrzutem. Tak naprawdę klub otworzyli dziś dopiero o dziewiętnastej, a wtedy kolejka była pewnie ze dwa razy większa.

Cały ten wieczór zdawał się bardzo specyficzny, jak flashback z czasów, gdy ludzie jeszcze wierzyli w możliwość ulepszenia świata – lub chociaż samych siebie – przez muzykę. Ta epoka jednak minęła, a Conor Smith i jego następcy byli ostatnimi, którym zależało na wyrażaniu prawdy.

Wszyscy pozostali dostarczali po prostu rozrywki – produktu, mającego dać odbiorcy dokładnie to, czego oczekiwał, zawsze po myśli działań marketingu. Obecny tutaj tłumek wyznawców mógł się kojarzyć z amiszami, którzy nadal chcą świata pięknego i szczerego, nawet jeśli naiwnego.

Damian był skonsternowany. Nic nie zapowiadało tragedii. Czekał właśnie na koncert największego idola, byli z nim ukochana i przyjaciel, z którym znali się od brzdąca. Mimo to coś kazało mu uciekać. Przeczuwał ból, ale poza ciałem, niemożliwy do zidentyfikowania. Może niepotrzebnie stłumił się lekami? Chciał przestać się męczyć. Jego doły nie były zwykłym obniżeniem nastroju, dosłownie wprasowywało go w podłogę. Starając się opisać to Agacie, kazał jej wyobrazić sobie, że jest nurkiem, który leży na samym dnie i ma nad sobą całą tę ciężką ciemność. Twierdziła, że rozumie, ale i tak wpadała w panikę, gdy kładł się na podłodze, nie mogąc powstrzymać łez.

– Założę się, że nawet support nie wejdzie wcześniej niż za pół godziny – pocieszył ich Ksawery, bywalec niejednego koncertu czy festiwalu. Niepodważalna zasada głosiła, że im większa gwiazda, tym bardziej się spóźnia.

W tłumie kłębiącym się kilka metrów od wejścia Agata wypatrzyła Klaudię, znajomą ze studiów. Nigdy nie trzymały się zbyt blisko, Agata z pewnością nie zaliczyłaby Klaudii do grona przyjaciółek, ale spotykały się przy niejednej okazji i nawet parę razy siedziały ze sobą na wykładach i ćwiczeniach. Nieładnie byłoby nie podejść i się nie przywitać. Przeprosiła więc na chwilę Damiana i Ksawerego, dyskutujących o szóstej serii *Black Mirror*, drążącej temat zdigitalizowanych umysłów uwięzionych na wieczność w wirtualnych pieklach, a potem podeszła do Klaudii, stojącej pod ramię z dziwnym facetem w kraciatej koszuli.

– Nie wiedziałam, że jesteś fanką Conora Smitha – zagadła, próbując zaśmiać się niezobowiązująco, co wyszło niezbyt wiarygodnie.

– A, ja to tak trochę... Za to Kuba jest megafanem – odparła Klaudia z twarzą pozbawioną wyrazu. Agata pomyślała, że Klaudia wcale jej nie rozpoznaje, ale nie chce wyjść na idiotkę, więc szybko sprawdza kolejne

kręgi w immersjonecie. Nie widziały się od – ilu? – pięciu, sześciu lat? Agata nie sądziła, że aż tak zmieniła się od zakończenia studiów, zresztą przyjaźniły się wirtualnie, Klaudia musiała widzieć którąś z jej aktualnych holografii.

Kuba podał Agacie rękę, więc miała okazję się przedstawić. Przypominając zarazem swoje imię Klaudii, dodała, że razem studiowały.

Jakub wyglądał na faceta, który lubi robić sobie krzywdę – w uszach, brwiach i języku miał kolczyki, a na szyi i po prawej stronie twarzy – spory tatuaż, którego wykonanie musiało potwornie boleć. Wydawał się jednak dość sympatyczny, szczerze uśmiechnięty i otwarty. Albo chciał sprawiać takie wrażenie.

– Udało ci się znaleźć pracę w zawodzie? – zapytał, naprawdę zainteresowany odpowiedzią.

– Po roku szukania, ale tak – odparła. – W sekretariacie na UP. Tam jeszcze nie rozpanoszyły się te sztuczne inteligencje – dodała nieco ciszej. Zarabiała niecały tysiąc coinów na rękę i czuła się jak ofiara losu, ale przecież nikt poza nią nie musiał o tym wiedzieć.

– Fajnie. Klaudia dalej szuka – powiedział, puszczając oko do Agaty i szczerząc się jak dzikie zwierzę.

Nie wiedzieć czemu pomyślała wtedy, że jej dawna koleżanka wcale nie szuka żadnej pracy, stała się abnegatką pozbawioną złudzeń i marzeń. Może nawet ciągnie z urzędu przeżyciowe i w pełni wygasza tym ambicję zdobycia czegokolwiek więcej. Nie miała w sumie ku temu podstaw, ale poczuła się lepsza. Z drugiej strony bezrobocie było teraz czymś tak powszechnym jak nigdy. Wszystkie najprostsze prace, które tylko było w stanie ogarnąć tanie SI, przejęły maszyny. W sieciach fast food nie było już kasjerów, nie było kucharzy ani zmywaków, wszystko stało się zautomatyzowane, z większości restauracji poznikali kelnerzy, nie było też baristów czy barmanów, po prostu mówileś, co chcesz zamówić, i po chwili mechaniczne ramię stawiało produkt przed tobą. Nie było kurierów i listonoszy, zastąpiły ich drony. Połowa urzędników niskich szczebli już wyleciała z roboty, druga połowa wyleci w najbliższym czasie, gdy wszystkie okienka zmienią się w ekrany, a i to wyłącznie dla tradycjonalistów, bo przecież prawie wszystko można teraz

załatwić w immersjo. Nie było studentów rozdających ulotki, bo nie było już ulotek, reklamy sypały się na ciebie w sieci ze wszystkich stron, jeśli nie miałeś zainstalowanych blokad. Pracę zaczęli tracić nawet prawnicy i lekarze, bo przecież stosowanie przepisów i ich interpretacja opiera się na prostych algorytmach, a słysząc objawy choroby, każda w miarę wyspecjalizowana sztuczna inteligencja jest w stanie wybrać odpowiedni lek czy zabieg. Maszyny myliły się rzadziej, wystarczyło im, że okiem swoich kamer lub skanerów prześwieciły pacjenta, by wiedzieć, który pieprzyk może stać się groźny i czy ręka jest złamana, czy ledwie potłuczona.

Ludscy pracownicy okazywali się kosztowni, nieefektywni i po prostu zbędni. Protesty z każdym rokiem były coraz cichsze, cóż mogły znaczyć wobec zmierzającego w ich stronę czołgu postępu. Większość zaakceptowała nieuchronne – państwo przelewało im przeżyciowe, które starczało na ciasne mieszkadła na przedmieściach i najtańsze żarcie. Po co walczyć, skoro łatwiej zwinąć się w kłębek i nigdy nie wychodzić z immersjo? Nie trzeba było już nawet być sobą – wielu roztrwoniło oszczędności na subskrypcję życia wybranego celebryty, by śledzić z kamer w jego czy jej lensach wszystko, co piękne, luksusowe i na zawsze niedostępne... Z jednej strony branża rozrywkowa niewątpliwie wskoczyła na nowy poziom, z drugiej – samobójstwo i samobójstwo rozszerzone stały się główną przyczyną zgonów w obrębie tak zwanej cywilizacji Zachodu, w tyle zostawiając raka i choroby układu krążenia. Koleżanka Agaty nie mogła znaleźć pracy, bo w żyłach nie płynął jej prąd, miała twarz w miejsce ekranu dotykowego, a koszt jej utrzymania był odwrotnie proporcjonalny do wydajności.

Kuba nie przestawał się uśmiechać, Klaudia tak samo, jakby były powody. Bezrobotni i beznadziejni, może właśnie dla takich Smith stał się nowym mesjaszem, zastanawiała się w myślach Agata. Zdawał się nie pragnąć niczego – ani sławy, ani pieniędzy, ani życia w ogóle.

– Od dawna czekacie? – spytała, nie wiedząc, o czym jeszcze mogłaby z nimi porozmawiać.

– Jezu, już chyba z godzinę – stwierdziła Klaudia, a potem ironicznie dodała: – Ale przynajmniej jesteśmy na początku.

Agata pomyślała, że ta ostatnia uwaga nie była konieczna. I tak wszyscy wejdą. Pożegnała się prędko i wróciła do Ksawerego i Damiana.

– Z kim tam gadałaś? – zapytał Damian, gdy stanęła obok, łapiąc go pod ramię.

– To dziewczyna ze studiów, Klaudia, i jej nowy facet, Kuba. Do tej pory nie znalazła stałej pracy. A broniłyśmy się prawie sześć lat temu. – Agata bardzo starała się, by te „sześć lat” zabrzmiało jak „dawno, dawno temu” albo nawet „tuż po stworzeniu Nieba i Ziemi”.

– Boże, błogosław przeżyciowe... Ale to jest Polska, trzecia dekada dwudziestego pierwszego. Sześć lat szukania czy dziesięć, mnie nic nie zdziwi – odpowiedział, skrzywioną miną starając się przypomnieć Agacie, jak długo on sam rozglądał się za pracą.

Był psychologiem, próbował pomagać innym, mimo że nie dawał rady pomóc sobie. Z początku szło mu naprawdę nieźle. Potrafił szybko identyfikować źródła problemów. Depresja pacjenta nie była dla niego teorią, lecz czymś, z czym sam walczył na śmierć i życie, więc naprawdę się przejmował. Losy innych nie tyle dotyczyły go osobiście, co uderzały bezpośrednio w przeponę. Ktoś nazwał to kiedyś hiperempatią. Nie był pewien, czy to właśnie ma, ale było skuteczne, naprawdę. Ocalił życie co najmniej jednej dziewczynie. I w niczym tu nie pomogły żadne wizje, żadne mgliste prorocstwa. Wysłuchał jej, zrozumiał, a potem zdołał ją odwieść od pomysłu skończenia ze sobą. Sam nie pojmował, jak był do tego zdolny, skoro własnych myśli samobójczych nie potrafił rozproszyć.

Ostatnie lata przyniosły jednak zupełne wypalenie. Im mocniej Damian znieczulał się lekami, tym bardziej wszystko mu było obojętne. W końcu osoby przychodzące po poradę stały się numerkami, a ich osobiste dramaty skurczyły się do kształtu zdawkowych notatek. Praca była letargiem. Zresztą eksplozja SI i tak wszystko zmieniała. Czuł się zbędny i taki też się stał. Obecnie pracował już tylko na pół etatu, głównie spędzając czas z prototypowym Empatiobotem v08 – to właśnie sztuczne inteligencje z tej serii miały niebawem zastąpić ludzi w rozmowach z pacjentami. Było to nieuniknione już w momencie, gdy wersje v06 przeszły test Turinga z wynikiem sześćdziesiąt osiem procent. Damian, widząc, że maszyna jest

skuteczniejsza od niego, stwierdzał, że dni ludzkości są policzone. Od poniedziałku do piątku kalibrował bota w taki sposób, by w jego towarzystwie każdy pacjent czuł się jak w domu. Cóż z tego, że bot nie był żywy, skoro Damian miał w sobie jeszcze mniej życia od niego?

Ksawery nagle zaśmiał się jak maniak i zawołał:

– Lepiej nie wywoływać Polski z lasu!

On jest trzeźwy? – pomyślała Agata. Nie wyglądał na pijanego, nie miał też przekrwionych oczu. Może został jednym z tych gości uzależnionych od zmieniających świadomość apek? Czytała o tym ostatnio. Aplikanci, no właśnie. Błede truchła dryfujące w morzu cyfrowych uciech.

Ksawery momentalnie przestał się śmiać, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

Kuba i Klaudia zniknęli w środku, jakby płaska, prostokątna bryła klubu Kwadrat pożarła ich, gdy akurat nikt nie patrzył.

Ksawery

Z tłumu autobusowego trafił w tłum przedklubowy i czuł się z tym niespecjalnie komfortowo. Za dużo było tych ludzi. Ogólnie, na świecie. Jeśli już muszą istnieć – bo Ksawery godził się na taką ewentualność, że ludzie, podobnie jak na przykład pająki, komary czy stonka, należą do nieodłącznej oferty planety Ziemia – mogliby występować z rzadka, stać się na przykład gatunkiem zagrożonym, a nie nieustannie jemu, Ksaweremu, zagrażającym. Podobało mu się, gdy Damian opowiadał o opustoszałych miastach, do których wdziera się roślinność, jedyna w pełni akceptowana przez Ksawerego forma życia. Szklane wieżowce pokryte ciemnozielonym tatuażem trującego bluszczu, asfalt rozerwany gąszczem splątanych korzeni, glony pływające w spękanych fontannach, gałęzie przebijające ściany bezludnych budowli. Dla Ksawerego to wcale nie były żadne koszmary, tylko prawdziwy raj. Jediną lepszą opcją byłoby unieśmiertelnić się w sieci, najpierw na dobre obrócić się w kod, a potem jakąś zaktualizowaną wersją RamReplaya skopiować się w chmury danych, być czystym umysłem, kształtować rzeczywistość wedle życzeń. Wtedy Ksawery kontrolowałby każdą sytuację, sam stworzyłby sobie kobietę marzeń i nie musiał być zdany na humory tych wszystkich lasek, które po pierwszej randce usuwały go ze swoich kręgów w immersjo.

Od razu po wejściu do klubu odłączył się od przyjaciół i pobiegł do kibla, gdzie jeszcze na szczęście nie było wielkiej kolejki. Zamknął się w kabinie, oparł o drewnianą ścianę i wziął kilka głębokich oddechów. Stojąca za drzwiami ochrona przetrzepywała wszystkich dokładniej niż kiedyś na lotniskach. Wykrywacze metalu i łapanie za tyłki zamiast standardowego fullbody skanu. Ksawery nie miał pojęcia, że tak będzie, nie zdawał sobie sprawy, że koncerty Conora Smitha są zabezpieczane lepiej niż inne. Gdy krótko obcięty i szeroki jak dwa sklezione w jedno regały z Ikei facet wybebeszał torebkę Agaty, Ksawery przypomniał sobie nagle, co ma w

portfelu. I oczami wyobraźni momentalnie zobaczył, jak tamten to znajduje, informuje psiarnię, robi się jeszcze większy syf i jeszcze większe zamieszanie. Widział rozczarowanie na twarzach przyjaciół, widział, jak dron mierzy w niego gotowym do strzału taserem i czyta mu jego prawa...

Na szczęście koleś nie sprawdził Ksawerego aż tak dokładnie. Obmacał go w poszukiwaniu broni lub ostrych narzędzi, pytając, czy nie ma przy sobie żadnych płynów, kazał opróżnić kieszenie i na tym się skończyło. Ale mógł kazać otworzyć portfel i wtedy zobaczyłby bez wątpienia, że ze skórzanej kieszonki wystaje czarny kształt, jak niewypał pocisku, osmalona lufka, którą miał od lat, z której jarał i klasycznego skuna, i mniej klasyczne dopalacze, a której nie wiedzieć czemu się nie pozbył, mimo że nie palił od tygodni. Ścisnął ją teraz w spoczonej dłoni, spazmatycznie łapiąc oddech. A jeśli w tych kiblach są kamery? – myślał. Jeśli ochrona zaraz tu wpadnie i wsadzi mi łeb do muszli, jak ci kutasiarze, co robili chrzest w liceum? Zacisnął pięść na pociemniałym szkłe i rozejrzał się po suficie ciasnego pomieszczenia. Żadnej kamery nie wypatrzył, chyba że była ukryta gdzieś pod tynkiem. Nie zauważył też czujnika dymu, co było jeszcze dziwniejsze. Jakby w tutejszych kiblach jaranie było dozwolone, a nawet wskazane, wywnioskował, i na potwierdzenie tej tezy ktoś w sąsiedniej kabinie zakaszłał, chyba właśnie dławiąc się dymem.

Nagle na ramieniu Ksawerego usiadł gołąb z liścikiem w dziobie.

– Masz coś dla mnie, zasańcu? – wyszeptał Ksawery, chwytając liścik między palce.

Gołąb zeskoczył na podłogę, zmienił się w obłoczek polygonów, a potem całkiem wyparował.

To był mail od Matiego, kolegi z pracy – zamiast pieczęci kopertę zaklejał gif z jego roześmianą gębą. Po otwarciu okazał się głęboki niczym pudełko. Z ciemności wnętrza wyskoczyła nagle głowa klauna na sprężynie, krzycząc: „Niespodzianka!”.

Ksawery tak się przestraszył, że aż walnął potylicą o ścianę.

– I po co mówiłem debilowi, że boję się klaunów? – wymamrotał.

Klaun metalicznym głosem wyrecytował treść listu:

– Panie kolego, niżej podpisany Mati szuka pracowników do swojego startupa. Przełomowe projekty, rześka atmosfera, zero toksycznych korpoklimatów. Szukamy świetnego designera, ale ostatecznie możesz być nawet ty, hi, hi.

Ksawery westchnął. Machnął ręką i klaun momentalnie rozpułynał się w powietrzu. Nie było teraz czasu odpowiadać koledze. Ten jeszcze w zeszłym tygodniu coś pierdolił o tym, że CyberArts to chuje, trzeba brać dupy w troki i przechodzić na swoje. Tyle że jakoś sam nie złożył wypowiedzenia. Wiedział, że pasja pasją, ale coiny na drzewach nie rosną.

Ksawery rozluźnił pięść, którą przez cały ten czas spazmatycznie zaciskał. Niepozorna lufka w jego dłoni zawierała całą historię upaleń z ostatnich lat. Gdzieś w tej sadzy tkwiły widmowe pozostałości po tym, co zjarał kiedyś na Plantach, przed pójściem na urodziny kolegi. Zawsze najbardziej stresowały go takie imprezy, na których prawie nikogo nie znał, odnosił wrażenie, że ludzie go obgadują za plecami. Miał zresztą ku temu podstawy, pamiętał doskonale, jak z nowo poznaną dziewczyną, Marceliną, wybrali się do jej znajomych i gdy tylko, z pęcherzem pękającym od trzech dużych mocnych, poszedł się odlać, jakiś koleś spytał: „Skąd żeś typa wytrzasnęła, Marcela?”. W odpowiedzi zachichotała tylko, starając się ukryć zażenowanie – Ksawerym, czy tym, który zadał pytanie? – a wtedy pajac dorzucił jeszcze: „Może i do ruchania się nada”, i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Ksawery słyszał to wyraźnie, stojąc chwiejnie nad muszlą, zupełnie jak teraz. Gdzieś w tej sadzy były resztki prób z dopalaczami, także tej, która zaowocowała prozą *Klasycy Taniej Książki*. Ksawery powinien się tego pozbyć na wypadek, gdyby wynikły jakieś kwasy z ochroną, ale żal mu było tylu zapisanych dymem wspomnień, które osadziły się na poczerńiałych ściankach, nawet jeśli nie miał ich już w przeżartej niepamięcią głowie.

Zastanawiał się przez moment, czy RamReplay już wrzuca w chmurę jego obecne rozkminy, czy gdzieś tam już wisi rozmyty obraz jego dłoni przekreślonej czarną fifką, czy wywołane jej widokiem wspomnienia też już zostały cyfrowo uwiecznione. Jakie szczęście, że logi są anonimowe, a prototyp wysysa teraz myśli nie tylko z jego głowy, ale też z głów kilkuset innych ochotników na całym globie. Co z tym potem zrobią? Wedle plotek

sztuczna inteligencja CyberArtsów, niejaka mAlice, obrobi materiał i w wyniku jej analiz jakość produkowanych przez ich firmę „interaktywnych podróży zmysłowych” wykładniczo podskoczy, przebijając każdą konkurencyjną ofertę dostępną na rynku. Albo też głównie z tego wyjdzie i wtedy dział PR będzie trąbił o postępie, który nie nadejdzie.

Wyjął z innej kieszonki portfela zapalniczkę, wdusił kciukiem przycisk i z namaszczeniem godnym mistyka wsunął koniec lufki w płomień, obracając ją powoli. Po paru sekundach z wnętrza wysączyła się strużka czarnego dymu, więc nie odsuwając lufy od ognia, zacisnął wargi na ustniku i pociągnął, a potem przez długie sekundy trzymał chmurę w płucach. Opalenie lufy było świetną sprawą, można nie mieć ani odrobiny towaru, a idzie się zjarać samymi resztkami dawnych paleń, jakbyś ćpał wspomnienia. Nie namyślając się długo, znowu ściągnął czarnosiny obłoczek, tym razem parząc sobie język i wargi.

Zgasił zapalniczkę, wsunął lufę za kibel, spuścił wodę i dopiero wtedy wypuścił dym. Sporo pięknych chwil zapisanych w popiołach pójdzie się bezpowrotnie jebać, skonstatował z żalem, ale paranoiczne przekonanie, że zaraz dopadnie go psiarnia albo jacyś tajniacy nieznanej bliżej proveniencji, było potężniejsze i wywoływało paraliż każdego mięśnia. Wyszedł z kabiny. Umył ręce, sprawdzając w lustrze, czy nie ma przypadkiem czerwonych oczu – nie miał – a potem wrócił na zatłoczony parter, gdzie jedni dopiero wchodzili, inni energicznie rozplaszczali się przy szatni, a jeszcze inni stali, czekając nie wiadomo na co. W żadnej z tych grup nie dostrzegł Damiana i Agaty. Musieli już ruszyć na górę. Wszedł się po schodach z głową lekką i bezmyślną, wreszcie gotów do stawienia czoła całemu rozwrzeszczanemu światu.

Na pierwszym piętrze, w kolejce po piwo, stali jego towarzysze. Szczerze mówiąc, w życiu by ich nie wypatrzył, gdyby nie odpalił sobie na lensach analizy porównawczej rysów twarzy.

Damian

Z Ksawerym coraz gorzej, pomyślał Damian, odbierając zamówione piwa i podając po jednym Agacie oraz swojemu koledze. Przezroczyste kubki o pojemności czterystu mililitrów stanowiły próbę pogodzenia małego piwa z dużym, niestety cena napitku – dziesięć coinów – kojarzyła się bardziej z browarami z wyższych półek, nie zaś z polewanym tutaj sikaczem. Dopłacało się pewnie za retroklimat, podobne stoiska widział ostatnio na swoich pożegnalnych juwenaliach.

Wszyscy troje weszli na główną salę, gdzie pod średniej wielkości sceną już ulokowało się kilkaset osób, a kolejne wciąż nadciągały. Udało im się znaleźć trochę wolnej przestrzeni mniej więcej piętnaście metrów od sceny, na prawo od łoży zajmowanej przez eleganckich młodzieńców w garniturach i ich nie mniej wystrzałowe modowo partnerki. Damian widział, że jeśli ktoś się tak stroi na koncert Smitha, nie jest prawdziwym fanem.

Scena klubu Kwadrat nadal czekała na zespół. Stało już na niej sporo sprzętu, przy którym majstrowali techniczni. Scenografia była dość ascetyczna – pod sufitem podwieszono dwie półprzezroczyste zasłony, wyglądające trochę jak amputowane skrzydła jakiegoś żyjącego w oceanicznych głębinach anioła. Jeśli komuś się nie podobało, na ścianach miał kilka kodów QR, które podmieniały wygląd otoczenia przy aktywnych lensach.

Damian poczuł się odgradzony od wszystkiego. Często dochodził do wniosku, że ta dotkliwa odrębność to powinno być coś powszechnego, skoro mózg tkwi wewnątrz czaszki, za kością grubszą niż szyba przeciwpancerna. Dlatego ludziom trudno się z kimkolwiek połączyć. Jednak w chwilach gdy jego hiperempatia działała, gdy rozmawiał z pacjentami, miał wrażenie, że jest nagi i nic nie osłania jego mózgu przed pełnym odczuwaniem tego, z

czym przychodzili: roztrzaskane światy, zwichrowane losy, blizny pod cienką skórą pozorów, rany tak głębokie, że widział na przestrzał.

Zerknął na Ksawerego, który po zastanawiająco długiej wizycie w toalecie wrócił blady i rozkojarzony. Było się czym martwić? Ksawery przecież zawsze był dziwakiem. Typ oryginała, artysty po przejściach, w znacznej mierze urojonych, na dodatek pracujący w paranoicznej z natury branży wirtualnych rozrywek. Z punktu widzenia Damiana jego kolega miał w życiu start, o jakim większość może marzyć. Kluczem do szczęścia było rzecz jasna posiadanie bogatych rodziców. Starzy Damiana dla odmiany byli wyjątkowymi pechowcami, zawsze bez coina przy duszy. Po tym jak ojciec na dobre wypadł z kręgu handlarzy niemieckimi gruchotami, próbowali się wybić w rozmaitych branżach, zawsze z tym samym rezultatem – żadnym. Raz inicjatywę przejmowała matka, raz ojciec, ale nie miało to znaczenia, ich pomysły nigdy nie wypalały. Czy był to sklepik z pamiątkami, czy gastronomia tak mała, że prawie nikt jej nie zauważał, czy rozpaczliwe próby sprzedawania jeszcze w starym poczciwym internecie namiętnie szytych przez mamę maskotek, zawsze przychodziło rozczarowanie. Przez cały okres nastoletniości Damian odnosił wrażenie, że jego rodzice walczą z kapitalizmem jak z jakimś monstrualnym żywiołem, raz po raz przysypywani pismami urzędowymi, tłamszeni przez zawsze większą i nieustającą mającą lepsze układy konkurencję. Niekiedy na krótkie okresy trafiali do bezpiecznej szalupy z napisem „Bezrobocie” i w takich razach ich kłótnie cichły, pragnienia poprawy losu przygasały, na twarzach pojawił się oziębiający spokój przegranego. Ksawery nigdy nie musiał o nic walczyć, ale miał nasrane w głowie, jakby zbyt długie życie pod kloszem prowadziło do niedotlenienia. Miał też szczęście – pracował w CyberArts, istnym McDonaldzie w branży twórców software’u, gdzie płacili nieźle i dawali szansę na stabilne zatrudnienie, czego nie dało się powiedzieć o stanowiskach Damiana czy Agaty, z góry skazanych na kasację.

Damian jednak lubił Ksawerego. Tamten był po prostu pasjonatem, z dziecięcym błyskiem w oczach opowiadającym o książkach, filmach, grach, aktualnie słuchanych płytach. Teraz to była rzadkość, nic nikogo nie obchodziło i nikt nie chciał o niczym myśleć.

Znali się jako dzieci, ale potem Ksawery wyprowadził się gdzieś i spotkali się dopiero wiele lat później, na studiach. Mała powakacyjna imprezka w okolicach miasteczka AGH, Ksawery okazał się kolegą kolegi, dokładniej Maćka, robiącego elektrotechnikę i lubiącego science fiction, z którym to Maćkiem z kolei chodził do liceum Damian. Kolega przedstawił Ksawerego jako typowego filozofa i literata, z czego miało wynikać, że nikt z obecnych raczej się z nim nie dogada.

– Chwila... Ksawery? – Damian już po chwili przypomniał sobie tego nerwowego chłopaka, który rozbił głowę na jego siódmym urodzinach. Wyrósł, ale nadal był wielkim, niezdarnym, rozkojarzonym dzieciakiem, nie dało się go pomylić z nikim innym. – Z osiedla przy Głowackiego? Z placu zabaw za Orlenem?

Ksawery uśmiechnął się, jakby dostał wymarzony prezent. Co za spotkanie, trzeba to było oblać! Miał odrobinę haszu, lekka faza pobudzała neurony i synapsy, żadnych złych jazd, braterstwo studenckiej braci. Po paleniu Ksawery nakręcił się na temat przeznaczenia i podróży w czasie, jego zdaniem spotkanie z Damianem to nie mógł być przypadek. Obaj byli dziwakami i raczej trzymali się z dala od zgrai, więc tylko ktoś taki jak Maciek mógł się z nimi zakumpłować. Mówił o nieuchronności, przyciąganiu, niewidzialnych wirach, kontrolujących nas wszystkich. Oczy mu błyszczały jak dziecku przy choince.

– Znacie *Efekt motyla*? *Donniego Darko* i *Primer*?

Padły kolejne tytuły, zaczęło się rozkminianie, czy przeznaczenie jest, czy nie, i czy czas i przestrzeń są na tyle giętkie, by dały się zapętlić. Padły bastiony zdrowego rozsądku, rozważania uleciały w abstrakcję. Damian w końcu powiedział, że coś jest na rzeczy z tymi czarnymi dziurami i podróżami w czasie, bo on sam czegoś podobnego doświadcza: wpada w emocjonalną czarną dziurę i zaczyna widzieć rzeczy, które dopiero będą. Maciek popłuł się ze śmiechu, ale Ksawery momentalnie spowaźniał. Chciał wiedzieć więcej, jednak Damian, bojąc się popadnięcia całej ich naćpanej czwórki – bo był tam jeszcze studiujący z nim psychologię Michał – w poważną schizę, szybko zmienił temat. W rzeczywistości to nie

potencjalna schiza tak go przeraziła – nie mógł uwierzyć, że powiedział głośno o tym, co mu się przytrafiało.

Było na tyle fajnie, że zaczęli się spotykać w takim składzie w miarę regularnie, co miesiąc, dwa, ale potem niestety zaczęło się to sypać, najpierw dramat, Maciek zginął na przejściu, rozjechany przez pijanego kierowcę – co w kraju czterdziestu milionów pijanych kierowców jest absolutną codziennością – Michał wymiękł, na czwartym roku ukłękła mu psychika, wziął dziekański i poleciał do Anglii, zostali więc tylko dwaj, ale zżyci jak nigdy. I tak to trwało do dzisiaj.

Patrząc teraz na kolegę, Damian bał się, czy wieloletnie używanie miękkich dragów nie padło tamtemu na mózg. Tego wieczoru Ksawery był obrazem nędzy i rozpaczy, sprawiał wrażenie, że gdyby nie trzymał się plastikowego kubeczka, to by poleciał. Nagle zewsząd rozległy się oklaski – na scenie pojawili się The Antlers.

Wokalista, Peter Silberman, nowojorski wrażliwiec z kilkudniowym zarostem, wydawał się spokojny i zrelaksowany. Przywitał publiczność uniesieniem ręki i zespół od razu, jakby chcąc się pokajać za prawie godzinne opóźnienie, zaczął grać. Na start poszedł megaklimatyczny kawałek *Drift Drive*, z przywołującej podmorskie, głębinowe skojarzenia EPki *Undersea*. Kojący rytm utworu sprawił, że większość widzów nieświadomie zaczęła się bujać, nastąpiła momentalna synchronizacja ciał z płynącym z głośników dźwiękiem, jakby zalały ich wszystkich niewidzialne fale, kiedyś byli całością, która się rozpadła, teraz do siebie wracają, *A million pieces in a billion places*, jak śpiewał Silberman.

– Dziwny kawałek – powiedział sam do siebie Ksawery, nie wiedząc, że robi to na głos. – Tak jakby... gładzi moje mózgowie fałdy.

The Antlers budowali dźwiękiem cieniste krajobrazy, mapy tajemniczych krain, które światło pieści tylko z rzadka.

Agata kończyła pierwsze piwo i bujała się razem z pozostałymi. Damian zastanawiał się, czy już jest wstawiona i czy wstydzi się tego, że jest wstawiona po jednym piwie. Twierdziła, że słaba głowa to świetna sprawa, lecz on miał wrażenie, że upija się tak szybko, żeby zapomnieć o tym, co nigdy nie dawało jej spokoju – przeszłości. Jego miłość do niej była od

zawsze zaprawiona odrobiną żalu, współczucia, nie chciał jednak dopuścić do siebie myśli, że jest to wyłącznie współczucie i litowanie się nad nią, a miłość, o ile w ogóle występuje, to w ilościach śladowych. Może i ona tak czuła. Kiedyś, gdy zdołowany rzucił jej coś oschle i w nerwach, odparła: „Im bardziej cię Kocham, tym mniej cię lubię!”, a potem trzasnęła drzwiami.

Miłość czy litość, oto było pytanie, myślał Damian, a na scenie *The Antlers* zaczęli grać właśnie kawałek z jego ulubionej płyty *Hospice*, konkretnie była to *Sylvia*, z wyraźnymi nawiązaniem do prób samobójczych Sylvii Plath.

Hospice było tematycznym albumem, opowiadającym na pierwsze nastawienie uszu o pracowniku hospicjum opiekującym się umierającą dziewczyną, tak naprawdę jednak stanowił on rozpisaną na dziesięć numerów historię chorobliwej relacji miłosnej. Swego czasu Damian słuchał tych kawałków po prostu na okrągło. I on kiedyś tkwił w związku bliźniaczo podobnym do tego, który opisywał Silberman. To było wprawdzie całe lata temu, ale bliźny zostają na zawsze, trwalsze niż pamięć. Dziewczyna miała na imię Matyllda i było w niej coś nieokiełznanego, co momentalnie zwróciło uwagę Damiana. Poznali się na imprezie, chyba w Fauście. Naprawdę dziwny wieczór, Damian przyszedł ze znajomym, który po godzinie musiał na chwilę zniknąć, ale ta chwila zastanawiająco się przeciągała, a w tym czasie wkurwiony Damian (na studiach znów nie szło tak, jak by się chciało) pochłaniał kolejne kufle z pianą. Ona przyszła sama, nie wiadomo kiedy i nie wiadomo skąd, może wyskoczyła spod ziemi, prosto z trzewi piekielnych na wolne krzesło przy stoliku Damiana.

– Usiadłam bez pytania, ale ty możesz jakieś zadać – powiedziała i zachichotała w sposób zupełnie rozbijający. I to zadziało, bo ładunek wybuchowy, który Damian nosił w sobie, został momentalnie rozbrojony.

Była piękna w nieoczywisty sposób, wymykający się precyzyjnemu opisowi. Niby poszczególne elementy jej twarzy – ciemne włosy upięte w kok, piwne oczy, zmrożone wyrazem wiecznego zdumienia, lekko zadarty nos, pełne usta – z osobna nie przyciągałyby uwagi, jednak ich połączenie dawało osobliwie magnetyczną całość.

Bezpośrednia i zadziorna, nie bała się przysiąc do stolika faceta wyraźnie starszego od niej (później okazało się, że różnica wynosiła ledwie dwa i pół roku, tyle że Matylda wyglądała bardzo młodo) i nie wynikało to ani z naiwności, ani z głupoty. Po prostu jeśli miała ochotę coś zrobić, robiła to.

Zapytał wtedy z pewną bełkotliwością w głosie, jak ma na imię i co tutaj robi.

– Matylda. I nudzę się jak cholera. Masz niepowtarzalną okazję to zmienić.

Wkurwienie minęło jak ręką odjął i Damian w jednym mgnieniu jej ciekawskich oczu stał się uosobieniem pijackiej szarmancji, stawiał jej piwa z sokiem malinowym, zabawiał rozmową na tematy, które zaraz po ich poruszeniu szły w niepamięć, a w okolicach pierwszej poszedł zatańczyć do paru energicznych kawałków, mimo że nie tańczył nigdy, przenigdy i za żadne skarby.

– Jak będziesz się dalej tak dobrze sprawował, pójdę dziś do ciebie i będziemy się kochać – wyszeptła mu na ucho i wiedział, że jest w stu procentach kupiony.

Odetchnął, gdy okazało się, że ona ma lat osiemnaście, a nie piętnaście (na co wyglądała). Za parę miesięcy miała zdawać maturę, potem iść na UJ-ot – wahała się jeszcze między kulturoznawstwem, socjologią a polonistyką, nie była pewna, który kierunek jest najodpowiedniejszy.

Pierwsze dwa tygodnie razem były czymś wspaniałym, barwnym i zarazem ulotnym, jak poefedrynowy sen, który w każdej minucie może się skończyć. Widywali się prawie codziennie, jeszcze z żadną dziewczyną Damian nie zżył się tak mocno w tak szybkim tempie. Zawsze wszędzie za rękę, jak dzieciaki, które nie potrafią inaczej, kina, kawiarnie, knajpy. Raz poszli nawet do tego żalostnego wesołego miasteczka nad Wisłą, gdzie w niektóre rdzewiejące maszyny aż strach wsiadać. I co się okazało? Tam też była pełna magia.

W połowie trzeciego tygodnia zaczęły się jednak kłopoty. Damian akurat nie mógł z nią nigdzie wyjść wieczorem, nazajutrz miał mieć kolokwium, a – jak sam to ujął – chuja umiał. Zrozumiała, obiecała nawet nie esemesować

i nie dzwonić, żeby go nie dekoncentrować. Pomyślał, że jest dojrzsza od niego i to po prostu wspaniale.

O dwudziestej pierwszej, gdy powoli kończył ogarniać konieczny do wyrycia materiał, przyszła od niej wiadomość.

„Jestem w ciąży. Proszę, zadzwoń”.

Poczuł się nagle jak na rollercoasterze, który wypadł z torów. Zgrzyt, iskry, panika. Wszystko momentalnie podeszło mu do gardła, myślał, że zaraz się porzyga. Ręce tak mu się trzęsły, że ledwie był w stanie utrzymać telefon, próbując do niej oddzwonić.

Nie odbierała.

Miał wrażenie, że zaraz dostanie pierdolca, że coś mu się przestawi w mózgu i to będzie koniec, przez resztę życia noszenie pieluch i przyjmowanie pokarmów przez słomkę.

Napisał więc, pytając, co się dzieje, czemu nie odbiera, czy wszystko w porządku.

Nie odpowiadała.

Jadę do niej, pomyślał. Chuj z kolokwium, jadę.

Ubierając się, jeszcze zadzwonił, nie mógł trafić w nogawkę, kurwa, musiał się opanować, bo będzie marnie. Odczekał pięć sygnałów i już miał się rozłączyć, gdy nagle odebrała.

– Słucham? – powiedziała zaspanym głosem.

– Płaczesz? – spytał, ale nie zareagowała. – Dlaczego wcześniej nie odbierałaś?

– Przepraszam, pokłóciłam się z matką. Nie chciałam cię w to mieszać.

Nie zrozumiał. W co nie chciała go mieszać? W kłótnię z matką czy ciążę, w którą podobno zaszła?

– Pisałaś, że... – zaczął, ale weszła mu w słowo.

– Spanikowałam. Okres mi się spóźnia.

– Ale robiłaś już test?

– Nie.

– No to skąd wiesz, że...

– Strasznie cię przepraszam, jestem taka głupia. Na razie nic nie wiem. Okropne zamieszanie w domu. Nie mogę teraz rozmawiać. Jutro się

odezwę. Nie musisz się martwić. To nic poważnego.

Rozłączyła się, zanim zdążył powiedzieć coś więcej.

Jej słowa niby go uspokoiły, jednak nie do końca. Pozornie nic się nie stało, żaden wyrok – jeszcze – nie zapadł, ale panika nie zniknęła, zmieniła się tylko w niepewność, specyficzne zawieszenie między chwilą obecną – porzucanymi po podłodze notatkami, kserówkami i książkami, z jedną nogą w nogawce, mokrym od potu i głuchym telefonem przy uchu – a nieokreśloną przyszłością.

Nie było już większego sensu jechać do Matyldy, postanowił więc pouczyć się jeszcze trochę. Tyle że nie mógł się skupić, ciągle błędził myślami wokół tematu nieregularnych okresów, testów ciążowych, nabrzmiałych brzuchów, porodów i niemowlaków nigdy nieprzystających płakać. Nie nauczył się niczego więcej, a potem na dodatek nie mógł zasnąć, wiercił się, przewracał z boku na bok, poduszki stały się twarde, chropowate, niewygodne, pod kołdrą było za gorąco, ale po odkryciu się znowu zbyt zimno. Trząsał się, pocił, drapał po całym ciele. A co, jeśli ona...? Nie, to niemożliwe. Chociaż w sumie uprawiali seks więcej niż raz. Ale mogła też zająć inna, groźniejsza sytuacja. Bo podejrzenie łatwo mu poszło na tamtym pierwszym spotkaniu. Jakby to była część jej planu, wejść do knajpy, wyłować frajera i udupić go na dobre. Przecież ona już wtedy mogła być w ciąży. Byłaby do tego zdolna? Nie, nie. Dobra, miła dziewczyna, trochę tylko nerwowa, przesadnie panikująca, nieraz nieadekwatnie do sytuacji. Wiercił się, kręcił, głowa pęczniała myślami. Wszystko go swędziało, skóra drętwiała. Mijały kolejne godziny, już myślał, że zasnął, że śni mu się światło, biały prostokąt mieszkania pośród mgieł, łupina z cegieł i lęków, ale to wcale nie był sen, już było jasno, naprawdę. Popatrzył na zegarek. Szósta czterdzieści. Nawet nie było po co zasypiać, kolokwium o ósmej.

Poszedł zdawać i wszystko nadal było jak sen. Spękany chodnik, jego chwiejnie kroki, nawet butów nie mógł normalnie zasznurować, przystanek, dzwonek tramwaju, jakiś stary kretyn pchał się tak, że dał Damianowi z łokcia i poprawił barkiem, strasznie się wtedy wkurzył, pomyślał, że mógłby tamtemu pierdolnąć w ryj, starej ubeckiej szmacie, przez takich jak on jego

rodziców zmiądzzył kapitalizm, bo wszędzie układy, jak kręgi na wodzie zmaconej jeszcze w minionych dekadach przez takich szmaciarzy. Chciał zwyzywać dziada od najgorszych i złapać za łeb, i przyjebać tym łbem w szybę albo kasownik. Potem nagle jest już na przystanku, nie pamięta gdzie, uciekła mu połowa trasy, idzie na uczelnię, skupia się na chwili obecnej, pisze kolokwium i nie wie nic, niczego nie pamięta. Na żadne pytania nie był w stanie napisać słowa, coś próbował wymyślić, błąkał się we własnych rozważaniach, kluczył jak w jakimś labiryncie. Psychologia zaburzeń, kurwa, o tym powinien mieć naprawdę dużo do powiedzenia. A jeśli to prawda, jeśli ona teraz robi ten test i zda na dwie kreski, co wtedy?

Kwadrans po wyjściu z sali dostał od Matyldy esemesa:

„Uff, fałszywy alarm. Jak ci poszło, kochany?”.

Wiedział, że nie zdał, ale mniej jasną kwestią pozostawał fakt – czy ona była normalna? Czy w tak pokrętny sposób sobie z nim pogrywała? A może to on przesadzał? Dziewczyna w końcu młodsza, pierwszy raz pewnie jej się spóźniał okres, mogła się zdenerwować. Sam już nie wiedział, która z tych opcji była bliższa prawdy.

Jakby na przekór podejrzeniom kolejny tydzień znów był cudowny. Wiedziała, że będzie miał poprawkę, oskarżała nawet siebie o jego niedyspozycję podczas kolokwium, więc teraz postanowiła go wspierać, przymuszać do nauki, zresztą sama też musiała nadrobić w zakuwaniu, matura zbliżała się wielkimi krokami, czasu było mało, kalendarz jak topór kata nad karkiem.

Nagle nadszedł ten wtorkowy wieczór, gdy wszystko ostatecznie zaczęło się sypać. Matylda zadzwoniła do niego z płaczem. Nie potrafiła wyjaśnić, co się stało, nie była w stanie wydusić nawet słowa. Pojechał więc do niej, była sama w mieszkaniu, starzy gdzieś wyszli. Zobaczył dziwne rdzawe plamy na rękawach jej swetra, podwinął je, a tam ślady po żyletce, po kilka szram na każdym z przedramion, na szczęście z dala od żył. Zaczął się trząść, o co kurwa chodziło, co się z nią działo, czy była jak Paweł, położy się na torach i cześć? Ona w płacz, że mógł nie przyjeżdżać, bo i tak nie zrozumie. Czekala ich długa i męcząca rozmowa, wreszcie Matylda postanowiła wyjawić mu prawdę: w drugiej liceum zaczęła się ciąć i

przestała jeść, z tygodnia na tydzień było coraz gorzej, aż rodzice w końcu posłali ją do psychologa, a ten zalecił odwiedzić także psychiatrę. Depresja, nerwica i początkowe stadium anoreksji. Dostała sporo prochów, których skład przez ostatnie lata zmieniał się wiele razy. Czasem było dobrze, a czasem to wracało, świat nasiąkał czernią, odechciewało się robić cokolwiek. Ciało było zbyt ciężkie, drętwe, obce i wrogie. Patrzyła w sufit i płakała, czekała, aż to wszystko się zawali, aż runie na nią cała pozbawiona oparcia rzeczywistość, popękane marzenia, obrócone w ruinę ideały, zaczęła czytać Wojaczka i pierwszy raz odniosła wrażenie, że ktoś ją rozumie. Były też dobre miesiące, długie okresy szczęścia i spokoju, jak ostatnio z Damianem, bo z nikim jeszcze nie było jej tak wspaniale, nikt dotąd nie sprawił, że poczuła się kochana. On słuchał tego ze względny spokojem, starając się oddychać miarowo, zapanować nad wewnętrznym dygotem. A więc była chora, trochę jak on, wywnioskował, wiele osób ma doły, przecież to nie jest przeszkoda nie do przeskokowania, może przy jego wsparciu wreszcie jej się poprawi. Sam chciał w to wierzyć, bo akurat wtedy jego psychika uspokoiła się jak nigdy, żadnych wizji czy proroczych snów od wielu tygodni, myślał już, że przeszło mu na dobre. Mógł wprawdzie uciec, mógł ją wtedy zostawić, sama nawet sugerowała takie rozwiązanie, mówiąc, że dla niego tak będzie lepiej, skupi się na nauce, skończy studia. A on powiedział: „To wszystko nieważne, tylko ty jesteś dla mnie ważna”. Skoro już studiował psychologię, byłby pierdolonym hipokrytą, gdyby odprawił ją wtedy z kwitkiem.

Od tamtej pory stał się nie tylko jej chłopakiem, kochankiem czy partnerem, ale przede wszystkim opiekunem, dbającym, by odbijała się szybko od dna, gdy sprawy przybierały nieciekawy obrót. Tak jak wcześniej przyglądał się jej z mieszaniną fascynacji i euforii, tak teraz znajdowała się pod jego baczny psychologyczną obserwacją, mógł wreszcie wykorzystać w praktyce instrumenty, które wtłoczono mu w głowę na uczelni. Zaczął gorzej sypiać. Po jakimś czasie wróciły koszmary, z których budził się o piątej albo czwartej, a potem nie mógł już zmrużyć oka aż do rana. W snach ratował postać bez twarzy z psychiatrycznych izolatek, błąkał się z nią po mglistych bagniskach, ciemnych i groźnych lasach, opustoszałych

peryferiach nieznanymi miast. Wędrował po spękanych, pokrytym pyłem betonie bezludnych ulic, widząc wszędzie wokół domy zrujnowane przez nieokreślony kataklizm: szyby zaparowane aż do nieprzejrzystości, rdzę trawiając dachy, płaty wyblakłej farby opadające z balustrad niczym chitynowa łuska, czerwone pustaki wylazące spod tynku. Stało się tutaj coś bardzo niedobrego, ale Damian nie miał czasu się nad tym zastanawiać, musiał wracać do świata jawy. Otwierał jakieś drzwi, potem otwierał oczy i zrywał się nerwowo, ale rzeczywistość okazywała nie mniej bolesna. Życie było jednak kurewsko ciężkie, wszystkie wchodzące w jego skład czynności wymagały ogromnego wysiłku woli, nawet podniesienie się do pionu i wypowiedzenie jakiegokolwiek słowa. Rozumiał, co się stanie, gdy wewnętrzna maszyna przestanie działać, wystarczy chwila, zabłysną iskry, nastąpi zwarcie, zasilanie padnie, każdy oddech odtąd będzie walką skazaną na porażkę. Pamiętał doskonale, co się stało z Pawłem, pamiętał, jak się wtedy czuł i o czym zaczął snuć.

To musiała być prawdziwa miłość, bo wcześniej Damian nie był zdolny do takich poświęceń. Patrzył, jak Matylda się miota, jak płacze, bijąc się pięściami po głowie i myślał: Jestem przy tobie, bo bardzo cię kocham, dziewczyno o depakinowych oczach, dziewczyno o fevarinowym uśmiechu, dziewczyno o sulpirydowych marzeniach, znam nazwy i skład wszystkich twoich leków, powoli zaczynam znać cię lepiej niż siebie samego. Wiem, że chemiczne sny nie przynoszą odpoczynku, to dlatego rano bywasz taka nieogarnięta. Setki razy słyszałem od ciebie, że nic nie ma sensu, że chciałabyś zniknąć, a jeszcze lepiej nigdy się nie urodzić, zostać w tamtym Nigdzie i Nigdy, z którego się wzięliśmy, rozumiem cię, ja też tego chcę. A im bardziej się skupiam na twoich problemach, tym mocniej wykoleja się moje własne myślenie.

W końcu związek Damiana i Matyldy przeistoczył się w rzadką odmianę współdzielonej choroby – on próbował wyciągnąć ją z mroku, ale jednocześnie sam coraz mocniej w ten mrok wsiąkał, hiperempatia w tym wypadku okazała się śmiertelną klątwą. Chcąc postawić ją na nogi, musiał nieraz upadać i coraz trudniej było mu się podnosić. Stało się niemal oczywiste, że zdanie przez nią matury będzie graniczyło z cudem. Była

zdolna i miała niezłą pamięć, ale to mogło nie wystarczyć. Jego sesja też stanęła pod ogromnym znakiem zapytania, wprawdzie tamtego nieszczęsnego kolosa dosyć szybko poprawił, ale widmo kolejnych egzaminów już nad nim wisało.

W połowie kwietnia zaliczyła „śmiesznie małe przedawkowanie”, jak sama to określała, starając się obrócić sytuację w żart. Wszystkiego się domyślił, była tego dnia tak senna, że słała się na nogach, mówiła powoli, bełkotliwie. Zdenerwował się i powiedział o tym jej rodzicom. Chcieli brać ją do szpitala, zrobić płukanie żołądka i skierować na oddział, ale wtedy, przyciśnięta do ściany, przyznała, że nie trzeba, bo wcale nie próbowała się zabić, tylko nie mogła w nocy zasnąć, więc łyknęła trzy nitrazepamami zamiast jednego i cztery tabletki depakine zamiast dwóch. Następnego dnia senność przeszła, wewnętrzna ciemność rozproszyła się, ale Damian i tak nie mógł przestać myśleć, co by było, gdyby zamiast siedmiu tabletek łyknęła na przykład dwadzieścia.

Wtedy w ich relacji zaczęła zachodzić zmiana, którą w pełni dostrzegł dopiero po długim czasie. Stopniowo – nie z dnia na dzień, lecz z tygodnia na tydzień – Matylda czuła się coraz lepiej, coraz częściej żartowała i uśmiechała się. Miał wrażenie, że to po tamtym „śmiesznie małym przedawkowaniu” coś wewnątrz jego dziewczyny wróciło na właściwy tor. Tak jak poprawę jej nastroju widział w miarę wyraźnie, wyczulony na każdą dobrą godzinę, każdy błysk w oczach i niezaprawiony ironią uśmiech, tak niemal zupełnie ignorował fakt, że sam czuł się coraz gorzej. Budził się wcześniej, jeszcze nim światło słoneczne zdołało przełamać ciemność. Za oknami widział smętną zawieszinę świata, najpierw czarną, potem przechodzącą przez wszystkie odcienie szarości, by stać się czymś bladym, brzydkim, trupem rozpoczynającego się dnia. Trudno było mu skoncentrować się na nauce, czytał notatki, ale ręce się trzęsły, oczy gubiły całe akapity tekstu... Miał ochotę uderzyć się czymś twardym i zdobyć namacalny dowód, że jeszcze nie jest martwy.

Ucieszył się, kiedy Matylda jednak jakoś zdała tę maturę, wprawdzie poniżej swoich możliwości, ale udało się. Widywali się coraz rzadziej, już tylko raz na trzy, cztery dni, w potem raz w tygodniu. Bez niego poszła

oblewać dostanie się na uczelnię, wprawdzie mówiąc mu o tym, ale też nie przejmując się, że Damian nie pójdzie z nią nie dlatego, że nie chce, ale że nie może. W ciągu miesiąca schudł siedem kilogramów, był słaby, mówił ochryplym szeptem. Dręczyły go dziwne wizje opuszczonych miast, pustych autostrad i czerwonego nieba pełnego sinych chmur. Sypiał nie więcej niż pięć godzin na dobę, myślał czasem: Niech to się wreszcie skończy, nie do końca zdając sobie sprawę ze śmiertelnej wagi takich marzeń.

Pewnego dnia Matylda przyszła do niego i powiedziała, że nie widzi żadnej przyszłości dla ich związku. Mimo spowolnionych reakcji i ogólnego przytłumienia wszelkich doznań był zaskoczony i zdenerwowany. Zaczęły mu drżeć ręce, skulił się w sobie jak po ciosie w splot słoneczny.

– Byłem przecież z tobą... przez cały ten czas – odpowiedział cicho, chyba próbując postawić samego siebie w możliwie najlepszym świetle. Coś zgniatało mu klatkę piersiową, ledwo mógł wydusić z siebie kolejne słowa.

Zaczęła płakać, ale Damian miał wrażenie, że wcale nie jest jej przykro, że to tylko taka linia obrony, przecież nie będzie atakował płaczącej dziewczyny, nie zdoła zrzucić na nią odpowiedzialności za tę sytuację.

Potem łamiącym się głosem zaczęła tłumaczyć, jak to Damian w ostatnich tygodniach się zmienił, jak jego negatywne nastawienie i ogólna abnegacja stały się nie do zniesienia, a zanim zdołał podnieść się po tych ciosach, już przygotowała się na techniczny nokaut, szybko zmieniając temat i mówiąc, że i tak wyjeżdża z Krakowa, idzie na Uniwersytet Warszawski. I że tak będzie najlepiej, bo ona chce w swoim życiu coś zmienić, a nie tkwić nieustannie w tym samym marazmie.

Coś jej wtedy odpowiedział, choć później już tego nie pamiętał, pamiętał tylko, że wyszła, pamiętał, jak zrobiło się cicho i cisza stała się tak natarczywa, że zaczęła brzęczeć mu w głowie, aż brzęczenie zmieniło się w szum. Damian pomyślał, że zaraz się porzyga, leżał na łóżku i patrzył w sufit, a świat wokół skwierczał, nie chciał się jednak spalić i wreszcie zgasnąć.

Tamtej nocy przyszło najgorsze. Koszmar tak realny, jak jeszcze żaden wcześniej. Tonął w lodowatej wodzie, pod której powierzchnią dryfowały

już dziesiątki trupów. Spienione fale, twarde jak pięści. Gdy w końcu się poddał i zaczął opadać w mrok, nad głową zajaśniały światła latarek, za nimi zaś sunęły czarne cielska łodzi ratunkowych. Mimo że spadał coraz głębiej, usłyszał wyraźny głos z brytyjskim akcentem: na pokładzie było siedemdziesiąt pięć osób, nikt nie przeżył.

Obudził się, wymiotując na podłogę słoną wodą. Wiedział, że musi działać. Zadzwoił do rodziców i powiedział o nadchodzącej katastrofie, rozbitym statku, siedemdziesięciu pięciu ofiarach. Płakał, głos mu się łamał i błagał matkę, by powiadomiła odpowiednie służby, bo on jest tak słaby, że nie będzie w stanie. Zrobiła to, powiadomiła służby, ale nie takie, jakich się spodziewał. Pół godziny później pod oknami miał już karetkę na sygnale. Potem była obserwacja w szpitalu, badania psychiatryczne i pierwsza seria leków, po których przypominał zombie. Matka odwiedziła go i powiedziała, że musiała tak postąpić, nie było żadnej katastrofy. Nie uwierzył. Po powrocie do domu godzinami szukał w internecie jakichkolwiek śladów. Nic. W końcu, pół roku później, zobaczył nagłówek informujący o tym, że samolot zniknął z radaru u wybrzeży Wielkiej Brytanii. Siedemdziesiąt pięć osób na pokładzie.

– Ten dar jest równie bezwartościowy jak ja – wyszeptał, przypominając sobie wizję, która sprawiła, że nie czuł się już człowiekiem, tylko pacjentem.

Matyldy już nigdy później nie spotkał, przynajmniej osobiście, przestała odpisywać na esemesy i maile, rozmowy odrzucała, a pójść do niej nie chciał, bojąc się, że przestanie nad sobą panować i jeszcze zrobi dziewczynie krzywdę. I tak jak osobiście nie spotkał jej już nigdy, tak też nigdy nie opuściło go jej ponure widmo, duch, który nawiedzał ruiny jego wyobraźni. Dopiero płyta *Hospice* stała się czymś na kształt egzorcyzmu, próby wywabienia z duszy wszystkich czarnych plam i puszczenia pewnych kwestii w zapomnienie. Po tamtej płycie *The Antlers* zaczęło mu być jakby lżej z tymi wspomnieniami i mimo że nawet teraz, na tym koncercie, gdy jak zahipnotyzowany wchłaniał w siebie całą liryczną kruchość Silbermana, duch Matyldy stał tuż obok, zupełnie jak ja sam, wypełniając sobą niewidzialną przestrzeń, którą zawłaszczyła, gdy byli razem. Godził się na

jej ciągłą obecność, pojmując, że za każdym człowiekiem podążają widzialni i niewidzialni, tak będzie już zawsze.

Blask bijący ze sceny ogrzewał go i było mu lepiej, nawet jeśli to natrętne brzęczenie, ten bolesny szum egzystencji zawsze czaił się gdzieś pod powierzchnią i żadna muzyka ani żaden lek nie zdołają go trwale zagłuszyć.

Damian, Agata, Ksawery

The Antlers grali nieco ponad godzinę. Ich koncert Damiana zachwyił, Ksaweremu „okropnie” się podobał, a Agacie podobał się, tak po prostu, choć jej zdaniem – zdeformowanym po dwóch piwach – wokalista momentami brzmiał trochę jak Chris Martin.

W przerwie przed wejściem Conora Smitha Damian z Agatą poszli do baru, Ksawery zaś został na miejscu, które nie było może na tyle dobre, by tak go pilnować, ale też nie na tyle złe, by zamienić je na wymagający użycia w lensach opcji Zoom In punkt widokowy w progu sali.

Ksawery starał się stać nieruchomo, by nie utracić tego stanu, który osiągnął, gdy publiczność kołysała się powoli do piosenki *Drift Drive*.

Przed oczy wpłynęła mu scena z dzieciństwa, nabierając całej jaskrawości najcenniejszych wspomnień. Był z rodzicami nad rzeką. To było niedługo po tym, jak musieli się przeprowadzić, bo tata stracił pracę. Ksawery stracił znacznie więcej: przyjaciela, ulubione place zabaw, stadion Wawel, na którym nauczył się grać w piłkę, ulubiony sklep ze słodyczami i całą resztę. Był wściekły na cały świat. Ale tamtego dnia spłynął na niego nieoczekiwany spokój. Na niebie ani jednej chmurki, tylko bezbrzeżny błękit ukoronowany słońcem, pod nim soczyście zielona łąka. Za plecami groźna ściana drzew, gdzieś tam na wypłowiałym leżaku opalała się mama, obok drugi leżak, pusty, a pomiędzy nimi koc z zabawkami Ksawerego, figurkami He-Mana i jego przeciwnika, fioletowego czarownika z czaszką w miejscu twarzy. Ksawery jednak gapił się przede wszystkim na rzekę, na jej leniwy nurt, na kamienie koryta, w jakimś stopniu kształtujące jej niespieszny bieg. Przy brzegu było dość płytko, więc chwilę wcześniej wszedł, najpierw zdejmując buty. Dno było twarde, woda bardzo zimna, ale nie uciekał, tylko chichotał, zdumiony lodowatą pieszczotą, a przecież tata stał obok, tata pozwolił, mimo początkowych protestów mamy. Ksawery zrobił parę kroków. Znalazł kamień w sam raz na swoje siedmioletnie siły,

postanowił go podnieść. Ostrożnie wsunął drobne rączki w czystą, połyskującą złościście wodę, zacisnął palce na chropowatym kształcie i dźwignął go na centymetr czy dwa. Wtedy spod kamienia wystrzelił mały, czarny kształt, który momentalnie zniknął w ciemnej szczelinie dna. Ksawery zapiszczał głośno, przerażony i zdumiony zarazem. Nie spodziewał się, że w tym miejscu ukryje się coś żywego. Pośpiesznie wyszedł na brzeg, bojąc się, by nie pokąsały go w stopy jakieś inne cieniste stworzenia.

– Spokojnie, to tylko mały głowacz – stwierdził tata, śmiejąc się.

A więc tak nazywało się to dziwne stworzenie. W niczym nie przypominało pstrągów, które zazwyczaj łowił ojciec – tamte były znacznie większe, ładniejsze i mniej oślizgłe.

Ksawery stanął kilka kroków od taty, który właśnie zamachnął się wędką. Pomarańczowożółta mucha z wystającym z odwłoka haczykiem, świszcząc cichutko, poleciała na sam środek rzeki.

Chłopak czekał przez chwilę, licząc, że tym razem jakiś wielki pstrąg wreszcie się nabierze i połknie haczyk. Dziś jednak nie brały. Nad powierzchnią wód krążyło wiele prawdziwych owadów, a żadna ryba nie wydawała się nimi zainteresowana.

Nagle zerwał się mocny wiatr. Ksawery musiał aż zmrużyć oczy i odwrócić głowę, widział jednak przez szparki w powiekach, jak uginają się całe połacie traw, jak włosy mamy zaczynają falować, jak jedną dłonią osłania twarz, a drugą przyciska do kolan książkę, której kartki próbowały wymknąć się spod kontroli, jak poruszają się iglaste gałęzie rosnących w oddali świerków i sosen, a potem uniósł wzrok i dostrzegł, że tańczycy zaczynają także ich smukłe korony, wszystko się poruszało, cała ta żyjąca znacznie dłużej od Ksawerego zieleń, i tylko ryby oraz kamienie, tkwiące w przejrzystym, chłodnym, sennym nurcie rzeki, zupełnie tego nie czuły, oddane własnym, podwodnym sprawom, osobnym zawirowaniom.

Otworzył oczy i znów był na koncercie, zieleń wyparowała, chociaż nie do końca, odrobinę jeszcze sączyło się z reflektorów, przeciekając między rozkołysanymi głowami widzów.

Ksawery pamiętał doskonale, jak losy jego rodziny zupełnie się odwróciły. Jakby podmuch wiatru odwrócił jakąś kartę – zamiast liczyć na litość pracodawców, pożyczyci od dziadków trochę pieniędzy i założyli własną firmę... Może Mati miał rację, może nie warto być do śmierci dojonym przez CyberArts, może Ksawery powinien zrzucić korpokajdany i dać się porwać czemuś nowemu?

Cieszył się, że ma teraz na sobie RamReplay, bo może ta chwila, te myśli i wspomnienia naprawdę zostaną utrwalone. Kto wie, może kiedyś będzie mógł je sobie nawet odtworzyć?

*

Agata stanęła przy barze, chwytając się niepewnie jego krawędzi. Jej zdaniem wieczór był bezsprzecznie piękny. Upiła się trochę, to prawda, ale to wcale nie z winy alkoholu dostrzegała niepowtarzalną urodę wszystkich rzeczy i spraw, tylko z racji tego, że obok był Damian. Cieszyła się z tego, co miała. Na ułamek sekundy zdała sobie sprawę z istnienia tych wszystkich równoległych światów, zamkniętych w głowach ludzi, których nigdy nie pozna: rzeczywistości wojen, dymu i pożogi, życ wtloczonych w ciasne klatki fizycznych deformacji i terminalnych chorób, losów toczonych przez biedę. Wstrząsnął nią dreszcz. Damian wziął do ręki plastikowy kubek, czując pod opuszkami chłód piwa, które właśnie podawał Agacie. Ostatnie, żeby mi tutaj nie padła, pomyślał.

– Co się dzieje z Ksawerym? – spytała nagle Agata i jakby chcąc zabić posmak wypowiedzianego właśnie zdania, pociągnęła łyk piwa.

– Nic mu nie będzie – odparł, nawet się nad tym nie zastanawiając. Był przekonany, że przyjaciel pozostanie na obranym już kiedyś torze, lekkomyślnie przepieprzy wszystko, co ma, ale nikt nie powinien przez to poważnie ucierpieć. Nie mógł być w większym błędzie – właśnie przez to, jaki był Ksawery, i przez to, co za chwilę zdarzy się na koncercie, ja teraz błąkam się po bezludnym świecie jak widmo z workiem wspomnień, których nie ma komu pokazać.

Otwieram oczy i patrzę na to, jak obecnie wygląda sala koncertowa klubu Kwadrat. Spękane ściany niedługo runą na dobre, podłogę dawno zasypały gruzy zawalonego sufitu. Zamiast dachu mam bezmiar rozgwieżdżonego nieba, w które pną się zasiane przez wiedźmę rośliny – spiralne łodygi pełne przezroczystych liści, które przekazują wchłoniętą energię do podziemnych sieci energetycznych. Moja macocha obsiała już nimi pewnie z pół planety.

Ja jednak jestem zbuntowanym dzieckiem tego świata, nie godzę się na to, co robi ona. Uparcie powtarzam działania skazane na porażkę. Śmierć mi nie grozi, a pustka i strach są przecież i tak codziennością.

Wnikam w ciało mechanicznego ślimaka, a w ustawieniach chrono przyspieszam tysiąckrotnie upływ czasu. Już kilka minut później po gąszczu stworzonym przez wiedźmę nie ma nawet wspomnienia.

Przyciągam do siebie chmurę i odnajduję w jej kłębach ukryte pokrętko, które momentalnie przekręcam.

Szept Conora Smitha rozbrzmiewa z taką mocą, jakby był w stanie powstrzymać najpotężniejsze żywioły.

Damian

Sam nie był już pewny, w jakich dokładnie okolicznościach po raz pierwszy usłyszał głos Conora Smitha. Wiedział tylko, że nagranie polecił mu Paweł, najlepszy kolega z dzieciństwa, który jeszcze zanim dzieciństwo im się skończyło, pożegnał się ze światem. Nie pamiętał już, która piosenka była tą pierwszą. Bo to mogło być *Pressure of Days*, słyszane pomiędzy nudnym zmierzchem a budzącym mdłości świtem. Ale to mogło być też *Mr. Misery*, w końcu najbardziej znane, albo *Endless Stream of Reminders*. Ja wiem, że tak naprawdę było to *Needle in the Hay*, ale to bez znaczenia, bo dla mnie wszechwiedza jest czymś oczywistym, a dla Damiana i pozostałych szukanie istotnych szczegółów w gąszczach wspomnień było jak znajdowanie tytułowej igły w stogu siana.

Przeczuwał, że prawdopodobnie było mu wtedy potwornie smutno, a piosenka przyniosła ulgę. Bo w przypadku twórczości Conora dokładnie tak to działało – byłeś maksymalnie zdołowany i myślałeś, że to już dno dna, a wtedy nagle słyszałeś którąś piosenkę Smitha i wiedziałeś, że nie jesteś z tym sam. Jego głos, tak delikatny, jakbyś słyszał melodyjne drgania pajęczych nici, szept ćmich skrzydeł, rytmiczny oddech dawno wymarłego miasta, wyprowadzał cię powoli z miejsca, w którym się znalazłeś. Bo Smith też tam był, wiele razy, wiedział, którędy odejść i jak wracać. Wątku nitka jego głosu, która w każdej chwili mogła się zerwać, prowadziła cię do wyjścia.

Nie pamiętał wielu szczegółów, ale przez wyobraźnię przepływały mu kolejne obrazy, z każdą sekundą coraz wyraźniejsze: on i Paweł biegną wzdłuż torów kolejowych, upalny dzień, powietrze faluje, brzęczą przebudzone pszczoły, w oddali słychać wyzwiska rzucane przez szkolnych prześladowców, ale oni czują się szczęśliwi i wolni, w głowie Damiana pobrzękują akordy *Say Yes*. Potem pierwsze dni spędzone z Agatą, jesień jaśniejsza od wszystkich wcześniej, ciężka brama Kina pod Baranami

niczym wrota do lepszego świata, wspólny seans i *Between the Bars* słuchane przez bohaterów w kluczowej scenie, niczym pierwszy oddech po wyjściu z więzienia. Każdy utwór zamykał w sobie inny moment jego życia, jakby się dało streścić wszystko na kilku płytach, bez żadnych wypełniaczy i żadnego fałszu.

A teraz Smith miał wejść na tę scenę. Tłum podświadomie zaczął napierać, stopniowo przesuwając całą ich trójkę do przodu, działo się to jednak tak wolno, że niemal niezauważalnie, ktoś mniej przewrażliwiony od Damiana nawet nie zwróciłby uwagi.

Na scenie stało już pojedyncze krzesło, które – choć zwyczajne – zdawało się na swój sposób nierealne, jakby było tylko fantasmagoryczną projekcją rzuconą przez snop białego światła. Wszędzie wokół kłębiła się nieprzenikniona ciemność, pełna szeptów i przyspieszonych ekscytacją oddechów.

Nagle wszystko zamarło, nikt nie odważył się odezwać. Cisza stała się wręcz nieznośna.

Skrzypnęły cicho deski podestu, jak winylowa płyta, której prawdziwego brzmienia nikt z obecnych dotąd nie słyszał.

A więc to teraz, pomyślał Damian i w tym samym momencie coś się w nim wreszcie otwarło. Poczul tak niewiarygodną, tak nieodpartą radość, że prawie się rozplakał. Na własne oczy widział swojego boga, trzymał za rękę ukochaną, a na dodatek tuż obok stał wieloletni przyjaciel. Wszystko wydało mu się doskonałe. Nagle zrozumiał tych wszystkich rozhisteryzowanych idiotów, którzy omdlewali na widok swoich idoli, jakby na własnej skórze doświadczyli światłości.

Conor Smith szedł powolnym krokiem, ciągnąc za sobą gitarę niczym uszkodzony oręż. Poruszał się w drugim, węższym snopie światła, sunąc ospale w kierunku tego, który wciąż padał na puste drewniane krzesło.

Piosenkarz usiadł na nim, unosząc gitarę, a dwa snopy światła zwały się w jeden, jaśniejszy, wymuszający zmrużenie oczu.

Ręce kogoś niewidocznego wyłoniły się na sekundę z czerni, stawiając przed Smithem mikrofon na zgiętym w pół statywie. Piosenkarz skrzywił się, jakby tłumienie nieustającego bólu przestało na chwilę skutkować,

niemal od razu jednak jego twarz przybrała dawny wyraz. Odgarnął od niechcenia nieco przetłuszczone włosy i uderzył dłonią w struny.

Na pierwszy ogień poszło *Distorted Reality*, z szóstej płyty Smitha, która przez incydent z nożem wbitym milimetry od serca mogła być jego ostatnią.

I'm floating in the black baloon

OD on easter afternoon.

Głos Conora jak zawsze ucieleśniał kruchość, jednak uderzające w struny palce zdawały się pewne, nie błędziły w poszukiwaniu akordów, jak to się zdarzało podczas koncertów sprzed lat. Twarz wokalisty wydawała się pozbawiona wyrazu, w jego oczach widać było już nie tyle smutek, nawet nie rozpacz, lecz to, co znajduje się dalej: brak jakichkolwiek więzi z rzeczywistością.

Czy ze mną jest podobnie? – zastanawiał się Damian. Czy nie dlatego tu przyszedłem, chcąc przekonać się, że nie jestem jedyny, że jest nas więcej i choćby przez to naprawdę mamy znaczenie? Ostatni prorocy zagłady na planecie, która nie chce jeszcze stoczyć się w otchłań. Nie miał pojęcia, jak blisko krawędzi znalazł się wtedy on i pozostali. To, co ledwie przeczuwał, miało nadejść już niebawem i w krótkim czasie unieważnić dorobek tysięcy lat ludzkiej cywilizacji.

Po pierwszym utworze nastąpiła trzydziestosekundowa przerwa, podczas której wykonawca tylko gapił się przed siebie, nie mogąc najwyraźniej uwierzyć, że pod sceną, w ciemnościach, może kryć się ktokolwiek.

Potem przyszła pora na utwór z późniejszego, dla wielu niezrozumiałego okresu twórczości. O ile w czasie nagrań do szóstej płyty, ubóstwianej przez krytykę i fanów *Basement on the Hill*, Conor był odbierany jako osoba znajdująca się nieustannie na skraju samobójstwa, tak później, po słynnym zatopieniu ostrza we własnej klatce piersiowej, nagrywał rzeczy, które mógł stworzyć wyłącznie ktoś już będący po tej drugiej stronie.

Three Hundred Million Black Rainbows to był jeden z tych najbardziej eksperymentalnych utworów, które trafiły na siódmą płytę Smitha, *ZERO zero ZERO*. Był czymś pięknym, subtelnym, niczym naszkicowany iskrami i dymem pejzaż miejsca, którego nikt z nas dotąd nie odwiedził. Składał się z trudnych do rozszyfrowania szeptów oraz wrzasków, niekiedy układających

się w słowa o milionach seryjnych morderców ponad horyzontem, niekiedy we frazy o połamanych pnączach i brudnych skrzydłach aniołów, a pod koniec także o „schodach, co wiodą tylko w dół, prosto do gniazda elektrycznej czarownicy”.

Choć wiem, że utwór powstał już po słynnej próbie samobójczej, wiem też, że jego słowa Smith napisał niemal dekadę wcześniej. I nie mogę uwierzyć, jak precyzyjnie odnoszą się do tego, jak wyglądał koniec. Nadal widzę niebo czarne od milionów uzbrojonych dronów, widzę gąszcz przewodów i łodyg ze sztucznego włókna, przez który przedzierałem się, by zobaczyć miejsce, w którym wiedźma wydaje na świat najgorsze koszmary. I choć nie chcę pamiętać, ta scena wraca najwyraźniej: pęki kabli okalające szklaną twarz, w której migocze tylko śnieg zakłóceń, szpony nad gigantycznym garnkiem, skopiowanym pewnie z jakiejś starej baśni. Falująca powierzchnia gęsta od nano, które przybierało kolejne formy ludzkich lęków: blade twarze klaunów, pod którymi kłębiły się węże i pająki, pociski i bomby, deformacje i choroby, ale na dnie była już tylko absolutna ciemność śmierci.

Aby oddać niepokój przegradzający się w przerażenie, Smith burzył strukturę piosenek, wprowadzając zakłócające: jakby atakujące wokół Conora z tła – elektroniczne sprzężenia i dziwaczne detonacje niespodziewanych dźwięków. Jego głos rozpływał się w chaosie, nieprzewidywalności i swego rodzaju nieoznaczoności.

Conor Smith płynnie przeszedł do akustycznego *My Biggest Lie* i Damian z całą wyrazistością przypomniał sobie chwilę, gdy Paweł wręczał mu nagraną przez siebie składankę. W ciągu zaledwie trzech minut trwania utworu stanęło mu przed oczami tyle wspólnych chwil: rozmowy na przerwach i po szkole, czytanie rozlatujących się książek o zabójczych ślimakach i krabach, wypadki do salonu gier i marzenia o zostaniu superbohaterem, kimś niezbędnym dla świata. To przecież było ich największe kłamstwo, bo żaden z nich nie stał się nikim innym niż wtedy: Paweł kilka miesięcy później już nie żył, a Damian na zawsze miał zostać przerażonym dzieckiem w ciele mężczyzny.

Potem wokalista wykonał *Waltz 2*, utwór powszechnie uwielbiany, ale przez autora szczerze znienawidzony. Tekst mówił o matce Conora, „patrzacej martwo w przestrzeń jak chińska laleczka” i jej nowym kochasiu, ojczymie piosenkarza, który znęcał się nad nim fizycznie i psychicznie.

Rytm akordów był jak ręka ojca walącego Damiana w głowę. W refrenach jego matka bladła jak dym i znikwała.

Po walcu nastąpiła dłuższa, kilkuminutowa przerwa, podczas której wykonawca zniknął na chwilę, schodząc chyba ze sceny. Potem wrócił, usiadł, westchnął ciężko, a następnie powiedział do mikrofonu:

– *All right... Time for a new song. This one's called Inferno Come.*

Damian – zresztą pewnie nie on jedyny – był w niemałym szoku. Wyglądało na to, że Smith nie tylko wrócił do tworzenia muzyki, ale też – jeśli oczywiście nie żartował – właśnie tu, w Krakowie, postanowił zaprezentować premierowy materiał. A przecież od czasu wydania płyty *ZERO zero ZERO* nagrał tylko jeden utwór, wypuszczoną niecałe dwa lata temu „piosenkę” zatytułowaną *In The Dust Of The Planet*, a potem zamilkł. Czyżby udało mu się przełamać, pokonać nie tyle blokadę twórczą, co egzystencjalną, o której wspominał kiedyś w paru niechętnie udzielanych wywiadach, nazywając ją „niemożnością życia w jakikolwiek wyobrażalny sposób”?

Smith zagrał na próbę dwa losowe akordy, a później, gdy już nachylał się do mikrofonu, by zacząć nowy utwór, gdy już rytmicznie uderzał w struny, coś zaszurało cicho i Conor przestał grać. Schylił się, bardzo szybkim, jakby wielokrotnie już przeciwionym ruchem, podnosząc z podłogi jakiś przedmiot.

W pierwszej chwili nikt nie wiedział, co się tak naprawdę dzieje. Gdy jednak ostrze noża błysnęło na ułamek sekundy w blasku reflektora, stało się jasne, co się zaraz wydarzy, choć nikt nie zdążył nawet krzyknąć, kiedy artysta wyszeptał do mikrofonu: *None of this is real*, a potem jednym doskonale opanowanym i pozbawionym śladów wahania ruchem wbił sobie nóż w pierś, zatapiając ostrze w sercu.

Nie mogąc złapać oddechu, Damian gapił się na scenę, gdzie snop białego światła zgasł, jeszcze zanim ciało Conora upadło na podłogę. I

wtedy właśnie ten nieokreślony ból, który przeczuwał od samego rana, zmusił go do intuicyjnego działania, mimo że w tamtej chwili wydawało się ono bezsensowne. Z całej siły pchnął stojącą obok Agatę na podłogę, nakrywając ją własnym ciałem. Nie zdążyła nawet zaprotestować, gdy Damian krzyknął do Ksawerego, a może i do całej reszty: „Na podłogę, szybko!”. Ale kolega najwyraźniej nie usłyszał, oszołomiony tym, co się wydarzyło.

Rozległ się odgłos przypominający dźwięk pękającej kości, tylko dziesięć tysięcy razy głośniejszy. Pojawił się żółty błysk, a zaraz potem wybrzmiał wrzask tych wszystkich, których eksplozja pod sceną nie zdołała powalić na ziemię, i zlał się z jednostajnym piskiem w uszach.

Na całej sali rozbłyły zgaszone przez ostatnie pół godziny światła. Było tak jasno, tak nieznośnie jasno. Ludzie wpadli w histerię, jedni szaleńczo rzucili się do ucieczki, inni rozpaczliwie parli naprzód, albo chcąc pomóc rannym, albo raz jeszcze zobaczyć Smitha, nim ostatecznie zgaśnie to jedyne realne światło ich ciemnych żywotów. Parę osób zdołało wspiąć się na scenę, nie wiadomo właściwie po co, czy chcieli pomóc, czy tylko zabrać ze sobą ostatnie wspomnienie idola, zapisany na siatkówce ich oczu widok mężczyzny z nożem wysuwającym się z piersi, z ciemnymi, przetłuszczonymi włosami opadającymi na śmiertelnie bladą twarz, i leżącej obok gitary, których tak naprawdę już tam nie było, jakby wyparowali w momencie wybuchu.

Damian szukał wzrokiem Ksawerego. Był tak ogłuszony, że żadne dźwięki poza piskiem do niego nie docierały. Agata nie ruszała się, chciał ją podnieść, lecz nie był w stanie. Drżącymi palcami starał się wyczuć puls na jej szyi, a jednocześnie krzyczał, chcąc wezwać pomoc, ale nie słyszał nawet własnego głosu. Ksawerego nie było w pobliżu. Okazało się, że i on wspiął się na scenę, stał dosłownie metr od miejsca, gdzie wcześniej siedział Smith. Na jego zakrwawionej twarzy widać było mieszaninę dzikiej rozpacz i zaciekawienia. Któryś z ochroniarzy odepchnął go mocno, nie wiadomo czemu, a Ksawery zatoczył się, balansując chwilę na krawędzi sceny, by potem spaść bezwładnie między martwe i nieprzytomne ciała.

Światła nie gasły ani na moment, ale w oczach Damiana wszystko wokół rozmigotało się nagle, jakby świat zawiesił się w połowie drogi między czernią a bielą.

2023

But now I'm confused. Is this death really you?

And do these dreams have any meaning?

No. No, I think it's more like a ghost that's been following us both.

Something vague that we're not seeing,

Something more like a feeling.

Conor Oberst

Damian

Ci, który umarli wystarczająco wcześnie, trafili jeszcze do grobów. Kości pozostałych obracają się w pył na ulicach.

Idę przez cmentarz w skórze ducha z gry Pac-Man, bo nie potrafię złamać zabezpieczeń, którymi wiedźma dla żartu obwarowała to miejsce. Ludziom, którzy odwiedzali tu bliskich, ten żart musiał się wydawać czystym okrucieństwem, ale ja na szczęście mogę zakpić z groteskowego planu macochy. Gdy tylko zza zarośniętej bluszczem krypty wyłania się bladożółta, rozdziawiona twarz zabójcy, który myśli tylko o zaspokojeniu głodu, momentalnie wykonuję kilkanaście własnych kopii, każąc mu uganiać się za ułudami.

Zatrzymuję się nad grobem rodziców Damiana. Z ostatniego wieńca dla jego matki został tylko pordzewiały szkielet z drutów i patyków. Na pękniętej płycie stawiam wirtualny znicz i zapalam go. Z dymu wyłania się wspomnienie kobiety, która przed śmiercią postradała resztki samej siebie.

– Mamo, kurwa, dlaczego to sobie robisz?! – krzyczał Damian podczas ich ostatniej rozmowy. – Zdejmij to, odłącz, przecież zwariujesz zupełnie, nawet gorzej niż ja...

– Nie poznaję cię, przystojniaku – wyszeptła, dotykając trzęsącą się dłonią jego policzka. – Czy jesteś jednym z moich kochanków?

Zacisnął pięści, a potem wyszedł. Oczy matki zamiast ciasnego mieszkania, z którego nie wychodziła od tygodni, widziały wnętrze luksusowego podwarszawskiego pałacyku, do którego kontrowersyjna aktorka, Olga Stachowska, sprowadzała coraz młodszych partnerów, transmitując wszystko w immersjonecie. Odkąd matka Damiana miała własne lensy, większość pieniędzy wydawała na subskrypcje. Nie musiała już tylko czytać o celebrytkach, teraz czuła się jedną z nich, nie mając zamiaru wracać do ponurej codzienności własnego życia. Tak też umarła, niedługo potem, myśląc, że jest kimś innym, młodszym, bogatszym i szczęśliwszym.

Znicz gaśnie, wspomnienie znika.

Zimny wiatr szarpie moim białym prześcieradłem. Przez otwory na oczy przyglądam się, jak Pac-Man w oddali połyka jednego z moich wirtualnych braci.

*

W lodówce były jeszcze cztery opakowania lodów, półlitrowe, dwa czekoladowe, jedno śmietankowe, jedno truskawkowe. Dobrze, na dziś starczy, jutro się zobaczy.

Damian zanurzył palec wskazujący w różowawej masie, potem go oblizał, przez chwilę ciesząc się jeszcze chłodem ziejącym z wnętrza zamrażarki.

Drobiazgi są istotne, drobne przyjemności, szaleństwa dnia codziennego, pomyślał. Bo przecież...

Szelest!

Odwrócił się, wzrokiem skanując półmrok. Kto? Co?

W końcu wyłowił spojrzeniem uchylone drzwi na korytarz, tam jednak było całkiem czarno, więc znowu rozejrzał się po pokoju: biurko w trupim blasku pojedynczej lampki, w dole bezprzewodowy pad jak dziwaczna kość, dalej obrotowy fotel obdarty ze skóry... Nikogo obok, więc chyba nic mu nie groziło.

Jeszcze rzut oka w kierunku okna, pojedynczy kruk wiercił się na gałęzi, obserwując przelatujący powoli klucz dronów pocztowych, potem rozłożył skrzydła i z podobnym jak przed chwilą szelestem ewakuował się w noc.

– A więc to tak – szepnął sam do siebie Damian.

Dobrze, że miał taki zapas lodów. Bo w okresie poprzedzającym wydanie szóstej płyty Conor Smith żywił się podobno wyłącznie lodami. Mało kto zdawał sobie z tego sprawę, nie był to fakt powszechnie znany, a szkoda, warto przywiązywać wagę do drobiazgów. Na przykład gdyby on, Damian, tamtego dnia był bardziej skupiony, bardziej uważny, być może zdołałby w porę ostrzec ludzi na koncercie i może nikt by nie zginął, nikt by nie odniósł poważnych obrażeń. Po co wtedy wziął te przeklęte leki? Zresztą, teraz było już za późno na żale, został sam, nie było z nim Agaty, zostały tylko lęki,

które starał się sprecyzować i wykorzystać, by nie doszło do kolejnych tragedii.

Lody truskawkowe były chłodną osłodą nocy i wieczorów. Ich z lekka chemiczny posmak uspokajał Damiana, ułatwiał wsłuchiwanie się we wszechobecny szum tła, rodzaj nieustannego promieniowania kosmosu, niedającego o sobie zapomnieć.

Ledwie parę godzin temu stanął nad nim hologram jego matki. Podekscytowana chwaliła się nowym nabytkiem.

– Taki miły pan zaproponował mi nowiutkie lency w niedrogim abonamencie. To jest cudowne! Podobno można podglądać ulubione gwiazdy jeszcze bardziej niż w zwykłym internecie.

Rozkojarzony chciał ją odwieść od zbyt długiego błędzenia po sieci, ale w końcu machnął ręką, sam trzy czwarte dnia spędzał w immersjo.

Zlizał z warg resztki truskawkowej masy. Tak, przez całe miesiące Smith żywił się wyłącznie lodami i to było cudowne. A przecież ten okres mógł być ledwie ułamkiem znacznie dłuższego odcinka czasu, mógłby się żywić nimi i teraz, gdyby tylko Damian...

– Trzeba poznać każdy szczegół. Nie przeoczyć niczego – odezwał się sam do siebie i usiadł w fotelu, a potem znów wskoczył w immersjo. Po raz dwusetny dzisiaj zamierzał obejrzeć którąś z wyselekcjonowanych holografii albo jeden z klipów. Materiał dowodowy z Tego Ostatniego Koncertu. Wydarzenia, które zmieniło wszystko, nie tylko w jego życiu.

Niewiele osób znało historię o lodach. Niewielu słyszało też o białych vanach, które na przełomie dwa tysiące szesnastego i siedemnastego całymi tygodniami krążyły za artystą. Mogło to być zwykłą paranoją albo całkiem prawdziwym spiskiem. Wszyscy za to wiedzieli o tym, co zaszło na krakowskim koncercie. Sieć pęczniała od analiz, przez kilka dni to było wydarzenie numer jeden na świecie. Niszowy artysta nagle trafił na usta wszystkich. Jeden z najbardziej wpływowych influencerów, Angry Father John, na potrzeby swojego codziennego serwisu włożył nawet biały garnitur – ten sam, w którym Smith śpiewał przed laty na oscarowej gali. Plotkarskie portale spekulowały, że mógł zapłacić za niego grubo ponad sto tysięcy coinów. Nie potwierdził ani nie zaprzeczył.

Zainteresowanie mainstreamu szybko skierowało się w inną stronę, jak zawsze. Najwierniejsi fani jednak nie odpuszczali. Na własną rękę analizowali zgromadzone materiały. Klipów było co najmniej kilkadziesiąt, holografii całe setki, choć większość miała marną jakość, grubo poniżej 4K. Jedne filmiki trwały kilka, kilkanaście sekund, inne ponad dwadzieścia minut, od wejścia Conora na scenę po z tej sceny zniknięcie. Damian znał je wszystkie. W pogoni za prawdą postradał zmysły.

Agata

Jeszcze kilka miesięcy temu byłoby to dla niej niewyobrażalne. Teraz jednak każda ewentualność, nawet taka, musiała przychodzić jej na myśl. Nie znalazła innego w miarę rozsądnego rozwiązania, więc wracała, wracała do tego miejsca, z którego przez tyle lat próbowała uciec. I kiedy w końcu uznała, że jej się udało, że jest wolna i nieobciążona żadnym brzemieniem, które narzuciliby jej rodzice, wszystko uległo zmianie.

Tygodnie po zamachu na koncercie Conora Smitha były zdecydowanie najgorszymi w jej życiu. Problemy psychiczne Damiana nasiliły się w niewiarygodnym stopniu, stał się osobą chorą w każdym znaczeniu tego słowa. To nie była już ciemna chmura depresji, która czasem jest, a czasem jej nie ma. To przeszło nagle w jakąś niekończącą się zamieć, z którą Agata nie była w stanie wygrać ani nawet próbować jej sprostać. Damian upadał czasem na podłogę i przez wiele godzin nie mógł się podnieść. Poranne wstawanie z łóżka przerodziło się w koszmar, bo każdy ruch sprawiał mu ból. Przestał właściwie opuszczać mieszkanie, a gdy jeden jedyny raz Agata zdołała siłą nakłonić go do pójścia na spacer, schodził po schodach przez dwadzieścia minut, taki był słaby. Zresztą zaraz za drzwiami usiadł na chodniku, oparty plecami o ścianę, i zamknął oczy, na reagując na żadne prośby. Przez pierwsze dni starała się podchodzić do tego z jak największym opanowaniem, ale sama też miała nerwy w strzępach, a na dodatek bała się zostawić Damiana samego, żeby się nie zabił, więc albo urywała się z pracy wcześniej, albo w ogóle do niej nie szła. Gdy w końcu pewnej nocy wystukiwała numer pogotowia, bo nie wiedziała, co robić, wyobraziła sobie, jak zakładają jej ukochanemu kaftan, i zaczęła płakać, rozłączając się. Potem przyszedł ten ponury i straszny poniedziałkowy poranek, gdy zobaczyła, jak Damian, siedząc na wannie, tnę się nożem po wewnętrznej stronie ud i nie może przestać, a właśnie w tym samym momencie zadzwonili z uniwersytetu, pytając, czy Agata wreszcie ma zamiar pojawić się w biurze.

No i ona, zamiast w porę się rozłączyć i oddzwonić, kiedy zacznie już myśleć racjonalnie, rzuciła w słuchawkę: „Odpierdolcie się, dajcie nam spokój!”. I nie miała już pracy. Nie miała też jakichkolwiek perspektyw, przynajmniej tymczasowo. Damian stał się agresywny, traktował Agatę jak wroga, który zawsze tylko próbuje mu przeszkodzić, bo zupełnie nie rozumie, co on zamierza osiągnąć. Do psychiatry nie chciał iść, twierdząc, że pół życia na to zmarnował i jak widać nie pomogło.

Minęły kolejne dni walki skazanej na porażkę, batalii dwóch umysłów, które przestały się uzupełniać, a zaczęły tłamsić. Agata wracała więc na jakiś czas do domu, do rodziców, choć miała wrażenie, że uciekając przed jedną wojną, ładuje się w okopy drugiej, pod wieloma względami znacznie bardziej niebezpiecznej, bo trwającej dziesięciolecia.

Te czterdzieści minut jazdy autobusem było jedną z najdłuższych chwil jej egzystencji. Pod nogami torba i walizka, obok ziejący piwskim i jedzonym właśnie kabanosem tłuszcioch. To było na równi żałosne i śmieszne, a przecież takie przedsięwzięcie powinno mieć w sobie tragizm i patos, w końcu zostawiała Damiana, miłość swojego życia, wyprowadzała się od niego i – nie mając już pracy ani pieniędzy, ani nawet nadziei, że ten stan ulegnie zmianie – jechała do rodzinnego domu. Niczym Dante wracający do piekła na bilecie w jedną stronę. Wyciemniła świat i odpaliła sobie na lensach infernalny krajobraz, który podziwiała nie z za szyb autobusu, a zaprzężonej w dwa końskie szkielety dorożki, obok zaś siedział nie śmierzący oblech, tylko parszający ogniem i siarką demon wagi ciężkiej. Mimo że wcześniej łzy same cisnęły się do oczu, teraz trudno jej było nie wybuchnąć śmiechem.

Czemu właściwie miała taki problem z ojcem i matką, czemu tak się bała powrotu do Gliczowa?

Już pierwsze jej wspomnienie z dzieciństwa miało specyficzny ciężar gatunkowy, najodpowiedniejszy dla klasycznych dreszczowców. Pamiętała, jak matka ciągnie ją, płaczącą, za rękę, szarpiąc wyjątkowo mocno, choć trzymała przecież pięcioletnie dziecko. Idą przez mgły i deszcze, wokół wieczorna szarość przechodzi już w nocną czerń, w kałużach drżą odbłaski neonów, Agatka drepcze za mamą, słabe nóżki wyraźnie nie nadążają,

drepcze zapłakana, smarki spływają na górną wargę i kapią, mama szarpie, ale sama też płacze, bo znów bardzo, bardzo, bardzo pokłóciła się z tatą. Agatka pamięta krzyki, nie pamięta słów. Słyszała awanturę i okropnie się bała. Wiedziała doskonale, że rodzice nigdy, przenigdy nie powinni się tak do siebie zwracać. Teraz drepcze chwiejnie, miasto wcześniej twarde jak kamień mięknie w gęstym deszczu, rozpływają się kształty, mgła wszystko pożera. Idą dalej, Agatkę od łkania boli już gardło, ręka na wysokości barku pali żywym ogniem. Mama szarpie ją, mówiąc coś do siebie i nieustępliwie prac naprzód. Chodź, chodź, chodź, Agatko, chociaż dokąd, to wciąż nie jest jasne. Idą tak, ochlapane tamtym burym miastem, idą obydwie ślepo prosto w mgły i cienie, napędzane wyłącznie paliwem matczynej rozpacz. Czy ta wędrówka może w ogóle mieć szczęśliwy koniec? Czy będzie jak w baśniach, które wieczorami mama czyta Agatce: dziecko porzucone w środku lasu, dziecko zamrożone pod murem, dziecko zjedzone przez garbatą wiedźmę? Agatka nie wie, do dziś tego nie wie, ale nadal boi się czarownic, czających się za każdym życiowym zakrętem.

Nagle tuż obok pisk opon, trzask otwieranych drzwi samochodu, głos taty, usłyszany jeszcze nim Agatka zdołała dostrzec jego twarz:

– Kochanie, przepraszam. Wracaj!

A teraz, po tylu latach, Agata faktycznie wracała, z walizką doświadczeń, które chciałoby się zostawić w jakiejś przechowalni na zawsze.

Damian

Damian był jednym z tych, którzy uważali, że zagadka tamtego wybuchu na koncercie Smitha w gruncie rzeczy nie została rozwiązana. Służby zakończyły dochodzenie, uznając, że rozszerzone samobójstwo psychofana zbiegło się ze śmiercią samego artysty, tak po prostu, nikt im nie pomagał i nikt ich do tego nie namawiał. Fan chciał umrzeć razem z idolem, a tak się złożyło, że idol zrobił to nieco wcześniej. Damian ani przez sekundę nie kupował takiej wersji. Czuł, że za tym musi kryć się coś więcej.

Krążąc po sieci, w wielu miejscach zadawał niewygodne pytania, licząc na jakąkolwiek reakcję zainteresowanych: kto pomógł zamachowcowi to zorganizować? Kto i kiedy umieścił materiały wybuchowe wewnątrz klubu, skoro wniesienie ich na koncert graniczyłoby z niemożliwością? Skąd na scenie wziął się nóż? Czy ktoś go tam rzucił, a jeśli tak, jak przeszedł z nim przez bramkę? O czym w końcu miała być ta ostatnia i najnowsza piosenka, *Inferno Come*? Czy istniała jej pełna wersja, czy były to tylko te dwa akordy, kończące się śmiercią?

Wszedł do kręgu dyskusyjnego Strange Parallel. Wyglądało to jak trójwymiarowe, czarne koloseum pod fioletowym niebem. Siedziało tam teraz siedemnaście osób, głównie z USA. Rozejrzał się za dialogowymi chmurkami nowych postów. Może trafi się nawet cały nowy temat? Nie, nic. Od pół godziny nic nowego. Stagnacja. Inni też utknęli. Wszyscy, w miejscu. Bezruch. Jako tło ktoś ustawił *Twilight*, jedną z najsmutniejszych piosenek w dziejach. Niebo rozbłysło zorzą, która ułożyła się w drgające struny. Zbędny bajer, tylko rozpraszał, wywnioskował Damian.

Jego login, Cathy's Clown, zrozumieją wyłącznie zainteresowani.

Dziura zamiast twarzy, czarna dziura zamiast awatara, chciał wsysać w siebie tajemną wiedzę na temat tragicznych wydarzeń, ale nie było tu nic do pochłaniania.

Już dziewięćset siedemdziesiąt osiem postów na koncie, trzysta pięćdziesiąt pochwał. Teraz stagnacja, martwy punkt. Dalej nikt nic nie wiedział, on również.

Odpalił czternastosekundowy klip niejakiego OhMyGosha, relatywnie nieznany, tylko siedemset wyświetleń, z czego pewnie pięćdziesiąt Damiana. Ruchem kciuka rozszerza wirtualny ekran na całą panoramę, przełącza na najwyższą dostępną rozdzielczość i wpatruje się dalej.

Jakość koszmarna, dźwięki to zwykłe szelesty (przypadek czy rozszepkana zapowiedź rzeczy nieuchronnych?), rozpoznanie kogokolwiek w tłumie byłoby cudem, ale to właśnie jest jeden z filmów, na których przez moment widać sam nóż, a nawet schylającego się Conora. Potem jednak jakiś kretyn zasłania swoim kwadratowym łbem obiektyw i nie widać już niczego. Kurwa, co za oszołom, a mogło być tak cudownie, wszystko jak na dłoni. Później krzyki, eksplozja, sekunda ciszy, znów wyłącznie krzyki, eskalacja paniki, koniec. Czternaście sekund, a jakby minęły stulecia. Czternaście kluczowych sekund, wokół których wszystko się teraz kręci.

Damiana coraz bardziej zastanawia ramię widziane w trzeciej sekundzie w lewym górnym rogu. Nie widać wprawdzie, by ktokolwiek rzucił na scenę nóż dokładnie z tego miejsca, ale to musiało być gdzieś tam, albo rzucił ten, kogo ramię widać, albo osoba stojąca tuż obok. Damian mocno wierzył, że Conor sam nie mógł wnieść nic na scenę, skoro według legend był pilnowany bardziej niż złoto w skarbcach. Wprawdzie czasem z tyłu głowy słyszał głos sugerujący, że wiele rzeczy można ukryć choćby wewnątrz gitary, ale natychmiast kazał mu zamilknąć, jakby nie chciał tracić nowego sensu życia.

Zatrzymał spojrzenie na przycisku „replay”, aktywując go. Tym razem wbił wzrok w tamten punkt, próbując nałożyć rozmazany obraz klipu na jeszcze bardziej rozmazany obraz własnych wspomnień. Stał jakieś siedem, osiem metrów za tamtą osobą, może trochę dalej. Jak ten ktoś wyglądał, w co był ubrany, czy miał śmierć swego idola wymalowaną na twarzy?

– Absurd – szepnął Damian, a potem odtworzył klip jeszcze cztery razy.
– Absurd, absurd, absurd.

Z marazmu nieustannych powtórzeń wyrwał go holograficzny budzik, wskazówki ułożone w usta – to z nich wyrwał się zgrzytliwy krzyk, przypominający o opłaconej już sesji terapeutycznej. Damian nie miał ochoty znowu gadać z tym cholernym botem, szczególnie że dwa poprzednie spotkania zakończyły się porażką, ale obiecał Agacie, że odbędzie przynajmniej trzy sesje. Mimo że odeszła, słowa zamierzał dotrzymać, żeby na jej konto jeszcze dzisiaj przyszło potwierdzenie autentyczności jego starań.

Skinał głową. Pomieszczenie zmieniło się w pachnący wiosną ogród, szemrzący gwarem insektów, skwierczeniem świerszczy, piskliwym jazgotaniem ptaków.

– Nie, zdecydowanie nie – rzucił, machając dłonią, a ogród zmatowiał, potem zaś rozsypał się w pikselowy popiół.

Damiana już po sekundzie otulił nowy krajobraz, chłodna półprzejrzysta biel tworzących ściany igloo brył. Nad głową zamiast sklepienia miał czarne niebo przeszyte zielonkawą zorzą.

– Może być – stwierdził, rozsiadając się w fotelu.

Psychobot, gdyż tak właśnie nazywał się empatiobot po ostatniej dużej aktualizacji, objawił mu się pod postacią dystyngowanego brodacza w białym kitlu.

– Ilu psychoanalityków potrzeba, żeby zmienić żarówkę? – rzucił Damian, gestem nakazując rozmówcy się przebrać.

– Żadnego – odparł tamten. – Żarówka zmieni się dopiero wtedy, gdy sama będzie na to gotowa.

Potem Damian przebrał awatara w czarny golf i džinsy.

– No, no, prawie jak Steve Jobs. Ujdzie.

Awatar usiadł przed nim, zakładając jedną holograficzną nogę na drugą. Damian był pod sporym wrażeniem – animacje wydawały się bardzo naturalne, a baza reakcji zaczęła obejmować branżowe dowcipy, co jeszcze rok wcześniej było nie do pomyślenia.

– Damianie, na ostatnim spotkaniu poruszyliśmy temat...

– Zbyt formalnie.

– Ziom, ostatnio nawijaliśmy w temacie...

– Bez przesady. – Zaśmiał się.

Po tej ostatniej aktualizacji kalibracja botów wciąż sprawiała pewne problemy, umiały dużo, ale często nie miały wyczucia. Gdy sam się tym zajmował, działało lepiej. Cóż, postęp nie zawsze oznacza poprawę, pomyślał z goryczą.

– ...jak widzą cię inni. Na przykład twoja partnerka, Agata.

– Była partnerka, to po pierwsze. A po drugie, ja już mam w dupie to, jak widzą mnie inni. Doskonale wiem, że widzą wyłącznie pojeba, który przegrał życie... Tyle że ja już wiem, że mam rację. Bo przeczuwałem, że coś się na tym koncercie stanie. Więc nie jestem zwykłym kretynek, krzyczącym: „Wilk, wilk, wilk”, gdy nie ma realnego zagrożenia. A zagrożenie istnieje i ja je muszę zidentyfikować, zanim będzie za późno. To jest mój największy problem. Odstawiłem leki, żeby czuć wszystko bez filtra, i wizje stają się coraz wyraźniejsze. Widzę bomby spadające na miasto, widzę parady trupich klaunów, widzę zwęglone dziecko, a nad nim drony z miotaczami ognia. I chociaż wiem, że w tym szaleństwie, w tym chaosie tkwi prawda o tym, co nas czeka, nie wiem, jak temu zapobiec. Nie wiem, kogo mam przekonać, żeby ten cały przeklęty świat nie rozsypał się w jednej chwili.

Bot zamarł na moment, przetwarzając otrzymane informacje. Liczba jego skryptów była ograniczona i nie znajdowała się wśród nich wiarygodna psychologicznie i empatyczna zarazem reakcja na słowa człowieka twierdzącego, że potrafi przewidywać przyszłość. Bot działał dopiero na systemie PSI_OS_1.02, możliwe, że w okolicach wersji 2.0 będzie potrafił odpowiednio reagować nawet na takie dylematy.

Chcąc za wszelką cenę uniknąć przedłużającego się milczenia, psychobot zaproponował skorzystanie z aplikacji terapeutycznej Caring. Nie podał zasad jej działania, Damian miał tylko nadzieję, że będzie lepsza niż zeszłomiesięczna aplikacja Plankton. Po odpaleniu tamtej sam stał się świetlistą drobiną pośród niezbadanych oceanicznych wirów, przemierzanych leniwie przez cienie gigantycznych stworzeń, mających najwyraźniej obrazować Wielkie Nieuświadomione. Nie pomogło.

Tym razem Damian przeniósł się do dziecięcego pokoju, przypominającego pokój z czasów jego dzieciństwa. Nie była to, rzecz jasna, doskonała kopia, tylko wzorzec powstały w wyniku określenia czasu (przełom lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych) i miejsca (Polska tegoż przełomu), w którym przyszło mu dorastać.

Przed Damianem stał mały Damian, niedoskonały trójwymiarowy awatar, twarz ukształtowana na podstawie szkolnego zdjęcia z czwartej albo piątej klasy.

– Zastanów się, co powiedziałbyś samemu sobie z przeszłości, gdybyś miał taką możliwość – zaproponował bot.

– Przekonaj Pawła, żeby się jednak nie zabijał, każ rodzicom wziąć się w garść i może nigdy nie zaczynaj słuchać Conora Smitha, bo inaczej skończysz tak jak ja w tej chwili.

Kiedy Damian wypowiedział to zdanie, pomieszczenie uległo dziwacznej transformacji. Nagle wcielony w małego siebie, zobaczył swoją dorosłą, zniszczoną życiem wersję, wypowiadającą swoje własne słowa z miną osoby obłąkanej.

– OK – stwierdził po chwili. – Teraz już widzę, czemu nikt mi nie wierzy. Wyglądam jak ktoś groźny i popierdolony – zawyrokował.

W myślach zaczął odliczać minuty do zakończenia sesji.

Ksawery

Tak musi czuć się ktoś, z kogo wyjęto szkielet...

Ksawery siedział przed biurkiem równie blady jak kartka w otwartym edytorze.

Przewracając kolejne strony, nie zbliżał się wcale do celu, tylko coraz bardziej od niego oddalał, aż wreszcie przestał pamiętać, czego szukał i czy w ogóle kiedykolwiek to odnalazł. Był już bardzo stary, a jego kolekcja, cztery tysiące książek pod sam sufit obudowujących ściany jego pokoju, zmieniła to miejsce w wielki literacki grobowiec.

Wszystko jednak okazało się daremne, poszukiwania nie zaprowadziły go nigdzie i nic tego nie zmieni. Amnezja pogłębiła się do tego stopnia, że pamięć miał równie czystą jak wtedy, gdy się urodził.

Tylko z rzadka miewał jeszcze osobliwe przebłytki, gdy nierozumiejącym spojrzeniem wodząc po jakimś tekście, uświadamiał sobie, że coś naprawdę odkrył, że ten gigantyczny spis, dotyczący skazania tak zwanych Klasyków Taniej Książki na wieczną nieistotność, został przez niego udowodniony. Ale potem to się rozmywało, wyparowywało, i jedynym śladem wszystkich tych bezowocnych lat, całościowego fiaska jego egzystencji i związanych z nią starań, walk oraz upadków, była odpowiedź na zadawane czasem przez dawnych znajomych pytanie: „Co pan robił ostatnio?”

– Czytałem, czytałem, czytałem.

Tak, skończył wreszcie *Klasyków Taniej Książki*, wprowadził poprawki, doszlifował każdy akapit, postawił kropkę po ostatnim słowie i umarł, wewnątrz umarł. Nie było w nim już nic żywego, krew stała się czerwonym piachem przesypującym się przez żyły i tętnice, spękana klepsydra serca odliczała tylko minuty do kresu.

Po tamtym koncercie Conora Smitha życie Ksawerego stało się wyjątkowo bolesnym doświadczeniem. Radosne wcześniej wklepywanie w edytor *Klasyków Taniej Książki* zmieniło się w coś w rodzaju chińskiej

tortury wodnej, każda kolejna napisana strona była niczym kropla drażąca dziurę w jego głowie, zaczął nawet korzystać z interfejsu myślowego, bo z tylko jedną sprawną ręką niespecjalnie miał siłę macać przyciski. Myśl o ukończeniu powieści nie dawała mu jednak wytchnienia.

Tylko co dalej? Skończył książkę i co? Jaki miał powód do otwierania oczu i wciągania w płuca powietrza? Do napełniania żołądka i onanizowania się przy wirtualnym porno? Nikogo przecież nie miał, do niczego nie dążył. Utrzymywał swoje ciało przy życiu i zaspokajał jego potrzeby wyłącznie po to, by napisać tę powieść. Książka skończona, więc i on się skończył. Gdyby losy Ksawerego przypominały doświadczenie interaktywne, producenci już teraz kazaliby skasować projekt albo go zamrozić.

Dopieszczając ostatnie rozdziały, Ksawery czuł swego rodzaju ulgę, wierząc, że już nigdy nie napisze kolejnej książki, bo w tej dał z siebie wszystko. Zobojętniał nawet na wieści o kolejnych artystycznych sukcesach Szymona Mierzwę. Teraz sam czuł się pisarzem pełną gębą, nie miał zamiaru zniżyć się do poziomu nolajfów i zwyczajnych hejterów.

„Ekranizacja jakiegoś opowiadania, też mi, kurwa, osiągnięcie. Jakby mu grę zrobili z tego, to jeszcze. Ale tak to nawet mi się komentować nie chce” – wpisał w jedynym komentarzu, jaki zamieścił. Jeszcze rok wcześniej taką informację komentowałby namiętnie pod każdym tekstem na jej temat, nieraz kłócąc się tymi, którzy wspominali, że Mierzwę lubią bardzo i czytali każdą książkę.

Wyczerpany jak po maratonie, wysłał swoich *Klasyków*... do dziesięciu wydawnictw: czterech dużych, pierwszoligowych, i sześciu mniejszych, ale za to podobno dbających o autora. Tak naprawdę starał się nie myśleć, kto i kiedy mu to wyda. Napisał wszystko, co miał w sobie, i stał się niczym, dziurą w kształcie człowieka. Nie wiedział nawet, co ze sobą zrobić.

W myślach nadal widział, jak gołąb z agrafką w dziobie ulatuje ponad sufit i znika, niosąc cenny załącznik z powieścią. Stałem tuż obok i patrzyłem, jak się uśmiecha. I zastanawiałem się, czy ewentualny sukces przyniósłby jakąś zmianę. A może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby znalazła się kobieta, która zaakceptowałaby Ksawerego takim, jakim był.

Może wtedy zszedłby ze ścieżki, którą właśnie zmierzał? A może nic by to nie dało, bo głupi błąd to rzecz na tyle losowa, że i tak prędzej czy później się zdarzy?

Patrzyłem w przekrwione oczy Ksawerego z czymś w rodzaju litości. Było mi go żal, bo naprawdę się starał, a los skazał go na odegranie roli Tego Idioty, Który Przyspieszył Koniec Świata. Jakby słysząc moje myśli, nagle ukrył twarz w dłoniach, przesuając palcami po bliznach na policzku. Dwadzieścia szwów, rozpuściły się dopiero niedawno. A przecież mogło być gorzej. Stojącej przed nim dziewczynie kawałek metalu wbił się w gardło, umarła, zanim na miejsce wleciały pierwsze drony medyczne. Jedna z trzech ofiar śmiertelnych wybuchu w klubie Kwadrat. Nie myślał o tym, kiedy pisał, ale teraz wspomnienia wróciły niczym fantomowe bóle po tych wszystkich dniach amputowanych z jego życiorysu.

Agata

Najtrudniejsze było przekroczenie progu. Bała się tak samo jak kiedyś, gdy będąc dziewczynką, została przez psychopatycznego nauczyciela wuefu zmuszona do skoczenia z wieży do basenu. Umiała pływać, to prawda, miała jedenaście lat i była całkiem niezłą pływaczką. Ale nie potrafiła latać. A chropowatą i białą niczym styropian powierzchnię wieży od niebieskiej i nieco zmętniałej powierzchni wody dzieliły ponad trzy metry. I to nie byłoby aż tak straszne, gdyby nie fakt, że w tym miejscu basen miał dwa metry głębokości, więc tak naprawdę stała zgarbiona z zaciśniętymi piąstkami i podkurczonymi palcami stóp całe pięć metrów nad dnem. Ze wstydem chciała się nawet wycofać, jeszcze w połowie drogi na górę, na metalowej drabince o szczeblach jak wielkie tarki. Kolana zaczęły jej drżeć, poczuła parcie na pęcherz i przeraziła się, że będzie naprawdę źle, posika się ze strachu właśnie teraz, w najwyższym położonym, najbardziej wyeksponowanym punkcie basenu... Koleżanki w dole szeptały do siebie na ucho i zerkając w jej stronę, parskały śmiechem. Śmiały się z niej, nie pierwszy raz zresztą, była przecież żałosna, kłoda na chudych nogach. Albo skoro w tym przewisku tkwi choć drzazga prawdy, to może wcale nie pójdzie na dno, wypłynie całkiem łatwo, przecież kłody wracają na powierzchnię, nawet jeśli tego nie chcą. Próbowwała się wycofać, czerwona na twarzy i z zaszklonymi oczami, ale ten przepity skurwiel o pomarszczonej mordzie stał metr za nią, blokując dojście do drabinki. Uśmiechał się do niej, ale to nie był wcale sympatyczny i przyjemny uśmiech, a ona nie była głupia, słyszała różne plotki o tym, co ten facet podobno niektórym dzieciom robił; że też do tej pory nie wywalili go jeszcze z tej cholernej szkoły. Spazmatycznie wciągnęła w płuca powietrze kilka razy, nie wiedząc, jak się zachować. Nie zdoła wrócić ani cofnąć czasu do chwili, gdy wuefista kazał jej wspiąć się na tę drabinę, a ona, zamiast od razu skłamać, że brzuch ją rozbolał, że dostała pierwszy okres czy

cokolwiek, wykonała polecenie i teraz znalazła się tu. A potem zacisnęła powieki, zrobiła krok naprzód i poczuła, jak wszystkie wnętrzości podchodzą jej do gardła...

Ale nie spadła, za progiem domu rodziców nie ziała bezdenne otchłań, to była zwykła podłoga, brudnobeżowe flizy, takie same jak lata temu, tylko bardziej spękane i powycierane. Kiedyś na nie narzygała, po powrocie z szesnastych urodzin koleżanki, klęczała tu i ledwie była w stanie złapać oddech, słysząc, jak starzy znowu skaczą sobie do oczu.

To nie tak, że przyjechała niezapowiedziana. Przecież wiedzieli. Dzwoniła parę dni wcześniej. „Czemu tak późno, tak nagle?” – dopytywała się matka. Jak to czemu? Powrót do domu to była przecież ostateczna ostateczność, Agata czekała z tym, aż znajdzie się pod ścianą, czekała nawet dłużej, czekała, aż każą jej pod tą ścianą podnieść rękę, a pluton egzekucyjny położy palce na spustach, czekałaby pewnie jeszcze, ale za pewnymi granicami czai się już nie tyle śmierć, co śmieszność. Zadzwoiła z łazienki, szepcząc i ocierając łzy, a w sąsiednim pokoju Damian od godziny powtarzał z krzykiem słowo „kurwa!”, próbując chyba w ten właśnie sposób skomentować fakt, że na którymś klipie z ostatniego koncertu Conora Smitha wcale nie widać zakapturzonego mężczyzny ciskającego nożem, mimo że wcześniej go tam widział, przysięgał na wszystkie nic nieznaczące dla niego świętości, a w jego przekrwionych od niezdejmowania lensów oczach płonął obłęd.

Nie przypuszczała, że po śmierci Smitha odwali mu aż tak bardzo. No właśnie, „odwali” to jedyne adekwatne określenie. Po tamtym koncercie Damian odstawił leki, początkowo nawet jej o tym nie wspominając. Jednak sama widziała, jak drastycznie z godziny na godzinę pogarszał się jego stan, i wtedy wreszcie wyjaśnił jej, że żadne psychotropy nie są mu już potrzebne, czuje się świetnie, wreszcie ma w życiu cel.

– Nie widzisz tego, co? Nie potrafisz tego pojąć? – zapytał Agatę, nie zdając sobie nawet sprawy, że głos mu się łamie. – Ja mam dar, ja, kurwa, widzę, gdy ma się stać coś złego... wiem to nieraz miesiące wcześniej. A leki tylko jebią mi we łbie, nic więcej!

Była czwarta czterdzieści w nocy, a on siedział w immersjo ciągiem już od piętnastu godzin. To było właśnie to jego superważne zadanie: odkryć, kto odpowiada za zamach na koncercie Smitha, bo jego zdaniem te same osoby zrobią coś jeszcze gorszego. Naprawdę wierzył, że w końcu coś odkryje, jakąś prawdę, i ta prawda go wyzwoli, ocali nie tylko przed depresją, ale w ogóle nada sens życiu. Wystarczyło rozwikłać tę jedną jedyną zagadkę. Tak przynajmniej powtarzał Agacie, w środku nocy kuląc się na podłodze: „Muszę wiedzieć, czemu to się stało, muszę wiedzieć, czemu ostatnie słowa Smitha brzmiały: «Nic nie jest prawdziwe»”.

Ona z kolei wierzyła, że w końcu mu się poprawi. Że prawdziwa miłość potrafi ocalić. Zamierzała stanąć na drodze jego szaleństwa i krzyknąć: „Dosyć! Zatrzymaj się! Teraz, małymi kroczkami, wrócisz tam, gdzie macki rozpaczy cię nie dosięgną. Wrócisz tam ze mną”.

Sądziła, że wie, jak źle może być. Zakładała, że jest przygotowana na najgorsze. Z resztek oszczędności opłacała mu cotygodniowe rozmowy z botem z poradni terapeutycznej, w której Damian do niedawna pracował. Wydawało jej się, że gdy tylko trochę mu się polepszy, wszystkie nieracjonalne decyzje – jak odejście z pracy bez informowania o tym Agaty czy rezygnacja z leków – będzie się dało odkręcić. Trochę się uspokoi, najwyżej zarejestrują się po przeżyciowe i jeśli dostaną decyzję w ciągu miesiąca, jak czasem bywało, to nie skończą na ulicy, będzie dobrze...

Nie miała bladego pojęcia, że to, czego ze strony Damiana doświadczyła wcześniej, było ledwie tańczącymi w mroku iskrami, a teraz w stronę ich związku nadciągała prawdziwa ściana ognia, wszystko na swojej drodze obracająca w popiół.

Włączała mu kojące wizualizacje, zapalała konstelacje gwiazd i galaktyk, puszczała muzykę o rzekomo terapeutycznym działaniu, od rytmicznych smyczków, przez wielorybie pieśni, po przeszywające dźwięki wiecznie roztańczonych planet, tuliła godzinami...

Nic nie pomagało.

– Kocham cię, kocham tak bardzo, że bym za ciebie umarła – szeptała, ale zdawało się, jakby te słowa były tylko papierowymi samolocikami wirującymi niemrawo nad przepaścią.

– Widzę ogień, słyszę potworne rzeczy. Pod skórą kształt węża. Jakby symbol. Wrzask i skwierczenie... Straszliwa wiedźma wyzera nasze wspomnienia. Ktoś wyważy dla niej drzwi do krainy czarów i nagle wszystkie nasze lęki staną się prawdą – bełkotał, drżąc jeszcze i rzucając się niespokojnie, jakby coś w środku chciało się wydostać.

Dla Agaty to było podwójnie straszne, bo miała wrażenie, jakby złośliwie naigrywał się z jej dziecięcych strachów; przecież mówiła mu kiedyś, jak matka w straszyla ją czarownicami, mówiąc, że jeśli Agatka nie będzie posłuszna, przyjdzie wiedźma i porwie ją z łóżeczka, pokazywała jej okropne ilustracje w czytanych do snu baśniach, a na wyobraźnię padał cień, który miał już tam zostać na zawsze. Ta miłość jest prawdziwa i trwała, to nie może przecież skończyć się kolejną kraksą, myślała. A potem, po tych wszystkich sztormach, twoich śmierciach i moich próbach wskrzeszania naszego związku wreszcie się uspokoi, wygramy, będziemy mogli być tym, kim chcemy, bez cierpienia, z dala od tego piekła.

Nadal dźwięczał jej w uszach trzask szkła i zgrzyt miazdżonej stali, i pisk, niekończący się pisk, w którym dudniły głucho wrzaski rannych.

*

– Długo jechałaś – ni to stwierdziła fakt, ni to zapytała matka.

Siedziała w kuchni i obserwowała stamtąd Agatę, najwyraźniej zbyt zmęczona, by się podnieść.

Może obrażona? – zastanawiała się Agata. Może znów pokłóciła się z ojcem i on sobie poszedł, nie dając jej szansy na odwet? I przez wiele godzin ciosy matki trafiały w próżnię, aż do teraz, aż do chwili, w której dawno niewidziana córka pojawiła się w tym domu.

– Tak... korki – odparła, wykonując nie do końca określony gest dłońmi.

Zdjęła lensy i wyjęła z uszu słuchawki, a potem schowała je do pojemnika, chcąc w najbliższym czasie mierzyć się z rzeczywistością bez żadnych upiększaczy. To wymagało odwagi, ale nie większej od tej, której wymagała od siebie już od długich miesięcy.

Matka strasznie się postarzała, przyszło Agacie na myśl, ale jednocześnie zmusiła swoje wargi, kąciki ust, a potem też oczy i całą twarz do uśmiechu. Postarzała się jak cholera, wygląda teraz jak te wiedźmy, którymi straszyla córkę.

– Zrobiłam obiad, zaraz ci podgrzeję. Rosół i kurczak z frytkami. Dalej lubisz frytki, prawda? Czy może wy tam, w wielkim świecie, jecie już tylko syntetyczny syf? Wcale bym się nie dziwiła.

To pytanie było dziwaczne i odwróciło na chwilę uwagę Agaty od tego, które sama chciała zadać: a gdzie tata?

Nie zapytała jednak. Jeśli się pokłócili, matka albo wcale nie odpowie, albo zaraz padnie tylko jedno dobitne zdanie, po którym Agacie wywróca się flaki. A jeśli się nie pokłócili – bo istniała i taka szansa, choć z prawdopodobieństwem jeden do tysiąca – ojciec niedługo się pojawi i ona pożałuje jeszcze nieraz, że o niego zapytała, czy nie mogła się go już doczekać, naprawdę?

– Lubię. Może być z frytkami – odparła, nieco rozkojarzona.

Dziwnie się czuła w tym miejscu. Nie obco, ale też nie jak u siebie. Podobnie pewnie mają żołnierze z zespołem stresu pourazowego. Ponoć słysząc strzały, robią w spodnie albo zaczynają łkać. Wielu nie może oglądać filmów wojennych, niektórzy żadnych, w których pojawia się broń. Tak jak odgłos wystrzałów i widok krwi na filmach, tak ten dom działał na Agatę. Był nawiedzony wspomnieniami, do których wołała nie wracać. To było coś znacznie gorszego niż skrzypiące drzwi czy okna, gorszego niż wycie na strychach i zagadkowy tupot w piwnicach. Miała ochotę znów założyć lensy i wejść w immersję na sto procent, aż każda cząstka świata straci do niej dostęp.

Położyła torbę w korytarzu, a potem wolnym krokiem ruszyła do kuchni, wodząc wzrokiem po podłodze. Jeśli będę cały czas patrzeć pod nogi, na pewno się nie potknę. Och, gdyby to tylko było takie proste.

Nagle coś ją złapało, mocno jak wielkie imadło. Nie mogła się wyrwać, prawie wpadła w panikę, serce zatrzepotało pod żebrami. Musiała minąć chwila, zanim zrozumiała, że to tylko matka. Matka ją ścisnęła, przytuliła ze wszystkich sił. Jak nigdy. Nic dziwnego, że w głowie Agaty momentalnie

pojawiło się skojarzenie z imadłem. Matka bywała zawsze nadopiekuńcza i na każdym kroku próbowała Agatę kontrolować. Z tego powodu w niejednej sytuacji zachowywała się jak stare, lecz wciąż sprawne imadło, które nie ustąpi nawet o milimetr. Teraz ją przytulała, ale zarazem ugniatała palcami jej plecy, jakby formowała glinę. To prawda, Agata miała wrażenie, że nigdy nie była dla matki niczym więcej. Najpierw zasłoną przed ojcem, żywą tarczą z dziecka podczas słownych pojedynków, czasem też tajną bronią, jeśli w jakiejś kwestii udało się ją przeciągnąć na swoją stronę, a potem, gdy nieco dorosła, gliną, którą należało ukształtować według własnych wyobrażeń, natchnąc marzeniami i planami, których samemu nie zdołało się wprowadzić w życie. Jaka szkoda, że stała się potem tak oporna, jaka to potworna strata, że zamiast trzymać fason w każdej sytuacji, w końcu zaczęła się matce kruszyć w palcach, a potem uciekła do Krakowa i nie chciała wracać.

– Gdzie tata? – zapytała wreszcie, doskonale wiedząc, że matka momentalnie zwolni uścisk i cofnie się o krok, może nawet skuli trochę, jak pod niewidzialnym ciosem.

Matka ścisnęła ją jednak jeszcze mocniej i wyszeptała:

– Kochanie... Tata odszedł.

Damian

Ludzie myślą się w kwestii piekła, gdy wyobrażają je sobie jako miejsce średniowiecznych tortur, myślał Damian. Gdy tam trafimy, świat wokół zmieni się tylko w niewielkim stopniu: niebo może czasem przybrać nieco brudniejszy odcień szarości, przechodnie zaczną poruszać się bardziej mechanicznie niż zazwyczaj, a ulubiona książka będzie nie wiadomo dłaczego leżała dwie półki wyżej i trudniej będzie sięgnąć. Cierpienia oczywiście staną się fundamentem wszystkiego, tylko że ból nie będzie wynikał z uderzeń bata, łamania kołem ani z bycia zanurzonym w gorącej smole. Torturą stanie się każda czynność, każda myśl.

Piekło pojawia się wewnątrz nas. Można to tłumaczyć zachwianiem równowagi chemicznej w mózgu, wstrząsem sejsmicznym naszego ja, przetrąceniem dotychczasowego porządku czy po prostu załamaniem nerwowym. Z dystansu każde wytłumaczenie wydaje się równie wiarygodne. Kiedy ten proces naprawdę kogoś dotknie, każda próba opisu staje się absurdalna. To się dzieje czasami z godziny na godzinę: kolory blakną, dźwięki brzmią głucho, twarze napotkanych osób bledną, a potem nic nie ma znaczenia, każdy kolejny dzień jest coraz słabszym echem poprzedniego.

Rozmyślał o tym w tej chwili, siedząc na parapecie, ciężki jak worek kamieni. Opierał się o szybę, która zarazem była baterią słoneczną, teraz nieaktywną, bo noc jeszcze trwała, a na dodatek smog znów zasnuł Kraków jak po wybuchu wulkanu. Martwym spojrzeniem wodził po mieszkaniu. Wyglądało tak samo jak wtedy, gdy mieszkała w nim Agata, jak wtedy gdy byli tutaj obydwój. Po podłodze sunął bot sprzątający, jego systemy chłodzące rzeziły cicho i monotonnie.

Agata odeszła. Został sam, spętany przez niejasne wizje. Raz po raz siadał zrezygnowany w fotelu i był już tylko niemyym świadkiem goryczy i rozpacz, przelewających się przez niego niczym piasek w klepsydrze. Nie

był nikim wyjątkowym, nikim istotnym, czemu zatem już w dzieciństwie założył, że kiedykolwiek zdoła cokolwiek doniosłego zrobić? To przecież idiotyzm.

Agata odeszła, bo nie dało się z nim żyć.

Chciał patrzeć w dal w świecie krótkowidzów. Odstawił leki, dobrowolnie skazując się na szaleństwo, bo naprawdę wierzył, że poświęcając siebie, może ocalić wielu. Starał się nie myśleć o tym, że wszystkie te działania miały samobójcze podstawy – dla kogoś, kto trafił do piekła, poświęcenie się, oddanie życia w imię idei to tylko bardziej wzniosła forma zaciśnięcia sobie pętli na gardle.

Była piąta nad ranem, wspominał swoje wewnętrzne wojny, przegrane i niegodne obchodzenia rocznic, chyba że z daleka. Piąta rano, a środa już gęsta od smogu i wątpliwości. Chciał aktywować połączenie z psychobotem i błagać o przepisanie jakiejś skutecznej aplikacji nasennej albo chociaż uspokajającej, bo te darmówki z immersjo były dla niego za słabe, ale w ostatnim momencie zrezygnował.

Ciężko mi było na to patrzeć, choć wiedziałem, że Damian przetrwa. On sam coraz bardziej wątpił, sądząc, że całkiem oszalał, ale wcale tak nie było. Niewidzący wzrok matki, która zdawała się go nie poznawać, płód w kuli światła, ucieczka przez korytarze pełne dławiącego dymu, labirynt ze ścian ognia, w którym błądził bez końca... Wszystko to miało się urzeczywistnić.

Nagle przed oczami eksplodował neonowy wykrzyknik. Rozległ się dźwięk publikacji nowego posta w jednym z kluczowych kręgów...

Ksawery

Było inaczej. Praca nie szła, życie też. Czytanie nie sprawiało przyjemności, granie nudziło, nawet immersjo momentami zdawało się odstręczające.

Ksawery siedział na skraju ławki na Grodzkiej, przed wejściem do Taniej Książki, skąd wyszedł pięć minut temu, po raz pierwszy od dawna bez nawet jednej zdobyczy. Wszystko papier i słowa, wszystko bezwartościowe. Odkąd skończył swój tekst, zbrzydły mu nawet te rzeczy, które wcześniej cieszyły.

Trzymał się za głowę, która zdawała się wyjątkowo ciężka i podwójnie pusta. Ksawery zupełnie nie potrafił się skupić. Zupełnie nie potrafił dokonać wyboru.

Nad ranem wpadł na chwilę do siedziby CyberArts. Chciał wreszcie odnieść przetrzymane RamReplaye.

– No, kogo to ja widzę... W końcu wracasz do żywych – rzuciła Paula, recepcjonistka, odbierając pudełko z urządzeniami. – Jak się czujesz, tak w ogóle?

– Bywało gorzej – odparł. Chciał się uśmiechnąć, ale nie potrafił, nadal nie odzyskał pełnego czucia w twarzy, mimo że lekarze wieszczyli szybką poprawę.

Bał się nawet spojrzeć na Paulę, bał się, jak ona zareaguje, widząc paskudną bliznę na jego policzku. Stał się odrażający, przynajmniej we własnych oczach. Był przekonany, że teraz nie spodoba się już żadnej kobiecie. Jediną szansą pozostawało immersjo – ukryty za awatarem przynajmniej nie będzie straszyl. Gorzej, że większość nadal nie wierzyła komuś, kogo znała tylko w wirtualu, więc spotkania w realu prędzej czy później stawały się koniecznością. Mdlilo go na samą myśl o tym, jak będą wyglądać kolejne lata jego życia. Czasem żałował, że po prostu nie zginął, że nie stał na miejscu tamtej dziewczyny...

– Jak wam poszło z tymi RamReplayami? – spytała, nie odwracając wzroku od leżącego przed nią HoloTabu, nad którym unosiły się ikony.

– Dramat. Nie sądzę, żeby nasze dane na coś się przydały. Szok, przerażenie i trauma, niewiele poza tym.

– To brzmi... bardzo dobrze. Przelew dotarł?

– Mhm. – Zdziwiła go jej odpowiedź. Zupełnie jakby firma liczyła na to, że komuś z podłączonym RamReplayem przydarzy się coś potwornego. – Nie wiem, czy Mati przekazał reszcie zespołu, że od tego miesiąca jestem tylko zdalnie.

– Przekazał. Bez obaw. Tu już większość robi zdalnie... Coś jeszcze?

Pożegnał się i od razu postanowił wybrać się do Taniej Książki, licząc, że może chociaż tam poprawi sobie podły nastrój jakimś zakupem. Nic z tego nie wyszło.

Wszystko się popierdoliło, a ja na dodatek coraz mniej ogarniam, myślał. Czyżby domniemany alzheimer wszedł w nową fazę? Teraz już tylko stopniowy schyłek, aż w końcu zapomnę, po co się oddychało?

Po tamtym koncercie stał się wrakiem siebie. Mało jadł, mało spał. Połowa twarzy odrętwiała, poraniona, poparzona. Przez pierwsze dni był w zbyt wielkim szoku, by uświadomić sobie, że naprawdę otarł się o śmierć. Pisaniem odwracał uwagę od wspomnień pełnych bólu i wrzasków, ale ta forma ucieczki stała się teraz niedostępna. Na dodatek nadgarstek napierdalał do tej pory, mimo że wydrukowali mu fajną ortezę, która co osiem godzin sama robiła zastrzyk. Ciągle na przeciwbólach, więc często tracił poczucie obecności we własnym ciele. Zastanawiał się, czy przypadkiem cały nie powinien zostać wsadzony w jakiś egzozszkielet, bo coś go definitywnie złamało, wzduż i wszorz.

Pierwsze doby po powrocie z oddziału był w zupełnym amoku, nic nie pomagało, przestał kontaktować. Włączył w immersjo czarny wygaszacz i zastosował opcję pełnego wyciemnienia. Siedział w bezgwiezdnej, bezsennej czerni i zastanawiał się, czemu w ogóle przeżył i czy przeżył na pewno. Potem zmusił się, by nadać ostatnie szlify *Klasykom*... To męczyło go na tyle, że był w stanie zasypiać, cztery, pięć godzin na noc, ale zawsze. Teraz spał więcej, tyle że pojawiły się koszmary, w których na jego widok wszyscy

uciekali z krzykiem, jakby był cholernym mutantem. Jeden ze snów powtarzał się wiele razy – ciało Ksawerego pokrywała w nim jakaś lepka, przezroczysta substancja. Wszystkie przedmioty się do niego przyklejały. Puszka napoju już nie chciała odlepić się od dłoni, dywan od bosej stopy, klucze od palców, światło od oczu. Wybiegał tak z domu, na wpół ślepy, dźwigając przedmioty, na które natknął się po drodze, pięć różnych ubrań na plecach i ramionach, bo chcąc coś założyć, zaplątał się w wieszak. Pędził ulicą, wyciągając przed siebie ręce, wzywając pomocy i nie mogąc wydusić słowa, bo wargi także skleiły mu się ze sobą, aż w końcu zatrzymał się w pół kroku. Wtedy wreszcie pojął, że pierwsza napotkana osoba pewnie także się do niego przyklei i będzie musiał zostać z nią na zawsze, tak jak z resztą tych przedmiotów, które jeszcze niedawno wydawały się całkiem przydatne, a teraz tylko spowalniały jego ruchy i myśli. Budził się złany potem, ale bał się otrzeć twarz i czoło, bał się, że nigdy już nie będzie w stanie oderwać dłoni od głowy, zostanie taki, żywy pomnik, martwy człowiek.

Od koncertu minęły ze trzy miesiące, a Ksawery dalej słabo słyszał. Zamykając oczy, widział na podłodze czyjeś urwane ramię, dziewczynę z przebitym gardłem, krew na swoich rękach, którymi trzymał twarz, żeby mu się nie odkleiła od czaszki. Z każdym nawrotem wspomnień dreszcze przeszywały go jak deszcz ostrych odłamków.

Kontakt z Damianem i Agatą zupełnie się urwał. Raz widzieli się na żywo, oddali mu RamReplaye, ledwie zamieniając kilka słów, a on czuł się, jakby zrywała z nim szkolna miłość, żołądek w gardle, tyle lat razem i nagle wszystko zjebane. Potem jeszcze dwa razy gadał z Damianem w immersjo, ale było to doświadczenie z pogranicza surrealizmu. Kolega coś bełkotał o nadchodzącym końcu, karambolach, wiedźmach porywających dzieci, nanobotach wyciekających falami z gigantycznego kotła. Ponoć Agata odeszła, wróciła do rodzinnej miejscowości, tego całego Gliczowa...

Czemu tak było? Jakby to oni we trójkę byli winni tego, co się wydarzyło, współsprawcy potwornej zbrodni, po jej dokonaniu niepotrafiący spojrzeć sobie w oczy. Zresztą on też już nie dążył do spotkań, odpuścił, nie mógł, nie chciał, na samą myśl robiło mu się niedobrze. Podczas tego jedyne go spotkania twarzą w twarz uzgodnili tylko na chłodno, żeby jak najszybciej

przelał im na karty coiny za testowanie RamReplaya, kasa była im potrzebna jak nigdy wcześniej. Agata zdawała się gotowa na wszystko. Wyleciała z pracy, a potem dowiedziała się od znajomej, że już po dwóch tygodniach jej miejsce w sekretariacie zajął najtańszy rodzaj bota. Damian był w takim dole, że o normalnym zarabianiu nie było nawet mowy, sam musiał korzystać z pomocy jednej z tych maszyn, które wcześniej szkolił do udzielania psychologicznych porad. Ksawery kazał im iść po przeżyciowe, ale zabrzmiało to chujowo, jakby zbywał parę żebraków.

Całe szczęście, że w robocie poszli mu na rękę. Po paru tygodniach zwolnienia lekarskiego usiadł jak człowiek w swoim wirtualnym biurze w immersjo, jednym z tysięcy należących do CyberArtsów, nieograniczonych ani przez przestrzeń biurowych boksów, ani właściwie przez nic innego poza wyobraźnią użytkownika.

Projektowanie narracji kolejnych doświadczeń nie było już tylko drenującą kreatywne zasoby rutyną, dawało ucieczkę od przygnębiającego doświadczenia własnego życia. Miał się czego chwycić.

Odetchnął głęboko, wstał z ławki i kolejny raz podszedł do wystawy księgarni, za szkłem szukając wzrokiem czegoś, czego może nie wyłowić, będąc w środku. Sprzężona z lensami wyszukiwarka wypluwała wyniki, recenzje, opinie czytelników i biogramy twórców. Nic nie robiło na nim wrażenia. Zdawało mu się, że tak naprawdę to on jest za szkłem, na wieki uwięziony na wystawie, na którą nikt nie patrzy.

Po powrocie do mieszkania zamówił we Flyfoodzie drona z żarciem na resztę dnia: obiadem, kolacją i kilkoma muffinkami na deser. Potem odpalił szybko modną ostatnio apkę energetyzującą – nazywała się CokeAim i przez dwie minuty opuszczała cię na dno wirującej kalejdoskopowo studni, co ponoć zwiększało produktywność i poprawiało zdolność skupienia w znacznie większym stopniu niż podwójne espresso, nie wywołując przy tym wewnętrznego dygotu.

Nie będąc przekonanym, czy aplikacja faktycznie go pobudziła, zerknął niepewnie na wiszący pod sufitem różowy balonik. Wystarczyło pociągnąć za sznurek, a zaraz na kolanach siądzie mu Dziewczyna Dnia i uprzyjemni

popołudnie. Nie, nie było już czasu. Wezwał myślowo drzwi do swojego wirtualnego biura w CyberArtsach, a potem je otworzył.

Ręce mu się trzęsły, serce łomotało. Jeszcze przed wskoczeniem za holograficzne biurko Ksawery wyobraził sobie, że ktoś z działu kadr przegląda jego sieciowe logi i dowiaduje się, że nie tylko prawie nie sypia, ale też jedzie na psychoaktywnych aplikacjach wymieszanych z wirtualnym porno, jakby świat miał się jutro skończyć.

Damian

Od samego początku było dla niego oczywiste, że ktoś podrzucił nóż na scenę i nawet jeśli to Smith sam wbił go sobie w serce, bez pomocy tego kogoś nie dałby rady ze sobą skończyć. Damian nawet w koszmarach sennych prędzej czy później wracał na tamten koncert, szukając dowodów spisku, którego inni zdawali się nie dostrzegać. A najprawdopodobniej ta sama osoba, która przyniosła nóż, pomagała samobójcy zorganizować zamach. Pytanie tylko, dlaczego miał zginąć i Smith, i ludzie pod sceną. Dlaczego sprawcy nie skupili się na jednym celu? No i czemu aż do tej pory żadna organizacja nie przypisała sobie tego krwawego sukcesu, jak to miało miejsce przy każdym innym ataku terrorystów? Forumowi bywalcy rozwijali własne teorie, niektóre brnące ślepo w jakiś mętny mistycyzm, inne dowodzące zakulisowych korporacyjnych rozgrywek, w których Conor Smith jako martwy artysta był wyceniany wyżej niż osoba, którą był za życia – twórca wprawdzie kultowy, lecz bez większych sukcesów komercyjnych.

Damian nie zgadzał się z żadną z tych teorii. Artysta wcale nie powinien być zginąć tamtego wieczoru. Zdawał sobie sprawę, że coraz bardziej zaczyna myśleć tak, jak myśleli szefowie wytwórni płytowej Smitha, wszyscy jego opiekunowie i ochroniarze, uważający, że nie może on w żadnym wypadku decydować o swoim życiu i śmierci, dopóki to od niego zależy ich zarobek. Dlatego właśnie przez całe lata nie odstępowali go na krok. Dlatego w jego domu zamontowali kamery – nie mieli zamiaru nikogo dopuścić na tyle blisko, by pomógł Conorowi siebie skrzywdzić. Z punktu widzenia najwierniejszych fanów to wydawało się na swój sposób logiczne: bo niby jakim prawem idol miałby ich zostawić, odebrać złańcionym odbiorcom przyszłe arcydzieła? Po każdej śmierci gwiazdy rozbrzmiewała zawsze ta sama mantra: przecież tyle jeszcze mógł zrobić – w domyśle: tyle jeszcze powinien był dla nas zrobić. Zastraszająco nieliczni miewali chwile wahania, gdy słysząc o tym wszystkim, mówili: „Jego życie

to był zupełny horror”. Zawsze jednak znalazł się obok ktoś, kto odpowiadał: „Horror? A co, wolisz, żeby nigdy więcej nie nagrał nowego materiału? Wolisz, żeby twórca tego kalibru zniknął, pozostawiając nas na pastwę plastikowych wydmuszek i hologramów dawnych sław?”.

Damian skupiał się wyłącznie na rozwiązaniu tej zagadki, szczególnie że wydawała się nierozzerwalnie połączona z wizjami, które nawiedzały go już niemal codziennie. Agata nie tylko zniknęła, nie miał z nią żadnego kontaktu. Po tym jak nagrał jej na komunikatorze wiadomość, w której ostrzegał przed jakąś lawiną żelastwa, wiadomość, w której z pełnym przekonaniem twierdził, że Agata wróci do niego, jeszcze zanim nadejdzie zagałada, usunęła go nawet z kręgu znajomych. A przecież chciał dobrze. Widział te rzeczy, wcale ich nie wymyślał. W snach siedział na środku sali koncertowej i widział to wszystko, o czym się starał powiedzieć ukochanej. Jego ciało stawało w ogniu, ale oczy chłoneły obrazy katastrofy, jakiej nie było nigdy dotąd.

Czuł, że niebawem pozna fakty, a wszystkie elementy układanki nagle wskoczą na swoje miejsca.

Na jednym z najnowszych klipów – nie tylko wysokiej jakości, ale też wolumetrycznym – Damian zdołał przemieścić się aż pięć kroków od nagrywającego, by z bliskiej odległości dostrzec dłoń kogoś stojącego przed sceną, w prawej części sali, jak najdalej od miejsca, gdzie nastąpił wybuch. Między palcami mignął czarny obiekt, nieco przypominający rękojeść, potem dłoń uniosła się, a palce zacisnęły na przedmiocie, choć nie było widać nic więcej, bo w tym momencie nagrywający musiał się poruszyć, wywołując tym samym zawieszenie się obrazu na krawędziach pola, przez co ta część sali zniknęła w roju zielonych trójkątów. Nie było widać twarzy, nie dało się nawet określić na sto procent, jakiej płci jest ta osoba i w jakim może być wieku. Damian patrzył bacznie na szczupłe przedramię z tatuażem litery S i część podwiniętego rękawa koszuli w czerwono-czarną kratę. To były ledwie ułamki sekund, gdy błysk wybuchu rozproszył ciemności. Tyle wystarczyło. Wytatuowana litera... To ją widywał ostatnio w snach, myśląc, że to wąż pełznący pod skórą.

Widział ją też w rzeczywistości, choć z oddali...

Damiana olśniło niemal momentalnie. W taką samą koszulę był przecież ubrany chłopak, z którym Agata gadała przed koncertem. Oszołomiony, starał się z całą wyrazistością przypomnieć sobie tamten moment. „To dziewczyna ze studiów, Klaudia, i jej nowy facet, Kuba. Do tej pory nie znalazła stałej pracy. A broniliśmy się prawie sześć lat temu”.

Kuba.

Koleś z tatuażami.

Wspomnienie nieustannie zakłócał widok Agaty i wszystkie wiążące się z nią emocje. Damian miał spore trudności ze skupieniem się na szczegółach drugiego planu. Po raz pierwszy od dłuższego czasu żałował, że nie bierze już psychotropów, z ich pomocą znacznie łatwiej byłoby mu się od wszystkiego odciąć, osiągnąć lodowaty spokój. Kim był tamten facet? Samo imię, Kuba, to zdecydowanie za mało. Mógłby wprawdzie odezwać się do Agaty i zapytać o Klaudię, a potem od Klaudii dotrzeć bezproblemowo do Kuby, ale ten pierwszy krok był niewykonalny: odezwać się do Agaty, która usunęła go z kręgu w immersjo.

Dumał nad tym przez chwilę. Agata. Jeszcze tak niedawno naprawdę ją kochał, zbudzony w środku nocy i zapytany o to, powiedziałałby „kocham”, to byłby czysty odruch. Mimo że wtedy nie miał prawie żadnych uczuć, przy Agacie było mu dobrze, lepiej niż w każdym innym miejscu świata, u boku kogokolwiek. Jeśli to nie miłość, to co nią jest? Teraz jednak, gdy odeszła, stała się nagle tak daleka, tak obca, poza wszelkim zasięgiem. Właściwie już wtedy, kiedy jeszcze stali naprzeciwko siebie, choć dzielił ich może metr, przestrzeń rozszerzyła się w jednym mgnieniu i było jak przed początkiem czasu: wielki wybuch i nagle wszystko puchnie, a między nimi w kolejnej sekundzie był już nie metr, a kilometr, potem więcej, tysiące. Stali się tak dalecy, jakby żyli na różnych planetach, nie łączył ich język, dotyk ani nawet spojrzenie.

Łkając, trzasnęła drzwiami. A on był jak szklanka, której odpadło dno i cała zawartość znalazła się na podłodze. Musiał więc wrócić do swojego zajęcia, tropić śmierć i tego, kto wprowadził ją między uczestników koncertu.

Jak dotrzeć do tego Kuby, musi istnieć sposób...

A od czego jest podgląd kręgów przez VPN albo proxy? – zapytał w myślach sam siebie.

Wystarczyło przecież wejść w immersjonet anonimowo, w Kręgu Dalszych Znajomych Agaty wyszukać Klaudię, a następnie w Kręgu Emocjonalnym Klaudii wyszukać Kubę. Bo prawdopodobnie miała go oznaczonego jako swojego partnera albo chociaż przyjaciela.

Jeszcze przed przystąpieniem do eksploracji kręgów dawnej ukochanej Damian zaczął sprawdzać w wyszukiwarkach znaczenie tatuazu, który domniemany sprawca miał na przedramieniu.

I w tamtej właśnie chwili znalazł się o krok od połączenia wszystkich elementów, które doprowadziły do zagłady.

Damian, Ksawery, Agata.

Kuba i organizacja, dla której działał.

Mati ze swoim szalonym startupem i jeszcze pewna osoba, która tak bardzo chciała wykazać swoją wartość...

Wszyscy oni.

Wrzask więdźmy rozrywa niebo. Tysiące sond, które wyglądają jak miotły, zmierza w kosmiczną ciemność. Na każdej siedzi wierna kopia mojej szalonej macochy, ściskając jakieś zawiniątko...

Jak mogłem wierzyć, że na tej jednej planecie jej obłąd się zakończy?

Agata

Jak to odszedł? – powtarzała w myślach Agata. Jak to tata odszedł, jak to zostawił, spakował się i nie wraca? Co za idiotyzm. Kłócili się ze sobą przez całe dekady, nie zawiesili Broni nawet, gdy była dzieckiem, wykorzystywali ją na każdym kroku, chcąc udowodnić swoją rację w jakimś sporze, to była karta przetargowa, w końcu istnienie dziecka w małżeństwie powinno mieć jakąś wartość dodaną, nie że tylko leży, płacze, je i sra, niech jak najprędzej dorośnie i powie wyraźnie, czy rację ma mamusia, czy tatuś, no, kochanie, powiedz, tylko szczerze, kogo kochasz bardziej, bo nie da się dwóch osób kochać dokładnie tak samo.

Mama miała łzy w oczach. Siedziały przy kuchennym stole, rosół ostygł, smakował jak woda z olejem, zresztą po kilku łyżkach Agata już nie jadła, zrobiła sobie przerwę i ta przerwa trwała. Słuchała matki, a matka mówiła więcej niż kiedykolwiek. Opowiadała, jaka była nieszczęśliwa, ale zostawała zawsze z ojcem właśnie ze względu na Agatę. Mamy razem dziecko, myślała wtedy, ono się załamie po naszym rozstaniu, rozpadnie się w kawałki, widząc, jak nasza miłość gaśnie, musimy ze sobą zostać, wytrzymać jakoś dla niej, wyłącznie dla niej, nie obarczajmy jej traumą rozvodu i tego wszystkiego, co będzie się działo potem.

Agata pomyślała: Czyś ty kompletnie oszalała, matko? Nie powiedziała jednak tego na głos, nie chciała być aż tak okrutna, choć żadne z rodziców nie oszczędzało jej i sobie okrucieństw. Ale miała na końcu języka boleśnie szczerą opinię: przecież właśnie dlatego, że zostaliście razem, ja każdego dnia byłam mięsem armatnim na tej waszej popieprzonej wojnie, lepiej by było, jakbyście oboje umarli, a mnie by adoptowali by jacyś ludzie z odrobiną empatii, lepiej by było, jakbyście się rozstali od razu po tym, jak mnie urodziłaś, każde wyjście byłoby sto razy lepsze, każde.

Małżeństwo nie jest żadną wartością nadrzędną, żadnym błogosławieństwem, nie oszukujmy się. Para naiwnych idiotów stwierdza, że

żyć bez siebie nie mogą, a potem, ledwie kilka miesięcy po założeniu obrączek, nie są w stanie nawet na siebie spojrzeć, niedobrze im się robi na dźwięk głosu małżonka, chcieliby to cofnąć, ale rodzi się dziecko, a czas przestaje być pojęciem względnym, niczego już nie cofniemy, teraz pojawiła się nowa grawitacja tego związku, dziecko staje się kulą u nogi, która już na zawsze połączy nas ze sobą, możemy wrzeszczeć, drzeć szaty i gęby, ale brak nam odwagi do ucieczki, z poczucia obowiązku pociągniemy to ze sobą aż do grobu.

Łzy w oczach matki, niewidziane od lat, ostatnio chyba na pogrzebie dziadka, chociaż wcześniej tyle razy powtarzała, że stary pierdoła już się do niczego nie nadaje. Agata też ma ochotę się rozplakać. Tyle że nie z rozpaczy. Tylko z żalu. Że to, co dzieje się teraz, nie wydarzyło się, gdy miała lat pięć albo dziesięć. Matka mówiła dalej, zabierając niedojedzony rosół i trzęsącymi się rękami nakładając drugie danie, że ostatnio z dnia na dzień oddalali się od siebie coraz bardziej. Po wyjeździe Agaty na studia mało rozmawiali. Wiadomo, tata zawsze w pracy, jak nie sprzeda, nie będą mieli na nic, mama ciągle czymś zajęta, porządki, pranie i inne pierdoły, które są zawsze sprawą absolutnie podstawową, a wieczorem telewizja, niech się wypowiedzą lektorzy i spikerzy, nam, zmęczonym po całym dniu, jest już wszystko jedno. Żyli tutaj w ogóle tak, jakby czas zatrzymał się pięćdziesiąt lat temu. Ludzie starej daty, szczególnie w mniejszych miejscowościach, mieli to do siebie, że technologia i postęp wpływały na ich życie w niewielkim stopniu, chyba że oczywiście wylecieli z ich powodu z roboty. Ostatnią kupioną przez matkę nowinką był smartfon z 2015, którego do dziś używała mimo pękniętego ekranu.

Twój ojciec poznał kogoś, stwierdziła, zupełnie jakby słowem „twój” chciała ciężar odpowiedzialności przepchnąć w stronę Agaty. W tajemnicy kupił hełm do wirtualnej rzeczywistości. Podstarzały kretyn chciał być jak licealista. Wieczorami wchodził w immersjonecie na jakieś holocząty erotyczne. Mama nie miała pojęcia, cieszyła się, że nie pali już i nie pije, i że w ogóle rzadziej się do niej odzywa, bo niezbyt lubiła ton jego głosu i słowa, jakie do niej kierował. Pewnego dnia oświadczył, że się wyprowadza, że tamta ma na imię Dagmara i on okropnie przeprasza, ale nie jest już młody,

czas ucieka i naprawdę nie ma zamiaru marnować kolejnej dekady w towarzystwie kogoś, z kim nawet nie ma o czym porozmawiać. Dała mu w twarz, ale poczuła się tak, jakby uderzyła samą siebie. Nie miała pojęcia, że aż tak zaboli ją od tego ręka. O wielu sprawach nie miała pojęcia... Dagmara, obca kobieta z innego miasta, z którą jej mąż już od miesiący uprawiał wirtualny seks. Przecież i ona mogła kogoś znaleźć, nadarzyła się niejedna okazja! Mogła poznać faceta, na którego nie patrzyłaby ze wstrętem, z którego żartów śmiałaby się szczerze i przy którym cieszyłaby się, że żyje. Przy którym każdy kolejny dzień wydawałby się świętem. Ale nie! A ten spakował manatki i zniknął.

Agata nie pamiętała potem nawet, czy faktycznie zjadła tego kurczaka z frytkami, ale było jej niedobrze. Wieczorem pospacerowały z matką koło domu, ona wreszcie bez lensów, ciemny świat bez nakładek wydawał się nierealny. Trzymała matkę pod rękę jak umierającą kobietę i trochę się trzęsła, stawiała kroki, jakby pod asfaltem czaiła się przepaść.

Wróciła myślami do Damiana. Czy gdyby był zdrowy i wzięliby ślub, a potem mieli też dziecko, to pewnego dnia nieuchronnie staliby się tak przeżarci nienawiścią jak ojciec i matka? A może jednak daliby radę pójść inną drogą? Czy rozpad jest nieuchronny? Czy przy wystarczającej dozie starań i wyrzeczeń rodzice są czasem w stanie nie zjeść życia swojemu dziecku? Myślała o Damianie, o tym, jak leżał na podłodze i krzyczał w pustą przestrzeń. Po raz pierwszy jego reakcja na świat wydała jej się czymś racjonalnym. Po raz pierwszy zdziwiła się, że częściej nie widuje się ludzi, którzy leżą i nie chcą wstać.

Ksawery

Przy wirtualnym biurku Ksawerego pojawił się Mati, zaprzyjaźniony informatyk. Już od paru miesięcy razem z paroma kumplami z zagranicy próbował sklecić po godzinach zabójczą apkę na lensy w ramach rzekomo ambitnego startupa, który od dawna nie był w stanie wystartować. Już kilka razy zachęcał, by Ksawery dołączył do ich zespołu i przyspieszył w ten sposób „prawdziwy przełom”, ale on był niespecjalnie przekonany. Startupy w końcu padały jak muchy, a korpogiganci w rodzaju CyberArts trwali niezachwianie.

– Nic nie mów, Mati, niech zgadnę: mam być darmowym testerem czegoś, co wymodziliście dziś w nocy? – Ksawery zaśmiał się głucho, nadal napędzany CokeAimem.

– Oj, jak ty mnie dobrze znasz – odparł Mati, rozkładając ręce. – Ale to wcale nie powstało dziś w nocy. Serge i Pavel klepali to wcześniej przez pół roku, tylko że brakowało im kluczowego pomysłu, na który ja wpadłem wczoraj wieczorem, czytając doniesienia o najnowszym przekręcie... no, sam wiesz kogo.

– Nie, nie mam pojęcia.

– Siedzimy w ich biurze, taka podpowiedź chyba ci wystarczy.

Ksawery był zaskoczony bezczelnością Matiego. CyberArts był znany z tego, że za nielojalność najchętniej karałby śmiercią.

– Ty naprawdę nie chcesz już tu pracować, co? I mnie wyjebią też, przy okazji.

– Daj spokój. Ustawiłem nakładkę mute. Nasza rozmowa pozostanie poufna. – Puścił Ksaweremu oko. – A jest to gruba rzecz, nie żartuję. Chodzi o RamReplaye, które kazali nam testować i udostępniać, pamiętasz?

– No coś się tam obilo – skłamał Ksawery.

– Nie pierdol, błagam. Przecież wiem, że zarejestrowałeś trzy konta już następnego dnia po tym, jak sprzęt trafił do Krakowa. Tyle coinów nie w

chuj dmuchał. Zresztą gadałem z Paulą. Wspomniała, że wpadłeś rano i odniosłeś sprzęt.

– Oż ty gnido! Od kiedy to tak mnie sprawdzasz?

– Nie w tym rzecz, panie Snowden. Wczoraj jeden ze szwedzkich testerów urzędnika odkrył, że ono streamuje jego dane do chmury nawet cztery miesiące po tym, jak je zjął i oddał.

– Niby jak?

– Przeczytałeś dokładnie wszystkie postanowienia umowy? Miałeś lupkę nad drobnym druczkiem? Zgaduję, że nie. Na samym końcu była maleńka wzmianka na temat rzekomej nieinwazyjności zabiegu streamowania wspomnień. A konkretnie szło o to, że ta nieinwazyjność jest jednak tak troszeczkę, tak wręcz mikroskopijnie inwazyjna. Urządzenie wkłupa ci się zaraz po włączeniu i umieszcza pod skórą nanochipa, który jest rzeczywistym nadajnikiem. Sama słuchawka to tylko podajnik i wzmacniacz początkowych sygnałów. Wiadomo przecież, że technologia nie jest jeszcze na tyle zaawansowana, by wyciągać z mózgu dane znajdując się poza organizmem użytkownika.

– Ależ pierdolisz, Mati. Nanochipy, kurwa. Szkoda, że nie sondy analne... Przecież bym poczuł, że coś mi się wbija w głowę, co nie? Damian i Agata też nawet nie pisnęli. A takie coś by wymagało sporej igły.

– Nie aż tak sporej. No pomyśl. Robią te chipy w procesie poniżej siedmiu nanometrów, więc nie jest to może coś, o czym pisał Drexler, ale jednak maleństwa. Poza tym powiedz: czujesz, jak cię użre komar? Nie tak znowu zawsze, co? No więc RamReplay też miał w tej igle trochę środków miejscowo znieczulających, o czym zresztą najdrobniejszym możliwym drukiem wspomina kontrakt. Oczywiście nie używają słów takich jak „igła” czy „wkłucie”.

– Kurwa, nie wierzę...

– Uwierz. Ty i twoi znajomi nadal macie we łbach prototypowe nanochipy, które przez maksymalnie sześć miechów będą wysysać wam z głów dane, karmiąc nimi naszą sztuczną inteligencję, czyli tę jebaną mAlice. Po pół roku układy ulegają rozkładowi, ale to znaczy, że jeszcze przez ponad dwa miesiące musisz uważać, co myślisz. Nie jest jasne, na ile precyzyjnie te

chipy czytają wspomnienia, ale lepiej założyć, że CyberArts nie chwali się wszystkimi swoimi osiągnięciami.

Ksawery nawet nie wiedział, co odpowiedzieć. Przez chwilę siedział bez ruchu, gapiąc się w zarośniętą twarz kolegi. Potem dopiero w pełni sobie uświadomił, że każda jego chora czy zboczona wizja, każde brandzlowanie się, każda myśl o zamordowaniu kogoś, kto go wkurzył... to wszystko szło w chmurę! Błagajmy Boga, by szło anonimowo.

– No dobra... A ten koleś ze Szwecji... dał chociaż radę skurwieli zaskarżyć? – spytał w końcu.

Mati parsknął śmiechem, od którego zafalowała powierzchnia biurka.

– Chyba kpisz! Umowa jest tak skonstruowana, że godzisz się prawie na wszystko. Odszkodowanie możesz dostać tylko wtedy, gdy coś się grubo spierdoli, dostaniesz udaru albo coś. Dlatego dawali za to aż taki hajs.

– O te pizdy...

Ksawery ze smutkiem i gulą w gardle przypomniał sobie, że wynagrodzenie wynosiło równe tysiąc coinów na testera za jeden dzień użytkowania. A on, chuj ostatni, okłamał jedynych przyjaciół, że to pięć stów. Cóż było robić... Potrzebował kasy. Zadłużył się, przesadzając z wirtualnym porno klasy premium. Jak niby miał im to wytłumaczyć? Sorry, zabrałem wam połowę wynagrodzenia, bo płatne awatary podniecają mnie jak cholera, a przy darmowych już nawet mi nie staje? Gdy Damian i Agata stracili robotę, było za późno, bo Ksawery nie miał już tamtej kasy.

– Zrobili z tego na chmurach bazę wspomnień, bazę emocji i w cholere innych cudów – ciągnął kolega takim tonem, jakby opowiadał o spisku, którego macki oplatają całą planetę.

– Możesz już przestać mnie wkurwiać... – odparł Ksawery, chowając twarz w dłoniach. – Jak ja to teraz wytłumaczę Damianowi i Agacie?

– Niczego nikomu nie tłumacz.

– Co?

– Dlatego przyszedłem. Nic z tym nie rób, nie było tematu. Patrz. W zeszłym roku paru pracowników ze Wschodu oskarżyło firmę o łamanie praw człowieka. I wiesz, co z tego wynikło? Gównno. Prezes zrobił konferencję, na której powiedział, że on nie tylko niczych praw nie łamie,

ale właśnie w tym momencie przekazuje dziesięć milionów na organizacje walczące o ochronę praw człowieka. I mały kutas zebrał wielkie brawa... Ale mam pewien pomysł. Wyjebimy fagasów ich własną bronią. Wykorzystamy te dane w naszej apce i nakręcimy sobie tyle hajsu, że nikt nam nie podskoczy. Jebać CyberArtsów, tyle ci powiem. Jebać między lensy! Przejdiesz do nas i będziemy wszyscy nurkować w jebanym morzu coinów.

– Porzucić najpotężniejsze korpo w branży elektronicznej rozrywki, żeby razem z przymulonym kumplem postawić na startup? Brzmi naprawdę legitnie, Mati.

– Taa, a ty jak zwykle swoje. Zamiast zarzucać mi bycie przymułem i krytykować nasz cudowny projekt, posłuchaj lepiej, co wykminiłem, dobra?

– Byle zwięźle. – Ksawery ściągnął znad biurka podręczną chmurę danych i zaczął sprawdzać taski, które na ten dzień przydzielił mu lead designer. Nie mógł przestać myśleć o tym, że ma w głowie coś, co w każdej sekundzie rozkłada na czynniki pierwsze jego procesy myślowe. Jak kurewska kamerka, której nie idzie zalepić plastrem...

– Wszystko, co tu robimy, i tak w pewnym momencie trafia do góry, no nie? Każdy projekt płynie do mAlice i ona potem się przekalibruje w taki tryb, jaki jest potrzebny do poszczególnych zadań, prawda? To słuchaj. Mój dział teraz robi dla CyberArtsów grę *Endlessness*. Tak zwany horror psychologiczny, w którym nasi panowie i władcy zamierzają użyć danych, które tobie i reszcie wysysa z czaszek RamReplay...

– Chcesz mi powiedzieć, że o to szło? Dlatego Paula nie miała problemu z tym, że nasze urządzenia nagrały reakcje po wybuchu bomby i samobójstwie Smitha? Bo im od początku najbardziej zależało na strachu i traumach?

– Jak robisz psychologiczny horror, to nie chcesz chyba, żeby użytkownik skakał po ukwieconych łączkach, no nie? Ma być czyste przerażenie, ocieranie się co pięć sekund o śmierć i tak dalej.

– Weź już mi nawet nie gadaj. Widziałeś mój ryj? Nie widziałeś. Pół policzka mi rozorało... A te chuje z góry najchętniej pewnie zeskanowaliby mi twarz na potrzeby jump scare'ów.

– Nie ma lekko. Korpomachina na pełnej kurwie, zero empatii, stary. Ale wróćmy do tematu. Dane z waszych łbów idą w chmurę, tak?

– Pewnie nadal idą... No i?

– No i pomyślałem sobie tak. Razem z codziennymi buildami, koncept artami i modelami assetów przemycimy na chmurę fragment kodu zrobiony przez Serge'a.

– Chyba cię pojebało. Od razu na wirtualnym dywaniku zładujemy u szefa.

– Nikt nie zauważy. Nikt. Przecież to nie wirus. Ja i tak codziennie puszczam im sporo linijek kodu, kolejna też przejdzie, jeśli tylko nazwa pliku będzie się zgadzała. Często ja sam autoryzuję, co może przejść, a co nie. Odpali się drobny skrypt, który robi nam ekstrakcję tego, czego potrzebujemy: bazy emocji i wspomnień kilku wybranych użytkowników. A gdyby ktoś to wykrył i się zdziwił, wyjaśnimy, że jest to nasz firmowy skrypt służących do modelowania sceny w grze, w której straszenie jest sprofilowane na każdego użytkownika indywidualnie. Innymi słowy, sztuczna inteligencja wielkiej i złej korporacji stworzy dla nas projekt, wszystkich obliczeń dokonując w chmurze, a my dostaniemy wyniki, których sami nie zdołalibyśmy nigdy osiągnąć.

– Nic z tego nie zrozumiałem. Co wy chcecie w tym swoim startupie modelować za pomocą wykradzionych wspomnień? Jaki projekt to ma być, że będziecie go sprzedawać sami, poza korpo, ale jakby sprawa się sypnęła, to zaczniecie udawać, że to tylko assety do psychologicznego horroru?

– Podpiszesz NDA? To ci powiem...

– Serio? Mówiłeś, że na własnym odchodzicie od korpostandardów.

– To inaczej: jeśli dołączysz do zespołu, wszystkiego się dowiesz. Tak na to popatrz: właśnie się dowiedziałeś, że firma-matka gwałci ci mózg bez twojej wiedzy. I oto pojawia się kolega z uczciwą ofertą, która ci pozwoli firmę-matkę wyjechać prosto w kosmos.

– Mati... Pojechałeś teraz takim Freudem, takim Edypem, że... ja pierdolę.

– I dobrze. Wchodzisz?

– Daj się zastanowić.

Agata

Matka nie przestawała mówić. Przeszłość wylewała się z niej niepowstrzymanym strumieniem słów, które tamowała przez te wszystkie lata. Jej historie domagały się opowiedzenia, ale wcześniej, gdy matka Agaty jeszcze była z jej ojcem, nie mogła niczego swojej córce wyznać, bo bała się, że skrzywdzi nie tylko ją, ale też siebie, ostatecznie burząc obraz ojca, jaki jej kochane dziecko – choć już przecież nie takie małe – powinno mieć przed oczami. Agata była zaskoczona, że matka może w ogóle zakładać, że w jej oczach którekolwiek z rodziców zasługiwało na pozytywną ocenę.

– Chcieliśmy jak najlepiej. Wiedzieliśmy, że nie możemy odstępować od swoich założeń nawet o krok, bo wszystko się nam rozpadnie. Tylko że w rzeczywistości sprawy wyglądały mniej ciekawie. Przepraszam, jeśli moje słowa cię dotkną, ale to nie była planowana ciąża. Byliśmy parą dopiero od miesiąca, nie znaliśmy się zbyt dobrze. Mimo to postanowiliśmy spróbować, mocno wierzyliśmy, że nam się uda, że małżeństwo nas wzbogaci, sakrament jakoś tam zjednoczy, a narodziny dziecka ostatecznie scementują ten związek. Nagle w jakiś magiczny sposób staniemy się najszczęśliwsi na świecie i zrobimy wszystko, żeby to trwało. Po prostu byliśmy naiwni.

Agata milczała. Matka wcale nie wydawała się teraz połówką duetu urodzonych oprawców, z premedytacją niszczących się przez długie lata. Wyglądało to tak: dwie nieznajome, zupełnie obce sobie osoby zaczynają się umawiać, zaliczają wpadkę, ale infantylnie zakładają, że będzie dobrze, bo musi być. Sytuacja rozwija się i w pewnym momencie zaczyna zmierzać w niewłaściwym kierunku, ale oni nie są w stanie w porę się zorientować. Wrogość nie ujawnia się przecież od razu z całą destrukcyjną mocą, raczej wnika do ich życia stopniowo, przejawiając się początkowo w mało istotnych drobiazgach. Matka krzywi się czasem, słysząc rzeczy wygadywane przez ojca czy widząc niektóre z jego zachowań, on jest nią coraz częściej zirytowany i wyprowadzony z równowagi. Z początku każde z

nich stara się nie myśleć źle o tym drugim, są przecież młodym małżeństwem, mają przed sobą przyszłość, muszą też wychować cudowną córeczkę, ich skarb, ich światelko. Potem to postanowienie zaczyna słabnąć, oni sami zaś coraz bardziej się łamią, a wtedy zaczyna się rozpaczliwe szukanie wyjścia z wykreowanego przez siebie dramatu.

– Miałaś chyba cztery miesiące, gdy po raz pierwszy otwarcie nazwał mnie „skończoną idiotką”. Jestem pewna, że już wcześniej tak o mnie myślał, ale dopiero wtedy wypowiedział te słowa głośno. Co takiego zrobiłam? Zalałam mu herbatę zimną wodą. Nic wielkiego. Byłam rozkojarzona, niewyspana i zdenerwowana, bo dużo w nocy płakałaś. On też był przemęczony, praca i nowe obowiązki, wiadomo... Ale był również wściekły. Na mnie. Bo na tym etapie obwiniął mnie już bez ogródek za naszą sytuację. Wiem, że słowa „trzeba było usunąć” nie przeszłyby mu przez gardło, ale prawdopodobnie tak właśnie uważał. Pamiętał swoje dawne życie, pamiętał, jak ono wyglądało, jeszcze zanim byliśmy parą, i wydawało mu się nieporównanie lepsze w zestawieniu z wszystkim tym, co przyszło później. Znienawidził mnie, bo sądził, że to była jakaś zasadzka na niego, że to może ja wymyśliłam tę iluzję szczęśliwego małżeństwa, którą go omamiłam.

Opowieść matki ciągnęła się przez całe długie dni, przechodzące w tygodnie. Siedziały przy stole w domu, spacerowały po okolicy, oglądały razem telewizję, ale historia tego małżeństwa nigdy się nie kończyła, co najwyżej zamierała na chwilę w locie, czarna chmura nad ich głowami, by chwilę później znów spaść na Agatę gradem bolesnych, ale oczyszczających słów.

W tamtym czasie Agata odcięła się od sieci, nie zakładała lensów, nie logowała się w immersjo, starała się spędzić ten czas na odwyku od wszelkich wirtualnych rozpraszaczy, które zawsze spowijały jej głowę wirem reklam, newsów, postów i holografi, zza których nie było już widać tego mitycznego „prawdziwego świata”.

Teraz skazała siebie na ekstremalne emocje i sceny z życia pozbawionego efektów specjalnych. Jak matka stojąca tyłem do niej, mieszająca coś w parującym garnku.

– Dostyc szybko zapomniał o przysiędze wierności. Uznał chyba, że jej znaczenie w pewnych warunkach może zostać ograniczone. Od naszego ślubu nie minął nawet rok. Jak dobrze, że nie pamiętasz tamtej awantury. Chociaż zaczęłaś wtedy płakać, jakbyś wszystko doskonale rozumiała. Powiedział, że spotyka się z kimś od czasu do czasu. Rzucił to niby w żartach. Byłam wściekła, a on się strasznie zdziwił i spytał: „A czego niby oczekiwałaś?”. Uznał mnie za naiwną kretynkę. Powiedział: „Popatrz na siebie, popatrz na nasze życie. Naprawdę zakładasz, że jestem tu chociaż trochę szczęśliwy? Kiedy ostatnio wypełniliśmy ten tak zwany małżeński obowiązek, przypominasz sobie? Bo ja nie...”. Strasznie się wtedy pokłóciliśmy, chciałam odejść, zabrać cię ze sobą i pójść gdziekolwiek, najpierw może jakiś motel, a potem się zobaczy, w ostateczności zostawał ośrodek dla matek. Ale później, w nocy, długo nie mogłam zasnąć i próbując pojąć, dlaczego do tego doszło, zobaczyłam, jak to mogło wyglądać z jego strony. Przez ostatni rok zajmowałam się wyłącznie tobą. Na swojego męża, który przecież też miał swoje potrzeby, nie zwracałam uwagi, chyba że kazałam mu w czymś pomagać, zazwyczaj dość oschle. Było jasne, że przez dłuższy czas nasze tak zwane małżeństwo nie będzie mogło w ten sposób funkcjonować. Byłam zbyt łatwowierna... Gdy gniew opadł, doszłam do wniosku, że jeszcze nie wszystko stracone. Skoro wyznał mi prawdę, to znaczy, że liczy się ze mną, że jeszcze odrobinę mnie kocha. Wszystko można naprawić. Nigdy nie jest tak źle, żeby potem nie mogło być lepiej. Zawsze z całej siły w to wierzyłam. Po każdej awanturze, każdej zdradzie, każdym załamaniu nerwowym. Przynajmniej mnie nie bije, powtarzałam sobie, widząc sińce pod oczami sąsiadek. Przynajmniej nie jest pijakiem, pocieszałam się, widząc, jak mąż koleżanki zatacza się i sika na ścianę. Wszystko da się naprawić. A dziecko potrzebuje przecież i ojca, i matki. Dziecko potrzebuje obojga rodziców i mnóstwa miłości.

Agata słuchała tego z mieszaniną niedowierzania i ściskającego gardło żalu, niczym zwierzeń osoby, która jakimś cudem uciekła z sekty, lecz ślady prania mózgu już do końca życia będą się w jej zachowaniu przejawiać. I wtedy niespodziewanie wywnioskowała, że sama też bardzo często taka była, w pewnych sytuacjach zachowywała się dokładnie jak matka.

Wierzyła, że nie ma takiego człowieka, którego nie dałoby się naprawić. Zakładała, że upór i wytrwałość pozwalają osiągnąć każdy cel. Przypomniał jej się Damian i wszystkie bezowocne próby sprawienia, by wreszcie poczuł się szczęśliwy. Jakby bycie szczęśliwym było cholernym obowiązkiem całej ludzkości. Czemu uważała, że takie kwestie mogą w ogóle zależeć w jakimkolwiek stopniu od niej? Kochała go i on też ją kochał, starała się szukać pozytywów, ale on po prostu brzydził się światem i tak miało zostać już na zawsze. Powróciły wyrzuty sumienia, że porzuciła go akurat teraz. Niepotrzebnie od początku brała to do siebie. On wcale nie próbował jej krzywdzić, w ogóle jej osoba nie grała w tej kwestii żadnej, nawet najmniejszej roli. Był chory, cierpiał, nie mógł spać, nie chciał żyć, to rozumiała. Na żadną z tych rzeczy nie miała i nigdy nie będzie mogła mieć wpływu. To było właśnie ostateczne pytanie, jeśli chodzi o ich związek: czy będziesz z nim takim, jaki jest, dopóki jest? Czy nie będziesz już więcej starała się go zmienić, by stał się taki, jaki twoim zdaniem powinien się stać?

Późnym wieczorem leżała w łóżku, w pokoju, w którym spędziła tyle lat swojego życia. To był już czwarty tydzień w domu matki (bo teraz tylko tak mogła to miejsce nazywać). Agata rozmyślała o tym, że czuła się krzywdzona przez rodziców, ale nie była w stanie dostrzec ich własnej krzywdy. O tym, że Damian był dla niej nie tyle ukochanym, co raczej pewnego rodzaju ambitnym projektem, który kiedyś wreszcie miał zacząć spełniać jej oczekiwania.

Miała łzy na policzkach i gardło tak ściśnięte, że ledwie była w stanie wciągać w płuca powietrze. Ale żyła. I ani przez chwilę nie pomyślała, że wolałaby nie żyć. Lepiej było czuć to, co teraz, niż nie czuć zupełnie nic.

I dopiero w tamtym momencie zrozumiała w pełni, dlaczego dla Damiana odstawienie leków stało się kwestią życia i śmierci.

Ksawery

Lead designer kazał całemu zespołowi w ramach przygotowań do nowego projektu zapoznać się z immersyjnymi nakładkami. Chodziło o gówieńka produkowane przez konkurencję w najniższym segmencie cenowym – od zera do dziesięciu coinów. Jakby zadanie nie było samo w sobie wystarczająco żałosne, Ksaweremu przypadły chyba najchujowsze odpały w dziejach gamedevu, tak przynajmniej określał je w myślach.

– Branżo elektronicznej rozrywki, nie idź tą drogą – powiedział sam do siebie, gdy tylko meeting dobiegł końca.

Rozumiał doskonale, że między większymi projektami zdarzają się przestoje i grzebanie przy jakichś pierdołach, ale to?

Najpierw kazali mu testować – na dodatek w terenie – polską apkę „kraj_www_ruinie”. Musiał włóczyć się po mieście z włączoną nakładką i psuć sobie humor wizjami spłodzonymi przez jakichś chorych popaprańców. Mijane budynki przypominały zgliszcza, a wychudzeni przechodnie, bladzi i sinoocy, wyglądali niczym z niskobudżetowego cosplaya watahy zombie. Zewsząd atakowały infobańki mieniące się od teorii spiskowych i wizji wykończonych rządowych elit, spychających państwo, kontynent, świat w przepaść. „Obudź się, Polsko!” krzyczało słońce zmienione w twarz otyłego bobasa. Ksawery miał ochotę wymodelować gigantyczny smoczek i wetknąć mu w usta, żeby się wreszcie zamknęło, ono i cała reszta.

– Może ciebie ten segment bawi, Ksawery – powiedział mu później szef – ale to są setki tysięcy użytkowników, którzy przechodzą nam koło nosa.

Srać takich użytkowników, odparł w myślach, nawet się nie zastanawiając, czy i to zdanie trafi w chmurę, prosto do macek mAlice.

Gdy zapomniawszy wyłączyć nakładkę, wszedł na obiad do ulubionej azjatyckiej knajpy, ujrzał tam sceny jakby rodem z wojny w Wietnamie: klienci, zamiast siedzieć przy stołach z pałeczkami w dłoniach, czaili się w

jakichś szuwarach, ściskając zardzewiałe karabiny. Nad głową śmigwały terkotliwie helikoptery, a zamiast podłogi Ksawery miał pod nogami lepki, bagienny grunt, który wsysał mu buty. Każdemu krokowi towarzyszyły młaśnięcia i plumknięcia, niczym soundtrack filmu o morderczych pijawkach.

To był ten moment, w którym powiedział dość. Dezaktywował nakładkę, przeklinając tak głośno, że aż kelnerka zmierzyła go wzrokiem. Na widok jej miny Ksaweremu momentalnie przyszło do głowy, że tamta się na niego gapi. No proszę, pomyślał, nawet wyćwiczone w zawodowym uśmiechu kelnerki nie potrafią udawać, że wyglądam jak człowiek.

– Zabiegi, które zmniejszą widoczność blizny, nie są niestety refundowane – powiedział mu lekarz, gdy Ksawery pierwszy raz po zdjęciu opatrunków spojrzął w lustro.

Jeszcze tego samego dnia sprawdził, z jakim wydatkiem wiązałoby się – jak najbardziej dosłowne – zachowanie twarzy. Najorzystniejsza oferta przekraczała osiem tysięcy coinów...

Obiad zjadł ze ściśniętym gardłem, ledwie przełknął połowę posiłku. Zupełnie jakby ostrzał z helikopterów realnie mu zagrażał.

W drodze powrotnej przetestował z kolei ariGate, zmieniającą wszystkich napotkanych ludzi w postaci z anime, utrzymane w nieco futurystycznym klimacie. Był na takie zabawy zdecydowanie za stary i nie jarało go już zupełnie, że połowa dziewczyn na ulicy zmieniała się w Czarodziejki z Księżyca, niebo zamiast brunatnego smogu zakryły kłęby różowej waty cukrowej, a srające wszędzie gołębie to były teraz maleńkie cyberwróżki i mechaniczne jednorożce. Kiedyś na widok takiego świata zaczęłyby się brandzlować, ale te czasy minęły bezpowrotnie, a może raczej przepalił sobie w mózgu ośrodki przyjemności. Awatary najlepszych pornogwiazdek sprawiły, że próg podniecenia czy choćby ekscytacji podniósł mu się do nieosiągalnych wyżyn. Im brzydszy się czuł, im dłużej siedział w czterech ścianach w fiutem w garści, tym bardziej zwisała mu cała reszta. A niech mnie wyjebią z CybertArts, myślał, a niech ludzie się gapią na mnie, niech będę jebanym dziwadłem.

Na kolejnym zebraniu powiedział głośno, że inwestowanie w development tanich bądź darmowych nakładek to jego zdaniem marny pomysł, kompromitujący firmę. Czemu nie pozostać wyłącznie przy grach AAA i doświadczeniach klasy premium? Producent odparł, że to ostatni moment na wejście w tę niszę, bo nie każdego stać na poważne i drogie produkcje, ale każdy może przepuścić kilka coinów miesięcznie na kolorowe popierdółki zmieniające otoczenie w coś bliskiego jego osobistym wyobrażeniom o świecie. Na dodatek można potem doić na mikrotransakcjach czy loot-boxach. Frajerstwo będzie płaciło za season passa puszczającego infobańki z nowymi teoriami spiskowymi, a w końcu zaczną dorzucać nawet więcej za specyficzne wariacje: dominacja masońska, rasa jaszczurów w ludzkich przebraniach, azjatyckie dzieciaki odbierają nam pracę, muzułmańscy oprawcy rabujo i gwałco... Tak się właśnie buduje lojalność klienta wobec marki.

Ksawery, zdenerwowany i nagle rozzuchwalony, zapytał wtedy ostro, czym to się niby, kurwa, różni od Systemów Zarządzania Percepcją, które w ubiegłym roku opatentował największy konkurent CyberArts, czyli Axon Communications? Za co im jebło na giełdzie o dwadzieścia procent, bo ponoć dało się tą drogą realnie zmieniać przebieg każdych „demokratycznych” wyborów? Na to szef rzucił w odpowiedzi, że jeśli Ksawery różnicy nie widzi, to powinien przemyśleć, czy na pewno chce tu jeszcze pracować. Na jego miejsce są setki chętnych.

Jakby tego było mało, połowa wydawców już stwierdziła, że powieścią Ksawerego nie są zainteresowani, chyba nawet bez czytania. Pozostali się nie odzywali, więc pewnie wychodziło na to samo. Sama myśl o tym, że wszystkie te miesiące pracy na granicy obłędu poszły na marne, doprowadzała go do szału. Wyleci z roboty, *Klasyków*... nikt mu nie wyda, chyba że jakieś vanity, a na zabiegi, które naprawią mu głowę, zbiera może za parę lat, w najlepszym razie.

Wieczorami, starając się powstrzymać fale dławiącej rozpacz, puszczał sobie w immersjo tak zwane aplikacje psychodeliczne. Były ich dosłownie setki, koderzy na całym świecie próbowali swoich sił we wpływniu na świadomość odbiorcy. Kalejdoskopowe tunele, w których się zagłębiał,

wsluchany w nerwowy bit, niosły zapomnienie i spokój, a gdy w końcu, po wielu godzinach krążenia po lustrzanych labiryntach, gdzie na szczęście nie musiał oglądać samego siebie, znajdował wyjście, opadała na niego ciemność utraty przytomności.

Damian

Kuba wydawał się dziwnym człowiekiem. Wprawdzie sieciowe śledztwo Damiana było jeszcze wyjątkowo pobieżne, pierwsze wnioski wskazywały, że Kuba skupiał się przede wszystkim na odpowiedniej prezencji. Dokumentował każdy swój krok i dbał o pozory, aż do przesady. Damian pomyślał, że albo tamten jest kimś całkowicie powierzchownym, albo naprawdę miał coś do ukrycia. W immersjonetowych kręgach starał się sprawiać wrażenie, jakby nie miał sekretów. Tworzył osobne albumy z hologramami chyba na każde weekendowe wyjście. Pojawiał się na dziesiątkach koncertów zespołów szeroko pojętej sceny niezależnej, co potwierdzały liczne, niedbale upozowane holki, niekiedy klipy. W tym względzie nie różnił się wcale od reszty swojego pokolenia, tyle że starał się bardziej, nawet za bardzo, jakby to wszystko nie było do końca szczerze. Jednak najciekawszy był fakt, że na jego immersjonetowym profilu nie pojawiła się nawet jedna wzmianka o koncercie Conora Smitha. Żadnych hologramów, klipów, meltdownów czy jakichkolwiek oznaczeń. Niczego. Za to logi z następnego dnia zawierały już wysokorozdzielczościową hologramę, na widok której Damianowi żołądek podszedł do gardła. Na tej holce Kuba stał uśmiechnięty przed salonem tatuażu k.Inks, prezentując na przedramieniu nowy, a właściwie uzupełniony tatuaż: SK_ill. Emanował wręcz radością, co było więcej niż niezwykle, bo skoro ledwie dzień wcześniej facet widział z bliska wybuch, który zebrał śmiertelne żniwo, widział, jak Smith się zabija, to powinien chyba nieco kryć się z entuzjazmem. A poza tym, do kurwy nędzy, to był koncert najsmutniejszego człowieka na świecie, który do Polski przyjechał po raz pierwszy i którego Kuba najwyraźniej wielbił (wklejał linki do jego piosenek kilkanaście razy, tyle że przed trzema, czterema laty, później już nigdy). Hologramę otagował jednym tylko słowem, za to wyjaśniającym znaczenie tatuażu: systemkill.

Damian zaczął się zastanawiać, czy jest możliwe, by Conor Smith stał się idolem dla kogoś, kto każdym pozostawionym przez siebie immersjonetowym śladem zdaje się potwierdzać, że należy do grona tak zwanych szczęśliwych ludzi. „Szczęśliwi ludzie” – to określenie napełniało Damiana pogardą. Ci wszyscy, którzy bez żadnego ciężaru w sercach cieszą się swoją egzystencją. Jeśli Kuba naprawdę był typowym idiotą z nieodpartą chęcią ciągłego zbierania plusów przy holografiach i statusach, jak to się miało skleić z obrazem kogoś, kto spowodował tragedię w klubie Kwadrat? Coś tu ewidentnie nie grało. Któraś z wersji tego człowieka była kłamstwem.

Damianowi trudno było uwierzyć, że Kuba to po prostu przypadkowy kretyn, który bez głębszych przemyśleń postanowił pomóc Conorowi uwolnić się od samego siebie, a przy okazji wprowadził do klubu zaprzyjaźnionego samobójcę z ukrytą bombą. Może ten człowiek był po prostu manipulującym swoim wizerunkiem psychopata.

W najbliższy piątek wieczorem Kuba (tym razem najwidoczniej bez Klaudii), wybierał się do klubu Studio na koncert Mount Eerie. Damian też lubił tę kapelę (nie umieściłby jej w top dziesięć ulubionych zespołów, ale w top dwadzieścia jak najbardziej). Sprawdził ceny biletów i widząc niewygórowane czterdzieści coinów od osoby, kupił jeden.

Pomysł wydawał się nie najgorszy: będzie mógł śledzić Kubę i jednocześnie posłuchać na żywo niezłej muzyki. Może nawet w pewnym momencie skonfrontuje się z podejrzanym.

Jak tamten zareaguje na oskarżenia? Po prostu się uśmiechnie, rozłoży ręce i rzuci: „Ja nic nie wiem”? A może zaatakuje Damiana, żeby go uciszyć?

Zastanawiając się nad tym, zaczął szukać w immersjonecie jakichkolwiek wątków powiązanych z terminami SK_ill oraz systemkill. Liczba celnych rekordów w najpopularniejszych apkach wyszukiwawczych świadczyła, że nie były to specjalnie popularne hasła. Raz na kilka dni jakaś randomowa osoba wrzucała holografię z tatuażem, elementem biżuterii, vlepką na ścianie, napisem w dialogowej chmurze albo graffiti zrobionym w starym niedobrym realu. Przy czym absolutnie nikt nigdzie nie tłumaczył, co by to niby miało oznaczać i jaki był związek tych haseł z czymkolwiek. Posty,

klipe i holografie pochodziły od ludzi mieszkających w różnych krajach i na różnych kontynentach, których poza tym jednym zupełnie nic nie łączyło. Damian doszedł do wniosku, że skoro jest to jakaś zorganizowana akcja, ale nigdzie nie widać żadnych śladów tej widmowej „organizacji”, musi ona działać poza oficjalnym obiegiem – w grę wchodził więc archaiczny darknet, bezpośrednia komunikacja przez aplikacje TOR, ewentualnie czaty grupowe w wyciszonych immersjopokojach.

Kierując się przeczuciem, Damian postanowił porównać daty ukazywania się słów kluczowych z jakimiś tragicznymi, szokującymi bądź po prostu dziwnymi wydarzeniami na świecie, w szczególności w miejscach położonych blisko lokalizacji wskazanych przez wyszukiwarki użytkowników.

I wtedy naprawdę opadła mu szczęka.

Agata

Na początku nie była pewna, jak będzie wyglądał jej powrót do domu i czy ucieczka od Damiana ma być czymś ostatecznym czy przejściowym, chęcią spojrzenia na całą sytuację z dystansu. Ale jej przedłużająca się wizyta okazała się zupełnie inna, niż Agata mogła oczekiwać. Spodziewała się znów zostać niemym świadkiem awantur ojca i matki, ich cichych dni, podczas których także jej samej nie chciało się nawet odzywać. Myślała, że to wszystko odwróci jej uwagę od rozpadu własnego związku, widziała siebie podczas samotnych wędrówek po okolicy, ta zaś okazałaby się miejscem sto razy brzydszym niż to zapamiętane, które do najpiękniejszych też nie należało. Sądziła, że wracając do dawnych problemów, puści w niepamięć obecne. Jednak ojciec odszedł, z dnia na dzień zniknął bez śladu, a matka, zawsze taka silna i zajadła, próbująca kontrolować córkę i wpływać na jej losy, po prostu pękła, złamała się, zaczęła wreszcie okazywać uczucia, przytulać Agatę, płakać i opowiadać o tym wszystkim, co zatruwało ją przez cały ten czas.

To było niespodziewane.

Słuchając matki, z tyłu głowy miała głos uświadamiający jej, w jakim położeniu sama się znalazła. Teoretycznie straciła wszystko. Jednak rozstanie, opuszczenie mieszkania czy nawet utrata pracy, której i tak się nie lubiło – wszystko to bladło w porównaniu z tym, czego doświadczyli jej rodzice: utratą życia. Bo fakt, że nie umarli, nie znaczył jeszcze, że nie stracili życia. To była utrata znajdująca się na zupełnie innym biegunie niż samobójstwo – całe dekady musisz być tym, kim nie chcesz być, dzielić los z kimś, kogo nie chcesz znać, i robić coś, co nie sprawia ci żadnej przyjemności. Wobec takiej perspektywy każde rozwiązanie wydaje się błogosławieństwem.

Agata bez przerwy zastanawiała się, jak to się dzieje, że większość ludzi wie, że życie jest niewarty przeżycia. Z

opowieści matki wyłaniał się obraz drobnych codziennych okropieństw. Dlaczego nie uciekli od siebie? Dlaczego zakładali, że koniecznie muszą ze sobą wytrzymać, jakby słowa „dopóki śmierć nas nie rozłączy” nie były tylko naiwną obietnicą, lecz ciężącą na nich dożywotnio klątwą.

Musiała wszystko zmienić, jeśli nie chciała skończyć w podobny sposób. Stwierdziła, że gdy już będzie w stanie wrócić do immersjonetu i zacząć rozglądać się za nową pracą, znajdzie sobie coś wymagającego kreatywności, robotę, do której będzie chciała wracać i z której będzie czerpać dokładnie taką samą satysfakcję, jak z innych lubianych zajęć. Czy fakt, że skończyła administrację, miał determinować ją już na zawsze? Dlaczego nie miałyby robić tego, czego chce? Wystarczyło tylko uściślić, czego naprawdę chciała.

Wędrując po Gliczowie, przywoływała kolejne wspomnienia, wracała do miejsc, które przed laty miały dla niej szczególne znaczenie. Stworzyła całą mentalną mapę. Zamierzała przekonać się, jak się zmieniły, poddane próbie czasu. Pierwsze na liście było kino. Kiedyś w okolicy działały dwa, jedno dosyć duże, drugie raczej małe. Obecnie zostało tylko to większe, i właśnie ono było dla Agaty istotniejsze.

Kupiła papierowy bilet, jak wtedy, gdy była nastolatką. Nie zwracała nawet uwagi, na jaki film. Trafiała się komedia romantyczna *Zakłęci w czasie 2* czy jakoś tak. Usiadła w trzecim rzędzie, w fotelu z cyfrą cztery. Sala świeciła pustkami, kilka nastolatek z tyłu śmiało się głośno, daleko po prawej siedział samotny pan w płaszczu – przypominał szpiega, który dostał absurdalne zadanie infiltracji widzów.

Trzeci rząd, czwarte miejsce.

Zabawne. Zapamiętała to doskonale. Dokładnie na tym fotelu siedziała na swojej pierwszej kinowej randce. Wtedy na dodatek po raz pierwszy się całowała. Nawet teraz, po tylu latach, nie mogła się nie uśmiechnąć.

Początek liceum. Marcin, nieustannie starający się zwracać na siebie uwagę głupimi żartami koleś, zaprosił ją na jakiś wysokobudżetowy film akcji. To było coś z Tomem Cruise'em, chyba któraś część *Mission Impossible*. Tytuł pasował całkiem niezłe do ich pierwszej i zarazem ostatniej randki. Chłopak nie był żadną jej miłością od pierwszego wejrzenia. Szczerze mówiąc, był po prostu jednym z kilku, którzy zwrócili w jakiś

sposób uwagę Agaty podczas pierwszych tygodni nauki. Stwierdziła wtedy, że jest głupkowaty, ale w sumie uroczy. Kiedy podszedł do niej na przerwie i nawet nie próbując nawiązać rozmowy, od razu zaprosił do kina, miała ochotę odmówić, ale nigdy nie umawiała się z nikim i trochę się tego wstydziła.

Siedziała w tym właśnie fotelu i zerkając co chwilę nerwowo w kierunku Marcina, starała się połapać w fabule filmu. Jej towarzysz wiercił się przez pierwsze pół godziny, potem wyciągnął miętowe cukierki Halls i nawet Agatę poczęstował, a kiedy starała się jeszcze dojść do siebie po zetknięciu z czymś tak porażająco miętowym, on nachylił się do niej niezdarnie i równie niezdarnie zaczął ją całować. Oczywiście wyobrażała sobie ten moment wiele razy, ale nigdy nie pomyślała, że może to wyglądać właśnie tak. Rany. To było absurdalne, a nawet – po namyśle – trochę obrzydliwe. O całowaniu miała pojęcie czysto teoretyczne i zapewne wykrzywione filtrem romantyzmu, ale Marcin chyba wiedział na ten temat jeszcze mniej. Wyglądało to mniej więcej tak, że gdy on próbował jej wsadzić język w usta, ona miała jeszcze zaciśnięte wargi, a kiedy wreszcie nieco je rozchyliła, jego język dźgnął ją w okolice podbródka. Podobny zabieg powtórzył jeszcze parę razy i wtedy było już jasne, że po prostu nie potrafią się zgrać. Gdy wyszli z kina, obydwójce oślinieni i zirytowani, na pożegnanie pocałowali się tylko w policzek. Następnego dnia w szkole nawet nie powiedział jej „cześć”, ale się nie przejęła.

To był ten sam fotel, bardziej wygnieciony niż wtedy. Śledziła na ekranie smutno-śmieszne perypetie żony podróżnika w czasie. Była zadowolona z filmu, ale jeszcze bardziej cieszyła ją myśl, że w jej życiu czas płynie wyłącznie w jedną stronę. Nie chciałyby teraz odwrócić wzroku i ujrzeć twarzy chłopaka, który sprawił, że pierwszy pocałunek okazał się czymś żalonym. Zresztą Marcin już nie żył, o jego śmierci dowiedziała się na pierwszym roku studiów. Wypadek samochodowy. Niektórzy twierdzili, że to przez narkotyki, inni byli pewni, że zrobił to celowo, chodziło o zawód miłosny. Oczywiście ani wtedy, ani wcześniej nic do niego nie czuła, ale gdy dowiedziała się o jego śmierci, w płucach jakby zabrakło tlenu. Jak musi

czuć się ktoś, kto za sekundę roztrzaska się o betonową podporę mostu i wie, że już tego nie powstrzyma?

Damian

Istniały dwie możliwości: albo Damian odkrył coś absolutnie niewiarygodnego, albo popadł w paranoję. Zastanawiał się, która z tych opcji jest bardziej prawdopodobna, patrząc na wyniki otrzymane po skorelowaniu listy tragicznych i nietypowych zdarzeń z następującą nie później niż dwadzieścia cztery godziny po nich publikacją w sieci hasła SK_ill bądź systemkill. Uzyskał celność na poziomie osiemdziesięciu siedmiu procent, co wykluczało przypadkowość. W ostatnich latach takich zdarzeń było łącznie sto dwadzieścia sześć. Pierwsze, jakie udało się mu wytropić, nastąpiło 22 listopada 2017 roku. Podczas nadawanego wieczorem na CNN wywiadu z nowym amerykańskim prezydentem, oglądanego przez milion dwieście tysięcy osób na świecie, niezidentyfikowany osobnik zdołał zakłócić transmisję na dokładnie czterdzieści jeden sekund. Gdy dziennikarz zadał żartobliwe pytanie o system wartości w epoce postprawdy, zamiast twarzy prezydenta widzowie ujrzeli oblicze w masce przypominającej obdartą ze skóry twarz obcego z filmu *Oni żyją*. Pod maską jednak ukrywał się ktoś, kto doskonale wiedział, jak wykorzystać swoją chwilę sławy.

– Myślą, że są naszymi panami, od poczęcia do śmierci, żywią się nami, naszym cierpieniem i naszą rozpaczą, bo dla nich to wszystko jest żartem, okazją do podbicia sprzedaży i wyciśnięcia paru coinów z ludzi, którzy już nic własnego nie mają – mówił szybko, wiedząc, że czasu ma mało. – Patrzą, jak się nienawidzimy i zabijamy z najgłupszych powodów. To za ich sprawą fałsz wypiera prawdę, memy zastępują myśli, a ikony – emocje. Nie cofną się przed niczym, jeśli nie zjednoczymy się i nie staniemy na ich drodze. To towarzystwo i ich chory system muszą zniknąć, ich zamiary muszą zostać udaremnione raz na zawsze. – Gdy wypowiedział ostatnie zdanie, ekran zrobił się czarny, a na jego środku rozbłysły białe litery tworzące napis: SystemKill.

W kolejnym roku hasła użyto tylko trzy razy: godzinę po wybuchu samochodu należącego do wiceprezesa czołowego immersjonetowego dostawcy informacji InfoBubbleBlots (nikt nie zginął ani nie został ranny, choć w biurach firmy popękały szyby), dzień po wycieku pornograficznych holografii dr Avy Milican, słynnej twórczyni hologramów nieżyjących gwiazd filmu i muzyki, a także kilka minut po tym, jak Ethan Thomas, współtwórca nowej sieci, immersjonetu, został przed wejściem do restauracji obrzucony muffinkami w kształcie bomb.

Dwa lata później takich wydarzeń było już czternaście, a potem ich liczba rosła wręcz lawinowo. Zakłócano ważne transmisje, przeszkadzano w korporacyjnych dealach, a przede wszystkim krzywdzono – czy to nagłą i szokującą demaskacją, czy też atakiem fizycznym – osoby mające decydujący wpływ na rozpaczliwy kształt współczesności.

I byłoby to wszystko zrozumiałe, gdy nie fakt, że Conor Smith ani nie był taką osobą, ani też nikomu racjonalnie myślącemu nie kojarzył się z fałszem czy korupcją. Wręcz przeciwnie – Smith był jednym z ostatnich artystów z prawdziwą wizją, nieogładających się na żadne mody. Jego szczerść mroziła krew w żyłach, to dzięki niej właśnie zdobył sobie rzesze nie tyle fanów, co wyznawców. Nagrywając płyty, nigdy nie korzystał z tanich producenckich sztuczek, stawiał na lo-fi i żywe, autentyczne granie i śpiewanie, z wszystkimi jego niedoskonałościami. Był ostatnią antygwiazdą od czasów Kurta Cobaina. Raz przerwał wywiad na żywo, bo odniósł wrażenie, że dziennikarz ma nieczyste intencje i wybiera takie pytania, które zwiększą mu klikalność klipu, zamiast skupić się na kwestiach istotnych – Smith pokazał fucka i po prostu wyszedł.

Dlaczego więc ktokolwiek powołujący się na hasło systemkill miałby chcieć śmierci Conora Smitha, ostatniego proroka antyestablishmentu w tak zwanej muzyce popularnej? To nie miało sensu.

Ksawery

– Załóżmy, że w to wejść – rzucił Ksawery, a hologram jego kolegi zmienił się na moment w jednorożca tańczącego na tęczy. – Co możesz mi powiedzieć już teraz?

Zamiast się odezwać, Mati rzucił mu bańkę, w której znajdowały się dokumenty z opisami i obrazujące je animacje.

Ksawery potrząsał bańką i z każdym przeczytanym zdaniem miał coraz większe wątpliwości.

Matiemu i jego pomagierom chodziło o dzieci. Chcieli w ramach startupa tworzyć i sprzedawać wirtualne niemowlęta. Tyle że nie żadne tandetne boty, ukryte w awatarach wyglądających jak dzieci, a hiperrealistyczne symulacje, które byłyby prawdziwymi dziećmi, tyle że istniejącymi wyłącznie w wirtualu i immersjo. Wcześniej przeprowadzili parę prób, ale brakowało im właśnie tego, co mógł dać Ksawery za pośrednictwem RamReplayu: bazy emocji i wspomnień, całego tła nadającego ludziom kształt od wewnątrz. Uzyskany kod można by dowolnie modyfikować, rzecz jasna zakładając wariacje losowe, bo przecież danej parze ludzi może się urodzić tylko tyle a tyle ewentualnych dzieci – liczba ta jest ogromna, ale nie nieskończona. I tu właśnie w grę wchodziła sztuczna inteligencja firmy, mAlice: ona obliczałaby, które z dzieci z najwyższym prawdopodobieństwem urodziłoby się danej parze, a potem, na bazie otrzymanego materiału, „rodziła” symulację, stając się wirtualną surogatką.

Było to tak skrajnie popierdolone, że Ksawery na długo zaniemówił.

– Pojechało was – wypalił w końcu.

Mati zaśmiał się tylko.

– Nie wymiękaj. Dostrzeż i docień, jaki to ma potencjał. Patrz: pary, które dzieci mieć nie mogą. Samotne kobiety, które boją się, że w realu w pojedynkę nie podołają wychowaniu potomka. Ci wszyscy przerażeni myślą, że prawdziwe dziecko może odziedziczyć ich choroby genetyczne. Albo

choćby ci, którzy przed zdecydowaniem się na realnego maluszka chcą sobie bezpiecznie przetestować rodzicielskie zdolności... Ci wszyscy ludzie, a są ich miliony, zaczną nam płacić za to, byśmy im zrobili wirtualne niemowlaki. A jeśli pomysł chwyci naprawdę, po pewnym czasie wprowadzimy mikropłatności. To będzie, kurwa, czyste złoto! Wirtualne przedmioty niezbędne każdemu wirtualnemu dzieciakowi w jego wirtualnym pokoju! Ksawery, no pomysł o tym! Rozumiesz, co to oznacza? Wiesz, ile z tego poleci coinów? Pamiętasz, ile wydawano na nową generację tamagotchi? Albo Pokemony Holo? My będziemy w stanie to przebić! Wprowadzimy, kurwa, abonament, a jak nam jakiś cwaniak przestanie płacić, to mu dziecko zniknie i chuja będzie miał.

Ksaweremu przyszło na myśl, że kolega zalicza właśnie początkowe stadium psychozy. Pomysł był genialny, to oczywiste, ale należał do tej samej kategorii pomysłów, co eksterminacja całej ludzkiej rasy, aby ochronić naturalne środowisko planety. Inaczej mówiąc – trochę Nobel, a trochę kaftan.

– Wystarczy, że podasz nam kody z RamReplayów. I tyle. Bez nich się nie połączymy.

– Przestań...

– Potem to szybko pójdzie. O ile się nie mylę, mAlice jest w top trójce najsprawniejszych sztucznych inteligencji na planecie, więc...

– Kurwa, po prostu przestań – odparł Ksawery i zakończył rozmowę.

Agata

Kino istniało dalej i nawet nie wymieniono w nim starych, zniszczonych foteli, za to w dawnej dyskotecie Agatę dopadł potężny dysonans poznawczy. Teraz był to sklep sportowy znanej w całym kraju sieci. Na parkiecie, na którym kiedyś z koleżankami spędzały przynajmniej jedną noc w miesiącu, obecnie stały regały z polarami, stojaki na kijki narciarskie i trekkingowe oraz piramidy pudełek, na których rozstawiono masywnie wyglądające buty. To właśnie do takich miejsc jak to określenie „zmięły się nie do poznania” pasowało najbardziej. Ludzie rzadko zmieniają się nie do poznania, ale miejsca już tak.

Agata próbowała sobie wyobrazić, jak ona i koleżanki tańczyły tutaj albo siedziały w loży, popijając przez słomkę piwo z sokiem i patrząc krzywo lub z rozbawieniem na wstawionych adoratorów. Pamiętała, jak się wtedy czuła, ale nie miała już w głowie żadnej wizji tego lokalu, z wyjątkiem świadomości, że nad wejściem wisiał błękitny neon z napisem „Music Club”, a parkiet często spowijała sztuczna mgła, która czasem wymykała się organizatorom spod kontroli.

Minęło już tyle czasu, odkąd ostatnio miała na oczach lensy, ale tym razem naprawdę ciężko byłoby się bez nich obejść – postanowiła, że użyje aplikacji makeit3D do przerobienia starych zdjęć z wnętrza Music Clubu, a potem wczyta ich trójwymiarowe wersje do zbudowania prymitywnej nakładki. Jeśli jej się powiedzie, będzie widać dyskotekę stopniowo wyłaniającą się spomiędzy regałów sklepu. Kto wie, może Agata trafiłaby nawet na archiwalne fotki samej siebie bądź którejś z dawnych przyjaciółek?

Założyła lensy i w trybie połowicznego zanurzenia weszła do immersjonetu, punkt po punkcie realizując swój sprytny plan. Pod nogami wałała jej się sterta nieprzeczytanych wiadomości, lecz na razie nie zamierzała zwracać na nie uwagi. Blokując adblockerem i friendrejectorem

wszystkie reklamy i większość zaczepek od znajomych, mogła skupić się na wskrzeszaniu wspomnień z cyfrowych popiołów.

To właśnie wtedy, gdy krążyła między półkami, udając, że ogląda czapki i szaliki, a tak naprawdę w rzeczywistości hybrydowej wracając w nastoletniość, ni z tego, ni z owego zobaczyła awatar ojca, który wyrósł przed nią jak spod ziemi.

– Agatko, kochanie, jak dobrze, że wreszcie cię złapałem – zaczął drżącym głosem. – Ja nie wiem, córeńko, co ci ta twoja matka naopowiadała, ale chcę, żebyś poznała też moją wersję.

Przeszedł przez filtr rejectora, bo nigdy nie miałam go w kręgu znajomych, pomyślała ze zgrozą Agata. Zaskoczyła ją jego biegłość w posługiwaniu się siecią, a wygląd awatara – ojciec odmłodzony o dobre dwie dekady, opalenizna, brak siwych włosów – sprawił, że miała ochotę jednocześnie zaśmiać się i zwymiotować.

– Wyglądasz młodziej ode mnie, więc nie mów do mnie jak do dziecka – odparła, zwalczając przemożną chęć wyjścia z sieci.

Ojca najwyraźniej zatkało. W końcu jego Agatka, jego kochana córeczka, nigdy nie próbowała się włączyć w kłótnie dorosłych. Gdy zaczynały się wrzaski, najczęściej zamykała się w sobie i znikła w swoim pokoju, starając się jakoś przetrwać. Była taka od małego i ta przerażona dziewczynka nadal musiała gdzieś w niej tkwić, przejmować kontrolę nad dorosłą, gdy sprawy przybierały nieciekawą obrót.

– Przepraszam – wydusił wreszcie, unosząc umięśnione ramiona, na których widok nikomu by do głowy nie przyszło, że ten mężczyzna w życiu nie dźwigał ciężarów. – Nie zamierzałem cię urazić. Chodzi o to, że twoja matka...

– Moja matka, a twoja żona – znów mu przerwała. – Nie mów, co ona, mów, co ty. I dlaczego. Słuchałam jej opowieści przez całe tygodnie i jestem nią trochę zmęczona.

Zamilkł na dłużej. Stał bez ruchu na parkiecie, na którym kiedyś różni napaleńcy próbowali porwać Agatę do tańca. Zdawał się nawet bardziej żaloszny od nich.

Agacie ciężko było w ogóle na ojca patrzeć, rozglądała się więc po sklepodyskotece i mrugała nerwowo, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy.

– Jesteś tam jeszcze? – rzuciła, gdy milczenie stało się nie do zniesienia.

– Byłem rozczarowany – powiedział w końcu, a raczej wypluł z siebie te słowa.

Odetchnęła głęboko. Było jej niedobrze.

– Kim?

Tym razem nie potrzebował czasu do namysłu.

– Przede wszystkim sobą. Inaczej sobie wszystko wyobrażałem... moje życie z wami, z twoją matką i z tobą... Nie twierdzę, że to był koszmar, ale szybko przestało się układać, a potem było gorzej. Próbowałem się jakoś odciąć, ale im mocniej udawałem, że wytrzymam, tym częściej się kłóciliśmy. Nie pamiętam już, czy była jakakolwiek kwestia, w której nie skakalibyśmy sobie do oczu. No dobrze, może jedna. Że musimy być razem, bo od tego zależy szczęście naszego dziecka.

– Ja się was bałam... – Agata ściszyła głos, widząc, że zwraca uwagę klientów i obsługi sklepu. – Uciekałam, gdy zaczynaliście krzyczeć. Uciekałam cały czas. Żarliście się ze sobą nawet w Wigilię. Nawet po mojej pierwszej komunii były awantury. Wiesz, jak ja się wtedy wstydziłam? Koleżanki mówiły, że jestem z domu wariatów.

– Co mam ci powiedzieć? Przepraszam. Żadne z nas tego nie chciało, ale jeśli każda rozmowa prowadzi do spięcia, każde słowo staje się punktem zapalnym, to... tak po prostu bywa. Ludzie nie powinni być razem za wszelką cenę. Wszyscy bylibyśmy szczęśliwsi, gdybyśmy zrozumieli to wcześniej. Teraz wiem, że można udawać przed wszystkimi wokół, ale dziecko zawsze widzi, jak to wygląda naprawdę... Zrozum, miałem dwadzieścia cztery lata i nagle wszystko musiałem podporządkować wam. Musiałem dzień w dzień chodzić do pracy, której nie znosiłem, a w nocy słuchać twojego płaczu i krzyków żony, która zawsze była mną rozczarowana. Ja się już nie liczyłem wcale, moje marzenia i plany nikogo nie obchodziły... Wiem, że teraz masz do mnie wielki żal, ale naprawdę uważam, że już wystarczy. Kiedyś starałem się dać z siebie wszystko i nigdy

nie wychodziło, twoja matka zawsze była zawiedziona. Wiedziałem, że muszę coś zmienić. Bo za pięć lat byłoby tak, że nagle ląduję w szpitalu i przed śmiercią mogę tylko powiedzieć: „Żałuję wszystkiego”. Niech chociaż ta jedna sprawa będzie wyłącznie moim wyborem: jestem nieszczęśliwy i odchodzę. Wiem, że nie jestem już młody, a gadam i wyglądam jak gówniarz, ale to nieważne. Trzeba żyć tak, żeby mieć się do czego uśmiechnąć. Cierpienie wcale nie uszlachetnia. A nie ma niczego bardziej wyczerpującego niż codzienna walka z osobą, którą się kochało. Rozumiesz, Agata? Nie ma nic gorszego.

– Wiem – odparła, chociaż nie myślała już wcale o nich, tylko o sobie.

Dlaczego zawsze uzależniała wszystko od obecności tej drugiej osoby? Dlaczego próbowała się dopasować, zamiast po prostu zrobić tak, jak jej się podoba? Zupełnie jak wtedy, gdy stojąc na basenie, na tej zdecydowanie zbyt wysokiej wieży, słysząc w dole chichot koleżanek, mając za sobą tego sadystycznego idiotę, który trzy lata później został zwolniony za znęcanie się nad dziećmi podczas zajęć... Czemu skoczyła i przeżyła traumę? Zamiast jeden raz się postawić, powiedzieć psychopacie „spierdalaj”, pokazać koleżankom środkowy palec i mieć gdzieś, co sobie pomyśla, przecież i tak nigdy ich nie lubiła.

Wylogowała się z immersjonetu i wyszła ze sklepu, który kiedyś był jej ulubioną dyskoteką. Później – o czym nie mogła wiedzieć – po bombardowaniu miasta, stanie się stertą gruzów i nikt już nie będzie pamiętał, że okoliczne dzieciaki zakochiwały się tu, piły pierwszy alkohol, paliły pierwsze papierosy, a czasem robiły coś, co miało zaważyć na całej ich przyszłości.

Miejsca nie miały znaczenia, Agata wcale nie musiała tu wracać, żeby sobie o tym przypomnieć. To wszystko nadal tkwiło w jej głowie, wystarczyło odblokować potok wspomnień i nie dać się porwać nurtowi.

Ksawery

Nie było już wątpliwości – nikt poza Ksawerym nie wierzył w *Klasyków Taniej Książki*, żaden redaktor ani recenzent wewnętrzny nie kupił opisu życia ludzi skazanych na niewidzialność. Kolejna odpowiedź odmowna była niczym pieczętka, potwierdzająca literacką bezużyteczność Ksawerego. Tym razem redaktor zapoznał się chociaż z nadesłaną powieścią, ale lepiej by było, gdyby tego nie zrobił, skoro odpowiedź zaczynała się od zdania: „Szanowny Panie, to jest odrobinę w stylu Szymona Mierzwę, ale niestety zabrakło talentu”.

Ten wieczór spędził więc upijając się na smutno wódką, jak w starych dobrych czasach studenckich, do których najchętniej by wrócił i puścił je sobie na loopie.

Potem przez wiele godzin upajał się psychodelicznymi aplikacjami, od których zdrętwiał mu mózg. Tak długo gapił się na twarz demona, w którego trzecim oku była twarz demona, aż doszedł do wniosku, że musi sprawdzić, czy ktoś nie siedzi mu w czaszce i tym wszystkim nie steruje.

Różowy balonik znów zaczął go kusić.

– A ty tu czego?! – rzucił gniewnie, ale po chwili zatonął w marzeniach. Ledwie wczoraj zdejmował zębami podwiązki, a wtedy ona, ta nieśmiała pielęgniareczka...

Nie mógł się powstrzymać. Już tego nie kontrolował. To był odruch, wszelki opór stawał się bezcelowy.

Drżącymi palcami szarpnął za sznureczek i kurtyna ścian opadła. Był na rajskiej wyspie, biały piasek pod stopami, a z morskiej piany wyłoniła się ona: jasna skóra, rude włosy, które odgarniała z czoła, uśmiechając się zalotnie.

– Wiedziałam, że wrócisz – wyszeptała mu do ucha, a potem pozwoliła rozwiązać sobie bikini. Był tak podniecony, że nawet nie usłyszał brzęknięcia kasy w tle, gdy aplikacja ściągnęła mu z karty dwieście coinów.

Patrzył w jej oczy i tak bardzo jej pragnął, że dałby sobie wyczyścić całe konto, byle tylko została z nim na zawsze, właśnie tu, na tej wyspie. Mógłby umrzeć ze szczęścia, gdyby to była prawda...

Tuż przed północą był już w takim stanie, że równie dobrze mógłby być martwy. Dokończył flaszkę i nagle zaświtała mu pewna myśl. Wcale nie musiał być zwyczajnym gnojem i oszustem. Miał szansę odkupić swoje winy, częściowo zmasać porażki, wynagrodzić tak fatalne wychujanie bliskich mu osób. Może to zrobić, czyniąc wreszcie coś dobrego. Coś, co być może ocali związek jedynych przyjaciół, jakich miał, a nawet zdoła umocnić go na wiele lat.

W zupełnym amoku, szarpiąc palcami wargi i drapiąc się po policzkach, Ksawery włączył komunikator i połączył się z Mateuszem.

– Mati, kutasie, wygrałeś! Dam ci te kody. Dam ci kody do trzech RamReplayów, których używałem. Ale nie za darmo.

– Dobra, mów dalej – rzucił sennie tamten, już wiedząc, że teraz jego startup wybuchnie w coś naprawdę gigantycznego.

– Wybuchnie do tego stopnia, że spopieli wszystko wokół – powiedziałem do zamrożonych w czasie mężczyzn, zupełnie jakby mogli mnie usłyszeć i cokolwiek zmienić.

Damian

Cały się trząsał. Nie dlatego, że był aż tak podekscytowany swoim jednoosobowym śledztwem. Po prostu było mu zimno i źle.

Stał przed klubem Studio, w samym środku przesiąkniętego deszczem miasteczka AGH, w ciągnącej się przed wejściem kolejce starając się wypatrzyć Kubę. Nie było to łatwe, bo na żywo widział go przecież ledwie raz, a w immersjo każdy wygląda jednak inaczej niż w realu, nawet jeśli nie przerabia każdego klipu i każdej holografii. Po prostu na fotkach, holkach i filmikach wszystko jest upozowane, sama obecność obiektywu skierowanego w naszą stronę – a od czasu wejścia lensów na rynek każde oko mogło być obiektywem – wymuszała natychmiastowe założenie maski.

Damian ewidentnie sobie nie radził. Wszyscy wokół wyglądali tak samo – lśniące w deszczu ludzkie plamy. Odpalił apkę porównującą twarze przemokniętych koncertowiczów z kilkoma ujęciami Kuby z jego profilu. Powinno pomóc w identyfikacji, choć w tak trudnych warunkach pogodowo-oświetleniowych darmowa aplikacja mogła wyświetlić błędne rezultaty.

Najgorszym wrogiem Damiana była teraz jego pamięć. Widząc tłum przed klubem, natychmiast wracał we wspomnieniach przed zbliżony kształtem klub Kwadrat. Jednocześnie z całą mocą wracała tamta trauma: widok Conora wbijającego sobie nóż w serce, a potem eksplozja przygniatająca go do podłogi – i leżącej na niej Agaty. Wracała też myśl, że powinien zrobić znacznie więcej. Tylko co? Wrzeszczeć, żeby wszyscy uciekali z sali, bo on... ma doła? Jego przeczucia bywały tak mgliste, dotyczyły nieraz rzeczy tak odległych w czasie, że trudno było na ich podstawie kogokolwiek ostrzec. Jakby tego było mało, najbliższa mu osoba wyznała, że jego wizje to zwykłe urojenia. Agacie nawet nie przyszło na myśl, że przewrócił ją na ziemię dwie, trzy sekundy przed wybuchem, że zasłonił ją własnym ciałem. Ona była absolutnie przekonana, że to eksplozja

ich przewróciła, tyle że on upadł na nią, zaliczając miękkie lądowanie, gdy tymczasem Agata na tyle mocno się poobijała, że kompletnie ją zamroczyło. Stwierdziła potem, że nie była na tyle okrutna, by mówić mu o tym wprost, ale on nie miał żadnego daru, był po prostu chory. Wymyślił sobie te zdolności, bo nie mógł uwierzyć, że tak ogromne cierpienie może nie mieć sensu. Sama siebie oszukiwała, że jest inaczej, ale taka była prawda. Nie był w stanie odpowiedzieć. Stał tak, bezsilny i wściekły, zaciskając pięści, aż ją tym przestraszył. Ona nie może mieć racji, powtarzał w myślach, to wszystko ma sens i ja go wreszcie dostrzegłem. To przecież nie było tak, że swoją wersję wydarzeń tworzył zawsze post factum, starając się dopasować to, co się wydarzyło, do tego, co w swoich majakach widział. Przecież przy takim założeniu nie byłby wcale ostatnią Kasandrą umierającej planety, a kimś, z kogo własna rozpacz zrobiła potwora. Ta myśl wiodła w szaleństwo. Musiał ją odrzucić.

Tłum zdawał się gęstnieć. Choć Mount Eerie nie dorównywało popularnością Smithowi, na ich koncert przybyło tak liczne grono, że nawet Damian był zdziwiony. Najwyraźniej chorobliwie smutna muzyka znalazła się obecnie na największej fali od śmierci Cobaina. Rozpacz nie była nigdy materiałem łatwym do sprzedania, ale w ostatnich latach istniało na rynku zwiększone zapotrzebowanie, przez analityków wiązane z potrojeniem w początkowych dekadach dwudziestego pierwszego wieku liczby osób cierpiących na depresję.

Wodząc wzrokiem po zebranych, Damian zastanawiał się, jak w takiej zgrai rozpoznać potencjalnego terrorystę, potencjalnego zamachowca samobójcę. Nikt tu nie wyglądał, jakby trzymał bombę w plecaku. Tak naprawdę jedyną osobą zachowującą się podejrzanie był on sam – tropił Kubę, walcząc z narastającym rozkojarzeniem. Cóż to za prorok, który boi się patrzeć innym w oczy?

Mgła nie była jeszcze tak gęsta, by uniemożliwić zadanie, deszcz nie zacinał aż tak bardzo, by musiał uciekać pod dach, ale ten wieczór i tak stał się dla Damiana czymś niemal komicznym, jakby zabłądził na planie filmu o melancholii.

Próbując zmienić desperację w żart, przełączył lensy na paletę czarno-białą, odpalając w słuchawkach popularny tryb noirowego detektywa, komentującego otoczenie w czasie rzeczywistym:

– Zmrużył oczy i rozejrzał się po miejscu zbrodni. Ktoś pousuwał tym biednym przygląpom kręgosłupy, nawet umierając nie zdawali sobie sprawy, że są ofiarami. Damian doszedł do wniosku, że trza mu mocnego fajka...

– Od lat nie palę – zauważył szeptem Damian.

– Pomyślał tak – podjął znów narrator – choć od dekady nie miał w ustach szluga. To cholerne miasto, pełne mrocznych sekretów, zaczęło rzucać mu się na mózg.

Damian uśmiechnął się krzywo i ruszył na koniec kolejki. Wyszukiwarka dała zero wyników, Kuba albo był już w środku, albo w ogóle nie zamierzał się pojawić. Jednak odwrotu nie było. Damian odszedł z pracy, stracił Agatę, coinów miał już tak mało, że za miesiąc nie będzie jak zapłacić za mieszkanie. Nie myślał o przyszłości, całą uwagę skupiał na tym, żeby chociaż w tej jednej kwestii mu się powiodło. Instynkt podpowiadał, że to wszystko się łączy: kształt węża widziany w snach był wytatuowaną literą S, zupełnie jak u Kuby. A ona z kolei łączyła się z hasłem systemkill. Czy to ta organizacja doprowadzi świat do upadku? Jeśli Damian dobrze odczytał widziane znaki, jest na właściwej drodze. Najprawdopodobniej będzie to właśnie Kuba, a on go zatrzyma i nic złego się nie stanie. Jeśli jednak to przeczucie okaże się urojeniem, to koniec. Wtedy przyzna rację Agacie. Nie będzie dłużej walczył.

Po półgodzinnym czekaniu w kolejce i wysłuchiwanie kolejnych one-linerów narratora Damian w końcu znalazł się w środku.

– Tłok niczym w burdelu w dzień wypłaty – rzucił mu w ucho detektyw, a Damian przewrócił tylko oczami, wyłączając tym samym aplikację.

W porównaniu z koncertem Smitha ten był zdecydowanie słabiej strzeżony. Na bramce stał jeden ochroniarz, pobieżnie machający skanerem nad każdym z wchodzących – nawet nie udawał, że lubi swoją pracę. Co, gdyby tu także wszedł desperat z ładunkiem wybuchowym? Organizatorzy naprawdę nie mieli wyobraźni.

Chwilę później, gdy Damian zmierzał do szatni klubu, po raz pierwszy zobaczył holograficzny wykrzyknik wiszący nad głową mężczyzny oddającego skórzaną kurtkę i biorącego numerki, ledwie pięć osób w kolejce przed nim. Według aplikacji wyszukującej to na dziewięćdziesiąt cztery procent był właśnie Kuba.

Na żywo sprawiał wrażenie zupełnie innej osoby niż ta, która wyłaniała się z jego wirtualnych odbić. Jego uśmiech nie był wcale taki spontaniczny i radosny, raczej złowieszczy. Kojarzył się z wilkiem w owczej skórze, który pojawia się w takich miejscach z zupełnie innych powodów niż pozostali.

Ten dysonans momentalnie zbił Damiana z tropu. Wielokrotnie zastanawiał się, co mogło skłonić tego gościa do udziału w zamachu, i wyciągał wnioski, które wydawały się niespecjalnie racjonalne. Po pierwsze mogła istnieć wśród fanów Conora Smitha swego rodzaju sekta, jakiś samozwańczy odłam, który kochał artystę tak bardzo, że chciał go wreszcie wyzwolić od życia. Wierzyli, że jest kimś w rodzaju zbawiciela i dopóki nie umrze, jego los będzie tylko pozbawioną sensu torturą, która fanom przynosi wprawdzie cudowne dary, ale dla twórcy jest nieznośna. Po drugie mogła to być specyficzna forma poświęcenia osób rzekomo winnych. W tym wypadku udział Kuby sprowadzałby się jedynie do pomocy. Czemu jednak oprócz noża na sali znalazła się także bomba? Oficjalna wersja policji głosiła, że sprawca, niejaki Krzysztof Balicki, był – owszem – psychofanem Smitha, ale dosyć specyficznym: zaczął on bowiem obwiniać artystę o doprowadzenie do samobójstwa jego ukochanej siostry, która podobnie jak wiele innych osób pogrążonych w depresji leczyła się dołującą muzyką. Wyszalenie się w powietrze na koncercie było specyficzną formą zemsty, tyle że Damian nie wierzył w oficjalną wersję. Jego zdaniem sprowadzenie noża w sercu i następującego tuż po nim wybuchu do zbiegu okoliczności było uproszczeniem świadczącym o lenistwie śledczych. Po trzecie wreszcie można było jako odpowiedzialnego wskazać samego Conora Smitha. Miał dość, chciał się ostatecznie z tego świata wypisać, a że poza sceną był za dobrze pilnowany, jedyną szansą było skończyć ze sobą na koncercie, najlepiej w kraju takim jak Polska, gdzie zawsze ktoś coś zawali, czegoś nie dopilnuje, więc każde wydarzenie w prosty sposób może przekształcić się w

katastrofę. Namówił wiernego fana do podrzucenia ostrego narzędzia, a inny fan, we wszystko wtajemniczony, chciał odejść razem z idolem, więc się wysadził. Tylko jak niby Smith miałby przygotować to i ustalić wcześniej, skoro był pod obserwacją? Jedyne nie do końca kontrolowane przekazy mógł zawrzeć w piosenkach, może tych najbardziej enigmatycznych, z poprzedniej, eksperymentalnej płyty. To za ich pomocą wydawał słuchaczom polecenia? Takie myślenie nie tylko ocierało się o paranoję, ale po prostu nią było.

Co zatem wydarzyło się naprawdę?

Kątem oka patrząc na Kubę, oddał przemoczoną kurtkę do szatni. Tamten przyszedł tu sam, ale po chwili dołączył do niego jakiś starszy facet w obcisłej czarnej koszuli i spodniach rurkach, uszytych zupełnie jak dla zagłodzonej modelki. Zapadła twarz mężczyzny przypominała czaszkę, a uśmiech tylko podkreślał przerażającą trafność tego porównania. Dał coś Kubie, a potem uściśnął mu rękę i poklepał go przyjacielsko po plecach. Zanim Damian zdążył podejść bliżej i cokolwiek usłyszeć, panowie się rozeszli.

Damian ruszył za Kubą do głównej sali, gdzie support Mount Eerie w postaci polskiej alternatywnej kapeli Czysta Niesprawiedliwość już grał coś w rodzaju shoegazowej ballady.

Wtedy dopiero spostrzegł, że z twarzy tamtego zniknął zawodowy uśmiech, a pojawił się grymas czystego wstrętu.

Ksawery

W robocie kazali mu wziąć tydzień wolnego, zgodnie z „zaleceniem” szefa. Tak naprawdę po tym, co powiedział, czuł, że jest na wylocie. Może i dobrze, skoro jakoś dogadał się z Matim. Szefostwem lokalnego oddziału CyberArts po prostu gardził, przyjeby z zacięciem do robienia kasy, bez jakichkolwiek talentów czy choćby zrozumienia dla tego, co czyniło branżę wyjątkową. Póki robił swoje, udawał, że nie istnieją, ale teraz, gdy próbowali narzucić całemu zespołowi swoje kuriozalne pomysły, stwierdził, że nie ma sensu przedłużać agonii.

Tydzień luzu... Jak zbawienie. I co on najlepszego zrobił z tym tygodniem? Pięć dni roztrwonił na pornole i wirtualne ćpanie. Poszło tysiąc czterysta coinów, większość na tripowe apki, przez które na dobre stracił poczucie rzeczywistości. Był już aplikantem jak się patrzy, gdy późną nocą zdejmował lensy i kładł się spać, wrażenie depersonifikacji było tak potężne, że łąził po ścianach. Patrzył na swoje ręce i dziwił się, że potrafi nimi poruszać. Przecież to nie były wcale jego kończyny, na sto procent, przez ostatnich dziesięć godzin był mechanicznym krabem, który rozszarpywał wrogów na strzepy w steampunkowej wersji Polski. Na sześciu metalowych odnóżach kroczył przez spowite smogiem miasta, komputery działały w tym świecie na węgiel, tak jak osobowe drony i samochody, a człowiek bez maski po wyjściu na ulicę w ciągu kwadransa miał zwęglone płuca i zaczynał się kruszyć niczym czarny posąg. Apkę wymyślił zespół z Gliwic i to był, kurwa, strzał prosto w trzewia rynku, sześćdziesiąt tysięcy ściągnąć w pierwszym tygodniu, średnia opinii na metakrytykach na poziomie osiemdziesięciu pięciu procent. Ksawery był mechakrabem i było mu z tym cudownie, więc na chuj miałby akceptować swoją ludzką postać?

Nawet później, starając się zamknąć powieki, Ksawery wyobrażał sobie, jak oczami na szpytkach przebija szybę uzbrojonej furgonetki, a potem

wwierca szczypcę w paskudnego delikwenta, który posłał mu serię z uzi, dziurawiąc pancerz w wielu miejscach.

Jakby tego było mało, wirtualny seks drenował konto coraz bardziej. Ksawery postanowił więc zrobić niewielkie obejście – zamiast płacić każdej bogini klasy premium z osobna, zasubskrybował sobie wieczorne życie aktora porno, Marvin Longa. Prawdziwa oszczędność, że też nie pomyślał wcześniej! Wychodziło trzy stowy na miesiąc, nic zatem dziwnego, że już dwieście pięćdziesiąt tysięcy facetów zdecydowało się na ten krok. Seks tracił niestety spersonalizowany charakter, żadna z kochanek nie zwracała się już do Ksawerego po imieniu, żadna nie znała jego preferencji, ale był w stanie to zaakceptować.

Long stał się jego nowym idolem. Koleś wchodził do kalifornijskich klubów i wybierał, a z za jego lensów ćwierć miliona samców śliniło się w napięciu. Ksawery łąził po swoim zasyfionym mieszkaniu, potykając się o puste opakowania, ale tego nie dostrzegał, bo stał się Longiem, miał dziewięć cali i był w siódmym niebie. Tamten wyciągał ręce ku arcydziełom płci pięknej, a Ksawery przez rękawice haptyczne czuł pod palcami każdy detal ich krągłości. Spędzał noce z aniołami, które spełniały każde marzenie, a zatknięty na członka fleshlight wysysał mu duszę. Doszło do tego, że czasem patrząc w lustro, widział Longa nawet przy nieaktywnych lensach.

Pomyślał, że sprzeda to kurewskie mieszkanie, wszystko sprzeda, i kupi sobie kabinę do doświadczeń full body albo wybije sobie oczy i każe wstawić bioniczne odpowiedniki, żeby już nigdy z sieci nie wychodzić.

Wiedział, że oszaleje, ale nie miał pojęcia, jak i po co miałby to powstrzymać.

Wtedy przyszła niedziela i obudził się z myślą o nagłym nawróceniu. Dostyc plugawienia się, czas zejść z krętych ścieżek, tak, trzeba było coś w życiu zmienić. Wyjść na zewnątrz, odpocząć od VR-u chociaż na kilka godzin.

Miał mocną motywację, bo w piątkowy wieczór dostał negatywną odpowiedź od ostatniego już wydawcy, więc nie było żadnych szans na

publikację. Nie zamierzał jednak odejść bez walki. A tego dnia miało być na mieście spotkanie z jego wrogiem numer jeden.

Jednak już kilka kroków za drzwiami mieszkania Ksawery zorientował się, że przecenił swoje możliwości. Schodzenie po schodach nie było chyba najlepszym pomysłem. Zatrzymał się w połowie klatki i usiadł na stopniu. Obejrzał się za siebie i zobaczył stromą, trudną do ogarnięcia rozumem konstrukcję, na którą na pewno w najbliższym czasie nie zdoła się wspiąć. Schował twarz w dłoniach, czując, że są zimne i mokre od potu. Cały się trząsał. Nie uda mu się wrócić bez pomocy sąsiadów, a wstyd mu było prosić kogokolwiek o wsparcie, bo na podstawie jego wyglądu i zachowania domyślał się, że ktoś tu ma poważny problem z uzależnieniem. Może jak zejdzie i da radę wydostać się z budynku, to mu się trochę poprawi? Bał się, że za moment straci przytomność, a wtedy ktoś go znajdzie, wezwie pogotowie albo policję i będzie źle. Psy mogą przetrzepać jego profil, odkryć kolekcję specyfików zakupionych w darknecie, odkryć miejsca, które odwiedzał, szukając zaspokojenia. Wtedy nie wiadomo, co będzie. Może grzywna, może areszt, może kurwa odwyk od immersjonetu w jakimś zakładzie pełnym antysociowych prolajfów. Trzeba wstawać, znikać stąd, zanim zwróci na siebie uwagę.

Włożył rękę do kieszeni, szukając gumy do żucia. Ale coś było nie tak, kieszeń zdawała się głęboka jak nogawka, cała poplątana, na jej dnie jakieś dziwaczne, niepasujące do niczego przedmioty, jakieś metalowe, płaskie i ostre, inne miękkie, szeleszczące. Dopiero po chwili pomyślał: „Karta i chusteczki”. Wziął głęboki oddech i chwiejnym krokiem zszedł po tych wszystkich schodach, aż wreszcie poczuł na rozpalonej twarzy zimny powiew ulicy.

Przeszedł kilka kroków, a potem puścił pawia. I nie było to straszne, raczej absurdalne. Ksawery szedł ciężki jak swój własny pomnik, a potem nagle chlusnęło z niego na ekrany chodnika, na których momentalnie odpaliła się reklama tabletek na chorobę lokomocyjną i problemy trawienne. Poczul się lekki i zdrowy. Jakby zwrócił światu wszystkie te godziny spędzone w immersjo. Chwilę później kupił w drogerii płyn do płukania ust

i skorzystał z niego jeszcze w drodze do celu. Był to cel kulturalny, nie mógł więc wpaść na miejsce, będąc śmierdzącą rzygami bestią.

Jeszcze przed wyjściem zaplanował sobie dokładnie ten wieczór, a na kształt tych planów wpłynęła zaprawiana goryczą wściekłość. W klubie Pod Jaszczurami miało dziś być spotkanie autorskie z Szymonem Mierzwą. Ksawery uznał, że to nie przypadek, lecz konieczność dziejowa. Jemu odrzucają debiutancką powieść, a Mierzwa wkracza do Krakowa w glorii autora spełnionego. Krytyczna już wcześniej opinia o tym typku w świetle odmów, z jakimi ostatnio zetknął się Ksawery, stała się jeszcze bardziej radykalna. Samo istnienie w naszej rzeczywistości kogoś takiego jak Mierzwa, istnienie zwielokrotnione przez wysokie nakłady każdej z jego książek, stanowiło aberrację, koronny dowód na brak sensu, gustu i tak zwanego Boga.

Gdy Ksawery rozmyślał nad tragicznym losem zapomnianych bądź nigdy nieodkrytych artystów, z którymi współodczuwał na całej przestrzeni *Klasyków Taniej Książki*, jednocześnie zdając sobie sprawę, że taki Mierzwa zbija majątek, poklepywany i oklaskiwany przez wszystkich, którzy stanęli na jego drodze, zaczynał wrzeć i ogarniała go żądza mordy. Teraz postanowił przystąpić do działania.

Zrobi to. Może nie zabije, może nie poderżnie gardła, krzyząc: *E viva l'arte*, ale... przyjdzie na spotkanie z Mierzwą i mu wygarnie. W tłumie skurwiałych przyklaskiwaczy i potakiwaczy ujawni smutne fakty, które zebrany momentalnie staną ością w gardle. Myśląc trzeźwo, bałby się tak postąpić, ale teraz nie bał się niczego. Bo co może go w najgorszym razie spotkać? Wstyd i kompromitacja? Świat był wstydem i kompromitacją. Pobicie przez fanów Szymona? Ból nie jest groźny, niech go leją, aż będzie siny i nieprzytomny, przynajmniej zacznie czuć cokolwiek poza wściekłością.

Na spotkaniu pojawiło się ledwie trzydzieści osób i nie były to tłumy, jakich Ksawery oczekiwał. Szymon Mierzwa zdawał mu się postacią, do której najbardziej pasuje określenie: oślizgła. Jak gad, padalec. Przerośnięta jaszczurka w drogiej koszuli. Na zdjęciach i klipach wydawał się elegancki w jakiś taki wyrachowany sposób, zupełnie jakby próbował nachalnym

wizerunkiem przykryć jakieś mroczne tajemnice z przeszłości. W wypowiedziach zawsze zajmował takie stanowisko, które niektórym wydawało się całkiem rozsądne, a innych oburzało, dzięki czemu wszystkie artykuły o Mierzwie albo wywiady z nim mogły w immersjonecie liczyć na ogromną liczbę komentarzy i kliknięć. O jego opiniach można było powiedzieć wiele, tylko nie to, że były szczere. Sprawiały wrażenie przemyśleń kogoś, kto przez cały czas analizował, jaka wypowiedź będzie na tyle polaryzująca, by odbiorcy mogli się nią najbardziej zainteresować. A jego twórczość? Ksawery przeczytał wszystkie cztery książki Szymona – trzy powieści i debiutancki zbiór opowiadań – wychodząc z założenia, że wroga trzeba poznać. To była proza tak nieautentyczna i wysilona, że tylko naiwni mogli się na nią nabrać. Niestety, wszystko wskazywało na to, że tych naiwnych było sporo. To nie był żaden pisarz, tylko producent wyrobów książkopodobnych, myślał Ksawery, gdy akurat nie miał w głowie zwyczajowych obelg dla Mierzwy. Wyobraził sobie nawet istnienie odpowiedniego oprogramowania dla pisarzy, pozwalającego produkować w nieskończoność takie wyroby. Aplikacja miałaby odpowiednie miarki, które pozwalałyby procentowo określić przystępność dzieła, gładkość narracji, stopień nasycenia palącymi kwestiami społecznymi czy też szansę na powodzenie w plebiscytach czytelnicznych i przy wyłanianiu laureatów najbardziej znaczących nagród literackich. Po dostosowaniu tych ustawień przepis na odpowiednią powieść był gotowy. Obywało się bez żadnych wątpliwości, twórczych blokad, egzystencjalnych dylematów, moralnych rozterek i zawsze chwiejnych wyborów estetycznych. Prawdziwe złoto – może właśnie nad czymś takim powinni usiąść Ksawery i Mati, gdy już rozwiną skrzydła z bieżącym projektem.

Fani siedzieli spokojnie przy stolikach, czekając na wielkie wejście Szymona Mierzwy. Nie było go jeszcze. Miał zacząć o dwudziestej, ale najwyraźniej się nie spieszył. Ksawery rozejrzał się po twarzach zebranych, widząc, że niektóre pary oczu zasnuła połyskliwa mgiełka – najłatwiejsza do zauważenia oznaka korzystania z lensów. Zateęsknił za swoimi szkiełkami, choć zdjął je ledwie kilka godzin temu, tuż po odebraniu przypominajki od Matiego – małej głowy klauna, która skacząc po blacie, krzyczała:

„Poniedziałek rano, poniedziałek rano!”. Jakby tego było mało, zachciało mu się sikać. Zszedł po krętych schodkach do toalety, ciesząc się niezmiernie, że tych schodów było niewiele, a nie kilkanaście cholernych tysięcy jak w jego budynku.

Wszedł do wolnej kabiny i dopadły go wątpliwości. Co ja mu właściwie powiem? Jaką wypowiedzią zdołam zrównać Mierzwę i jego zwolenników z asfaltem? Co właściwie mam mu do zarzucenia? Poza tym, że go nie lubię, a na sukcesy zasłużyłem sto razy bardziej od niego? Przecież mnie wyśmiejają. Muszę pomyśleć nad mocniejszymi argumentami...

W sąsiedniej kabinie usłyszał wypowiedziane szeptem przekleństwo i mocne pociągnięcie nosem. Ktoś tu chyba ładował właśnie jakiś mocniejszy towar, pomyślał Ksawery i od razu poczuł więź z tą osobą: pewnie inny czytelnik, który też nie cierpi Szymona i na trzeźwo tego spotkania autorskiego po prostu nie przetrwa. Uśmiechnął się na myśl o swoim nieświadomym współniku w nadchodzącym artystycznym przewrocie. Chociaż jedna osoba więcej, która nie będzie się ślinić i klaskać, gdy idiota wtoczy się na scenę.

Wyszedł z kabiny i zaczął myć ręce. Przez szum wody usłyszał zduszony okrzyk. Obrócił się niepewnie za siebie. W tej kabinie ktoś płakał.

– Ja już nie dam rady... Błagam, przemyśl to jeszcze... Nie zostawiaj mnie tak... Wcale tak nie myślę. Musiałem to powiedzieć, bo nagrywali... Przepraszam... Strasznie cię przepraszam...

Odgłos spuszczonej wody zagłuszył kolejne słowa. Ksawery odwrócił się, patrząc na własne odbicie. Jakież było jego zdziwienie, gdy w lustrze dostrzegł, że z kabiny obok wyłania się właśnie Szymon Mierzwa, rozglądając się nerwowo dookoła. Ksawery starał się na niego nie gapić, choć było to trudne. Tamten nie wydawał się ani trochę zwycięzcą literackiego maratonu, prezentował się bardziej jak ktoś, kogo do nieprzytomności sponiewierał już drugi czy trzeci kilometr, i gdy pozostali pognali naprzód, on wstaje chwiejnie z jezdni i z rezygnacją kręci głową, wiedząc, że do mety nie dotrze.

Agata

Zostało jeszcze tylko jedno miejsce, które piętnaście lat temu oprócz domu rodzinnego było zdecydowanie najważniejsze. Szkoła. Liceum ogólnokształcące. Wprawdzie nie przeżyła tam nigdy aż takiej traumy jak niektórzy koledzy czy koleżanki, ale i tak przebywanie w tym przybytku i wśród tamtych ludzi, teraz, z perspektywy czasu, przypominało ciągnące się w nieskończoność pranie mózgu. Od tamtych dni trochę się zmieniło, co było widać na pierwszy rzut oka – jednopiętrowy kompleks budynków w kształcie leżącej litery E odnowiono tak z zewnątrz, jak i w środku.

Agata nie należała do osób, które nienawidziły szkoły całym sercem i na każdym kroku obnosiły się ze swoim buntem i pogardą dla tej instytucji, jednak dość często odczuwała potrzebę ucieczki. Miała wrażenie, że nastoletniość to okres, podczas którego wszyscy wokół chcą zniszczyć dziecko wciąż tkwiące w tobie, zetrzeć z powierzchni ziemi twoje całe dzieciństwo, rzeczy, w które wtedy wierzyłaś, i wszystkie marzenia. Nie chciała zostać już na zawsze jedną z tych naiwnych, dziecienniałych kretynek, ale była pewna, że jakąś część dziecka należy w sobie zachować, bo dorosłość tak czy inaczej odrze nas ze złudzeń. Widząc nieustanne potyczki swoich rodziców, wiedziała, że nigdy, przenigdy nie może stać się taka, ale nie może też zawiesić się na obecnym poziomie wielu koleżanek z klasy, dla których najważniejsze było plotkowanie o chłopakach, wieczorne wypady i obgadywanie konkurentek za plecami. Musiała istnieć jakaś trzecia droga, przejście gdzieś pomiędzy, Narnia niewymagająca noszenia ze sobą szafy. Uciekała więc, gdy tylko miała okazję, w kino i literaturę. Kolega nauczył ją ściągać z sieci najnowsze filmy, więc często późnymi wieczorami, gdy rodzice już spali wyczerpani po kolejnej awanturze, leżała z laptopem na brzuchu i oglądała coś, o czym większość znajomych z klasy dowie się dopiero przy okazji polskiej premiery, o ile w ogóle. Nowe książki kupowała, gdy tylko miała pieniądze, często też chodziła do bibliotek, miała

kartę założoną w każdej, wszystkie bibliotekarki w mieście znały ją świetnie i wiedziały, co polecać i na co najbardziej czeka. Jej ulubionym filmem była *Erin Brockovich* z Julią Roberts. Też chciała zostać kobietą, która będzie umiała postawić na swoim. Nigdy nie widziała siebie jako osoby słabej, tak łatwo poddającej się wpływom aktualnych partnerów. Czuła, że jako siedemnastolatka wstydziłaby się kobiety, którą się stała.

Szła przez szkolne korytarze, jakby zwiedzała osobliwe muzeum. Doskonale pamiętała, jak sama zaczynała pierwszą klasę i osoby chodzące do ostatniej, które przecież miały zdawać maturę, wydawały jej się już strasznie dorosłe, gotowe robić w życiu wszystko to, co dzieciaki uważają za nudne. Kiedy jednak sama była w klasie maturalnej, nie tylko nie miała pojęcia, czym chciałaby się w życiu zajmować i jak je sobie ułożyć, ale widziała też, że praktycznie wszyscy mieli ten sam problem. W gruncie rzeczy umysłowo nadal pozostali dziećmi, tyle że teraz mogli legalnie pić alkohol i palić papierosy, zostawać na imprezach do rana, choć jeszcze dwa, trzy lata wcześniej za coś takiego dostaliby szlaban. Pewni tego, jakie studia wybrać i jaką ścieżką zawodową podążać, byli wyłącznie ci, za których decyzję podjęli rodzice. Dzieci dentystów szły na stomatologię, prawników – na prawo, a inżynierów – na któryś z kierunków na AGH. Czy osoby, za które ktoś inny podjął tak kluczową decyzję, mogli w przyszłości czuć się spełnione? Agata miała poważne wątpliwości. Sama nie miała żadnego pomysłu, co robić i w którą stronę podążać. Na administracji wylądowała trochę przypadkowo. Większość jej rówieśników dręczyły podobne dylematy. Nikt nie wiedział, kim chce być, skoro mógł zostać właściwie kimkolwiek.

Przypominając sobie własną klasę jako zgraję hałaśliwych dzieciaków, które żyją od przerwy do przerwy, od weekendu do weekendu, Agata doszła do wniosku, że to wszystko jest jakoś potwornie źle poukładane. Skąd te rozwrzeszczane gnojki mają wiedzieć, jaki kształt nadać swojej przyszłości? Myśląc teraz o wszystkich tych lekcjach i przedmiotach, z których nie zapamiętała praktycznie niczego, stwierdziła, że szkoły powinny uczyć rzeczy praktycznych i potrzebnych, a przede wszystkim takich, które mogą ocalić. Jak sobie radzić, wchodząc w dojrzałość, jak nie powiełać błędów

rodziców i do setek ich pomyłek nie dodać jeszcze długiej listy własnych. Jak być z drugim człowiekiem, jak się z nim dogadywać i nie zagryzać dzień po dniu. Jak radzić sobie z dziećmi, jak je wychować. Jak radzić sobie ze stratą, rozczarowaniem, ciężką chorobą i śmiercią. Jak żyć, nie gardząc samym sobą i wszystkimi wokół. Tak, to byłoby znacznie bardziej „ogólnokształcące” niż polski, matematyka, chemia czy biologia.

Uśmiechając się do swojego pomysłu, ruszyła korytarzem do szkolnej biblioteki, w końcu to właśnie w niej najczęściej lądowała, gdy nie miała już pojęcia, co ze sobą począć. Była ciekawa, czy nadal pracuje tam ta sama pani, co za jej czasów. Nie była aż taka stara, obecnie miałyby pewnie sześćdziesiąt lat, nie więcej.

Po drodze mijała uczniów, którzy właśnie wychodzili na przerwę. Po pierwsze było ich o połowę mniej niż kiedyś, teraz co drugi wybierał naukę w immersjonecie, wirtualne klasy bez wychodzenia z pokoju, zdalne zaliczanie klasówek, przepytywanie przez awatary nauczycieli. Po drugie nawet ci, którzy przychodzili do szkoły, wydawali się nieobecni – zblazowani szli w kierunku ławek, oczy mieli srebrzyście połyskujące od lensów, na których w tym samym momencie, gdy tylko rozbrzmiewał dzwonek, aktywowali ulubione doświadczenia albo gry. Nikt z nikim nie rozmawiał, chyba że akurat mamrotał coś do mikrofonu, grając z kimś w sieci.

Jakiś chłopak nagle uniósł ręce w górę i wrzasnął na całe gardło: „Gool!”. Agata od razu zrozumiała, że miał wykupioną subskrypcję jakiegoś piłkarza, który właśnie zdobył bramkę. Kamery nie tkwiły już na trybunach, piłkę śledziło się oczami grających, a z odpowiednią przystawką można było nawet czuć zapach ich potu. Po co w ogóle wbiegać na boisko i uczyć się od podstaw, skoro można w ciałach gwiazd sportu wkraczać na murawy najśłynniejszych stadionów?

W czasach Agaty mogli najwyżej gapić się w ekrany prymitywnych komórek, szukając lepszego zasięgu. O nauce z domu w większości przypadków w ogóle nie było mowy.

Wnętrze szkolnej biblioteki, podobnie jak i całą szkołę, odnowiono niemal nie do poznania. Między regałami stały teraz wygodne fotele, a na

jednej ze ścian wisiał cieniutki holopanel. Za biurkiem siedziała dziewczyna mniej więcej w wieku Agaty – widać tamtą sympatyczną panią zastąpiono młodszym i obdarzonym większą urodą modelem. Dziewczyna popatrzyła na Agatę i uśmiechnęła się. Miała kręcone włosy i okulary w modnych, czarnych oprawkach. Dopiero po chwili Agata zrozumiała, że dziewczyna wcale jej nie zauważyła. Okulary były tak naprawdę starym modelem gogli MagicLeap_2.0, na którym parę lat temu testowano immersjonet w jego pierwszej, mocno okrojonej wersji.

Na środku stał stolik z najpopularniejszymi wśród uczniów tytułami. Nadal leżały tam wszystkie tomy *Harry'ego Pottera*, zupełnie jak wtedy, gdy uczyła się tu Agata. Nie miała wątpliwości, że czytanie zeszło na dalszy plan, zwykłe litery na papierze nie bawiły tak, jak cuda oferowane przez immersjo. Mimo że część wydawców decydowała się na modne dodatki – kody QR uruchamiające animowane ilustracje, skórki na awatary z wyglądem bohaterów powieści i tak dalej – te książki tutaj wyglądały na nietknięte, żadnych oślich uszu czy podkreśleń. Patrząc na nowe wydanie serii, na twarde oprawy z pięknymi grafikami, Agata zaczęła rozmyślać, jaką czarodziejką mogłaby być, gdyby obdarzono ją mocą władania magią. I jaką dziewczyną byłaby Hermiona, gdyby wszyscy wokół byli tacy nieszczęśliwi i zupełnie się nie dogadywali, a wycelowanie w nich różdżki byłoby równie bezsensowne jak wszystkie inne powodowane dobrymi chęciami starania.

Ksawery

Plan wielkiej zemsty na całym literackim świecie wydawał się w tym momencie czymś komicznym.

Ksawery siedział nieruchomo na niewygodnym drewnianym krześle, po drugiej stronie stolika mając całkiem interesującą laseczkę, której nie widział nigdy wcześniej: brunetka o delikatnych rysach i włosach do ramion, w skupieniu pochylona nad holotabem, w którym prawdopodobnie coś zapisywała.

Szymon siedział w ustawionym na scenie fotelu i znów był tą postacią, której Ksawery nienawidził od lat. Problem w tym, że była to jednak tylko kreacja, rola, którą Mierzwa starał się odegrać publicznie, prywatnie będąc płaczącym frajerem, chowającym się w kiblu przed spotkaniem z czytelnikami. W jaki niby sposób Ksawery miał teraz patrzeć na niego jak na złego demiurga współczesnej literatury, ucieleśnienie wszystkich grzechów rynku, skoro zobaczył prawdę? Mierzwa nie pociągał za żadne sznurki, co najwyżej pociągał nosem w samotności. Nie mógł kontrolować nawet własnego życia, w sumie podobnie jak Ksawery.

Cała rzeczywistość z coraz większym rozmachem spływała w kanał, ale Ksawery dopiero teraz zaczął brać pod uwagę możliwość, że wcale nie jest to odgórnie sterowany proces czy wykonywany punkt po punkcie plan. Nikt nie nadzorował tego coraz szybszego upadku, nie było na kogo zwalić winy za błędy.

– Na początek pytanie najbardziej banalne i pewnie najbardziej wkurzające: skąd wziął pan pomysł na swoją nową powieść?

Szymon uśmiechnął się ni to uwodzicielsko, ni to ze zmieszaniem, i rozejrzał spokojnie po publiczności, jakby przed udzieleniem odpowiedzi z każdym obecnym na sali chciał koniecznie nawiązać kontakt wzrokowy.

– Lepiej faktycznie zaczynać od spraw wkurzających, żeby te przyjemne zostawić na sam koniec – odpowiedział, w wystudiowanym geście

rozkładając ręce, i kilku fanów zaśmiało się wtedy głośniejsze, niż to było konieczne. – A pytanie jest o tyle dobre, że pomysł na tę powieść wziął się właśnie z mojego wkurzenia, by nie powiedzieć: ciężkiego wkurwu.

Teraz zaśmiali się już prawie wszyscy, chyba jedynymi wyjątkami byli Ksawery i siedząca przy jego stoliku dziewczyna, także patrząca na Mierzwę jak na osobliwy okaz debila.

– Był to wkurw na zakłamanie ludzi mediów, niepotrafiących zdobyć się na szczerość nawet w sytuacjach pozazawodowych, osobistych, wręcz intymnych. Z tego uczucia wyklął się pomysł na książkę *Czerwony karzeł*. Pierwowzory bohaterów krążyły wszędzie wokół.

Kilka, a może kilkanaście osób zachichotało po tej ostatniej kwestii. Ksawery jednym haustem dokończył czwarte piwo i zaczął się zastanawiać nad zamówieniem piątego. Tęsknił za powrotem do domu, nałożeniem lensów i spędzeniem miłych chwil w towarzystwie pary wysokorozdzielczościowych cycków. Nie chciał już żyć w realnym świecie, nie chciał już nigdy być trzeźwy. Pomyślał, że powinien jak najszybciej odejść od CyberArtsów, nawet jeśli sami go nie wywalą. Wygarnie im bardziej, niż chciał wygarnąć Mierzwie. Każe im się jebać, a sam będzie robił wirtualne dzieci dla ludzi, którzy z radości wypłaczą mu rzekę coinów.

Siedząca obok brunetka nachyliła się w pewnym momencie do Ksawerego i powiedziała:

– Szkoda, że Szymuś nawet przez sekundę nie pomyślał o sobie.

I wtedy, mimo że na sali było już cicho, Ksawery wybuchnął śmiechem. Śmiał się nieszczerze głośno, ale i tak kilku mierzwofaszystów – jak lubił ich w myślach nazywać – odwróciło głowy i spiorunowało go wzrokiem.

Zobaczył też, że tamta dziewczyna nie tylko coś zapisywała na ekranie holotaba, ale naszkicowała też rysikiem karykaturę Szymona: mężczyzny przykutego łańcuchem do klawiatury, którego głowa jest wielką przepaloną żarówką.

– Ksawery – przestawił się jej szeptem, wyciągając rękę. – Również antyfan.

– Basia – odparła. – Alergiczka na takich kutasów... A tak swoją drogą, to myśmy się już kiedyś poznali.

Ksawery uniósł brwi, starając się sobie przypomnieć, o czym dziewczyna mówi. Był niemal pewien, że widzi ją pierwszy raz w życiu. Był pijany, ale nie aż tak, żeby niczego nie kojarzyć.

– Miałam miesiąc stażu w CyberArtsach. Mati nas sobie przedstawił.

– Kiedy to było? – wypalił, czując się, jakby alzheimer znów wyczyścił mu pamięć.

– Pół roku temu. Robiliście wtedy DiscoVR Tunnels.

Od razu przypomniała mu się tamta produkcja. Prawdziwa jazda bez trzymanki – DLC do Tunnels, jednego z większych hitów ostatnich lat – bieganie po rozrastających się tunelach, pełnych neonów, dymu i absurdalnych misji w rodzaju tańczenia na gigantycznym różnie obracającym się nad piekielnymi otchłaniami czy uciekania przed pozbawionymi twarzy ustami.

Trochę schiza, pomyślał Ksawery. W takim miejscu wpaść na znajomą z pracy, której się nawet nie pamięta.

Zamawiając sobie i nowej koleżance kolejne piwa, w pijackim widzie uśmiechał się do myśli, że to chyba pierwsza dziewczyna, która nie gapi się ze wstrętem na jego blizny ani nie ucieka, słysząc powtarzane przez Ksawerego suchary.

Może wcale nie była prawdziwa, może nieświadomie zapłacił kiedyś za coś, co właśnie teraz się aktywowało?

Damian

Nie stracić z oczu Kuby, nie zgubić go w tłumie, to było najważniejsze. Na koncert przyszło grubo ponad pięćset osób, Damian w obecnej kondycji psychicznej mógł bez trudu zgubić trop.

Support pobrzdakał czterdzieści minut, nie wzbudzając wśród słuchaczy żadnej reakcji. Po przerwie na scenie pojawiło się Mount Eerie, eksperymentalny projekt amerykańskiego producenta i twórcy piosenek Phila Elveruma. Zaczął od psychodelicznej ballady z szumami w tle *I Hold Nothing* i Damian pomyślał, że to jest o nim, bo nadal nie miał nic prócz własnych wizji czy może urojeń i trzymał się tego jak poręczy nad przepaścią.

Krążąc bacznie w pobliżu miejsca, w którym stał Kuba, zahipnotyzowany transowymi dźwiękami Mount Eerie i słowami piosenek, które były jak wnikająca głęboko w słuchaczy mgła, Damian wrócił w myślach do dnia, gdy po raz pierwszy trafił do gabinetu psychiatry. Męczył się wtedy na studiach, coraz bardziej się miotał i musiał walczyć o dosłownie każdą myśl, każdy oddech. Po rozstaniu z Matyldą czuł się jak ktoś śmiertelnie zatruty, może nawet zatruty samą śmiercią, czarnym kleksem w ciele, zmieniającym człowieka w negatyw dawnego siebie. Jedynym ratunkiem stała się muzyka, słuchał jej dniami i nocami. Gdy milkła, szum świata natrętnie wdzierał się w świadomość i nic nigdy nie mogło tego zmienić, żadne życiowe zakręty, żadne związki, przyjaźnie.

– W czym mogę ci pomóc, Damianie? – zapytał go mężczyzna o głębokich zmarszczkach i twarzy zastygłej w wyrazie wiekuistej troski. – Co się dzieje?

Jak głęboko ironiczne było to, że ktoś starający się skończyć psychologię kończył u psychiatry. W kolejnych latach on sam miał się z podobnie zawodową troską pochylać nad ludźmi, którzy zaczęli wykolejać się ze świata, choć tak naprawdę zawsze widział w nich siebie, próbując im ująć w

jakieś ramy kolejne tygodnie i miesiące, bo tak najłatwiej było wrócić do normy, akceptując powtarzalność wydarzeń i przyjmując ją z otwartymi ramionami. Ciągłe walczył z myślą, że przecież sam nie zdołał się tego nauczyć, zbyt wiele widział, zamykając oczy, a później to się działo naprawdę, jakby tragedie wychodziły mu z głowy na świat.

Chciał wtedy, lata temu, odpowiedzieć: „Nikt w niczym nie może mi pomóc”. Bo tak właśnie sądził, lecz zamiast tego odparł:

– Coś chyba jest ze mną nie tak. Życie przestało mnie obchodzić. Nie daję rady wstać z łóżka... Zupełnie jakbym umarł.

– Jak uważasz, skąd się to bierze? Co może być powodem?

– Nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że nie jestem... że nie jestem już wcale człowiekiem.

Kolejne pytanie lekarza zmieniło się w szum, z którego powoli wyłoniły się zdeformowane słowa następnej wywołującej dreszcze piosenki.

Jak dobrze, że czasami dawało się zagłuszyć muzyką ten mdlący szmer egzystencji. Innego zbawienia nie znał.

*

Kilka minut później Kuba wyszedł. Damian ruszył za nim, przekonany, że dzisiaj wieczorem ostatecznie rozwiąże tę sprawę do końca.

Kuba zniknął w toalecie, zamknąwszy się w jednej z kabin, Damian czekał na niego na zewnątrz, oparty o umywalkę. To był najbardziej odpowiedni moment, w pomieszczeniu poza nimi dwoma nie było nikogo.

Drzwi otworzyły się nagle i wtedy Kuba zobaczył Damiana. Przestał się uśmiechać. Zamarł.

– Wiem, co zrobiłeś – wypalił Damian. – Wiem, co zrobiłeś na koncercie Conora Smitha.

– Nie było mnie tam, spierdalaj – rzucił tamten i ruszył w stronę drzwi.

Damian jednak stanął mu na drodze.

– Rzucasz nóż na scenę. Na klipie w sieci. Nikt nie wie, że to ty, bo widać tylko rękę. Ale ja pamiętam, jak byłeś wtedy ubrany. Widziałem cię przed

wejściem. Poznałem po tatuażu. Litera S. Moja była dziewczyna gadała wtedy z tobą i Klaudią... dlatego cię skojarzyłem.

– Gówno wiesz – odpowiedział Kuba i spróbował go odepchnąć, ale Damian się nie dał. Był gotów walczyć, nawet gdyby miał dostać wpierdol.

– Czemu to zrobiłeś? Czemu chciałeś, żeby zginął?

– Mówiłem już, że...

– Czym jest SystemKill? Oni cię zmusili?

– Stary, kurwa...

– Dla mnie Conor Smith był najważniejszą osobą w życiu! Najważniejszą osobą na świecie!

Słyszając, że Damian był fanem Smitha, Kuba trochę się uspokoił. Zrobił krok w tył, wygładzając koszulę.

– Nie jesteś z mediów ani z branży? – zapytał.

– Jakiej branży? – zdziwił się Damian.

– To o co idzie? Zwykły koleś na tropie?

Damian spuścił wzrok.

– Ale jazda, ja pierdolę... Dobra, umówmy się tak. Jeśli chcesz się w to ładować, droga wolna. Widzimy się po koncercie. Czekaj na prawo od wejścia. Dwudziesta trzecia.

– Skąd mam wiedzieć, że nie uciekniesz?

Kuba zaśmiał się jak hiena.

– Obserwujesz mnie bez przerwy, odkąd wszedłeś. Trudno w takiej sytuacji gdziekolwiek spierdolić.

*

Damian w takim skupieniu czekał na godzinę dwudziestą trzecią, że słowa i dźwięki Mount Eerie z każdą minutą docierały do niego w coraz mniejszym stopniu, jakby sam wspinał się właśnie na jakąś upiorną górę, do punktu, gdzie muzyka z każdym krokiem milknie, aż nastanie zupełna cisza, w której trudno oddychać. Tam właśnie zmierzał, przeczuwając, że może tego nie przeżyć. Ale też licząc na to, że w ostatnich świadomych chwilach wreszcie pozna prawdę.

Nie chciał wychodzić z tłumami, wolał być jednym z pierwszych w szatni, jednym z pierwszych na zewnątrz, więc ruszył jeszcze przed bisem.

Gdy po raz ostatni obejrzał się na scenę, z głośników płynęły spokojne, kojące fale kołysankowej niemal ballady *Between Two Mysteries*:

*And the songs fade, and the singer's die,
but my heart will not stop thumping,
the shapes in the dark still look convincing,
so here I am*

Mimo wzrastającej podejrzliwości Damiana, z każdą kolejną minutą coraz bardziej pewnego, że Kuba jakoś zdoła mu wymknąć, może przez okno w kiblu albo szyb wentylacyjny, ten pojawił się na wyznaczonym miejscu kwadrans po czasie.

– Sorry, ale bis był naprawdę niezły. Elverum to geniusz – rzucił przepraszająco.

– Co teraz?

– Pójdziemy do mnie.

– Do ciebie?

– Taa. Skoro aż tak chcesz wiedzieć, co spotkało Smitha...

– Przecież tam byłem, widziałem na własne oczy.

– Widziałeś to, co chcieli. Pewnie nie będziesz zadowolony, jak już ci pokażę, ale w sumie... chuj mnie to obchodzi. Ja też nie byłem szczęśliwy, gdy ktoś mnie uświadomił. – Zmierzył Damiana wzrokiem, a widząc jego konsternację, tylko rozłożył ręce. – Naprawdę nie potrafię jaśniej. To nie jest prosta kwestia.

Potem dodał jeszcze, że mieszka na Głowackiego, dziesięć minut piechotą od miasteczka, nawet jeśli idzie się wolno. A oni nie szli wolno, Kuba sprawiał wrażenie, jakby chciał jak najszybciej znaleźć się na miejscu. Damian podążał za nim, zdołał wykrzesać z siebie tyle energii, by nie zostawać w tyle. Nie mógł uwierzyć, że znów wraca na tamto osiedle, z którym sąsiadowała jego kamienica, idąc uliczkami, po których biegał z Ksawerym... To wyglądało jak okrutny żart. W oddali widział już okno mieszkania, które kiedyś było jego całym światem – rozświetlony prostokącik pośród tylu podobnych.

Ale do tego właśnie zmierzał przez ostatnie miesiące, do tego punktu doprowadziło go własne śledztwo, nikt mu w tym nie pomógł.

Powietrze było przesycone wilgocią, z drzew skapywał niedawny deszcz. Spękany chodnik nie miał wbudowanych ekranów, Damian jednak odnosił wrażenie, że w szparach widzi pęki kabli, a może korzeni. Omijał je, mimo że pech nigdy nie omijał jego.

*

Kuba mieszkał na drugim piętrze podłużnego bloku, wybudowanego naprzeciwko ściany wypełnionej graffiti na przestrzeni co najmniej dwustu metrów, muru, za którym znajdował się niewielki, nieczynny od dawna stadion.

Weszli do środka. Na lustrze w windzie ktoś w prawym górnym rogu napisał czerwonym markerem: „Kiedyś ktoś nas pomści, a wtedy będzie wam przykro”. Gdy lustro aktywowało spersonalizowaną dla Kuby i Damiana reklamę nowego portalu z muzyką alternatywną, zapewne odczytawszy z ich kart, że właśnie wracają z koncertu, bijący od niego blask raził jak na fotelu dentystycznym.

Dla Damiana wszystko wokół zdawało się zapowiedzią czegoś niedobrego, ale próbował się upominać, że takie rzeczy najczęściej pozostają jednak bez związku z czymkolwiek. Świat nie jest wnętrzem jego głowy. Świat nie jest wnętrzem niczyjej głowy.

Kuba poprowadził go korytarzem do mieszkania. Cały czas dogadywał coś szeptem, chichocząc kretyńsko.

– W sumie nikomu jeszcze o tym nie mówiłem. Klaudia też nie miała pojęcia. Tak się nawaliła przed wejściem Smitha, że na drugi dzień nie pamiętała nawet, jak wróciła na kwadrat. Nikomu nie mówiłem, a chciałem, bo to gruba sprawa. No ale nie mogłem, zbyt duża presja. SystemKill dba o to, żeby wiedzieli tylko wtajemniczeni. Dzięki temu wszystko idzie tak, jak powinno.

Damian nie komentował. Dla niego to nie było tylko śledztwo w sprawie samobójstwa utalentowanego faceta. Dla niego to była sprawa życia i

śmierci, nic nigdy dotąd nie zaangażowało go aż w takim stopniu.

Za drzwiami z numerem dziewięć znajdowała się niewielka kawalerka, wyposażona jednak w sprzęty kosztowne, wręcz ekskluzywne. W centralnym punkcie pokoju stała ogromna immersjokabina, zapewniająca tak zwane full body experience – wejście do sieci na poziomie wszystkich zmysłów, za pomocą całkowitej deprywacji sensorycznej od rzeczywistych doznań. Za nią znajdowała się czarna wieża z zestawem wysokich na ponad metr kolumn. Obok niej, na kilku sporej wielkości stojakach, zobaczyć można było kolekcję tysięcy oryginalnych winyli i kompaktów, jak w jakimś muzeum muzyki współczesnej. Damian nigdy jeszcze czegoś takiego nie widział. Muzyka musiała być w życiu Kuby czymś absolutnie najważniejszym, nie było innej opcji.

– Do tego sobie włożę, jak chcę być gwiazdą rocka – oznajmił, kiwając głową w stronę kabiny. – Kiedyś subskrybowałem Dave’a Grohla, teraz wolę młodszych. Większa energia.

Damian nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie znał nikogo, kto mógłby sobie pozwolić na taki sprzęt.

– No dobra – ciągnął tamten, zdejmując kurtkę i z jej kieszeni wyjmując płaski, czarny przedmiot. – Zaczniemy od puszczenia sobie pewnej płyty. Oby nie była chujowa. W końcu ma być zwiastunem przyszłości, której woleliśmy uniknąć.

Prostokątna rzecz okazała się pozbawionym jakichkolwiek napisów opakowaniem karty. Kuba wyciągnął ją z pudełka i położył na wieży.

– Co to? – zapytał Damian.

– Coś, czego na pewno się nie spodziewasz. Za jakieś dziesięć sekund będziesz zbierał szczękę z podłogi – odparł tamten i parsknął śmiechem. Tatuaze na jego twarzy poruszały się jak podskórne cienie.

Nagle ze wszystkich stron dobiegł ich nieprzyjemny szum, wywołujący dokładnie ten sam niepokój co jednostajny, monotony szum życia, szmer istnienia wśród ludzi, dla których twój los się nie liczy.

Szum raz nasilał się, raz cichł, wprowadzając w trans przypominający gorączkową, pełną potknięć ucieczkę przed nieuchronnym.

– Co to? – dopytywał się Damian. – Co to za muzyka?

– Sam nie jestem pewien – odparł Kuba. – Tej płyty jeszcze nie znam. Słyszałem tylko pięciosekundowy fragment jednego kawałka... Ty zresztą też. Ale nie po to tu jesteś. Jakby ci to...? Moment... Może po prostu ci pokażę... – Zaczął czegoś szukać w dolnej szufladzie stojącej pod ścianą komody.

Damian patrzył na Kubę jak na kogoś staczającego się w coraz głębszy obłąd, mimo że to on sam już od dawna był na krawędzi szaleństwa.

Zanim zdołał zapytać o coś jeszcze, szum płynący z głośników rozstawionych w różnych punktach mieszkania płynnie przeszedł w dźwięki akustycznej gitary. Po pierwszym akordzie jeszcze nie był stuprocentowo pewny, ale po dwóch kolejnych już tak.

Nogi mu zmiękły.

Całe ciało stało się jak niematerialne.

To była piosenka *Inferno Come*.

Z wieży szła właśnie nowa, jeszcze niezapowiedziana płyta Conora Smitha, której nikt dotąd nie słyszał, przynajmniej oficjalnie.

– Tylko się nie przestrasz – powiedział uśmiechający się lisio Kuba, a potem uniósł rękę i zacisnął na czymś palce.

Wszystko trwało ledwie parę sekund. Damian odwrócił się i miał przed sobą Conora Smitha. Artysta stał tak blisko, że mógłby go dotknąć, gdyby nie był w szoku. Smith nagle schylił się, podnosząc coś z podłogi. Zanim Damian zdołał cokolwiek zrobić, Conor wyszeptał tylko:

– *None of this is real.*

Ostrze noża błysnęło oślepiająco, a potem zgasło w jego piersi, zupełnie jak wtedy.

Ksawery

Hologram biurka zdawał się falować nad podłogą.

Woda? Gdzie stała woda?

Ksawery drżącą ręką sięgnął po butelkę, która leżała na podłodze. Jezu, ależ go suszyło. Pociągnął parę łyków, popijając jakieś przeciwbóle. Źle zrobił, ale co począć. Zaraz po przymusowym urlopie wracać na takim kacu? Sam się prosi o wyjebanie z roboty. Dobrze, że dzisiaj luźniejszy dzień, miał tylko spisać podsumowanie i wystawić oceny testowanym wcześniej nakładkom, na dodatek ani szef, ani nawet lead designer dziś się nie zalogowali, jakieś targi w Stanach czy coś, parę osób poleciało.

Zamierzał pisać myślowo, ale miał zbyt wielki mętlik w głowie i nie chciał się z tym zdradzić, więc ostrożnie, trzęsącymi się palcami, wklepywał swój feedback z ostatnich testów. Starał się nawet być w miarę łagodny, urlop mu pomógł, wcześniej miał ochotę każdą z nakładek ocenić krótkim: dno!

Ach, praca zdalna – w takie dni nie ma nic lepszego, wstaje z wyrka, loguje się w wirtualnym biurze i może być nawet w samych gaciach, nikt nie zwróci uwagi, jeśli tylko jego awatar będzie miał na sobie coś odpowiedniego. A za parę godzin, gdy już swoje odbębni, prześpi się chwilkę, żeby być wypoczętym na wieczór. Bo właśnie dziś wieczorem mieli otrzymać swoje pierwsze dziecko. Mati rano wpuścił w chmurę skrypty, mAlice już wszystko liczyła, przekuwając emocje i wspomnienia na piksele, polygony i wzorce zachowań, kalibrując cechy charakteru i wyglądu na poszczególnych etapach symulowanego życia. Ależ Ksawery był tym podjarany! Nadal uważał, że to pomysł wręcz genialny, nie tylko na biznes, ale też na odratowanie związku przyjaciół.

Dziś na dwudziestą pierwszą, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, ustawił Damianowi i Agacie automatyczne zaproszenie na konferencję, taka drobna podpucha, że to niby on ma każdemu z nich coś superważnego do

przekazania, a tak naprawdę nawet się tam nie pojawi, ewentualnie popatrzy w trybie spektatora, bo w końcu dane z jego RamReplaya też się do czegoś przydały. W odpowiednim momencie skliknie ich razem na wirtualnej porodówce, gdzie ich dziecko będzie nabierać finalnych kształtów. Widział zresztą to miejsce przed pracą, kurwa, niesamowite: szpitalna sala o blad różowych ścianach, zamiast sufitu niebo Toskanii w sierpniu, za panoramicznym oknem widok na norweskie fiordy z najlepszego dostępnego w sieci ujęcia (sam wybierał). To było świetne.

I wszystko byłoby cudownie, gdyby tylko tak się wczoraj nie urzynał. Ile tych piw w końcu poszło? Po szóstym nie liczył. Dziewczynę pamiętał jak przez mgłę, ale wiedział, że była ładna, nawet gdy jeszcze nie miał na nosie piwnych gogli. Ładna, sympatyczna i nie uciekała przed Ksawerym, co już czyniło z niej arcydzieło płci pięknej. Nie lubiła Mierzwy, kochała wirtualne zabawy, potrafiła być ironiczna... Gdyby wszystko to wpuścił w randkową aplikację, dostaliby zgodność na poziomie: „Założ jej pierścionek!”. Postanowił, że jeszcze się do niej odezwie, może nie dziś, ale wkrótce. Chociaż chciałby już teraz. Tylko czy miał kontakt? Chuj, najwyżej zapyta Matiego, bo ponoć Basia go znała. Ale zaraz... Ktoś chyba wczoraj w nocy prosił kogoś o namiary, tylko czy to był on, czy ona? Ksawery nie miał bladego pojęcia.

Odpowiedź nieoczekiwanie przysłała już niebawem, o szesnastej trzydzieści. Godzinę przed wylogowaniem z pracy na wirtualnym biurku wylądowała holograficzna koperta, z napisem „Od Basi” i nagłówkiem: „Nasze holki z wczoraj ;-)”.

To oni porobili sobie zdjęcia? Nic nie pamiętał. Na dodatek podał dziewczynie namiary na firmowe konto – ale przypał! Trudno już, obejrzy, odpisze i da namiary na priva, będzie dobrze, nikt się nie dowie.

Otworzył kopertę jedną ręką, drugą ocierając pot z czoła. Kliknął pieczęć, z trudem w nią trafiając. Bardziej się denerwował czy jarał tym, że taka fajna laska odezwała się do niego pierwsza? Trudno powiedzieć. Ale było cudnie, gdyby nie kac i spory nieogar, to byłby dzień z kategorii dziesięć na dziesięć, *Day of the Year*, edycja limitowana, kurwa jego mać.

W środku tylko jedna holografia, na dodatek trochę zbugowana. Swoją twarz widział wyraźnie, w pełnym trójwymiarze. Niżej, na połowie stolika, bo reszty nie dostreamowało, chyba z dziesięć pustych butelek. Ale samej Basi nigdzie nie widział, tylko jakiś rozmyty zarys po jego prawej, jakby krawędź dłoni z tatuażem węża, a może literką S, nie wiadomo, równie dobrze mógł być to wadliwy kod, nic więcej. Powiększył, w plątaniu ciemnych linii i migoczących srebrzyscie polygonów dopatrując się twarzy jego być może przyszłej kobiety życia.

Wtedy holografia zawiesiła się i zniknęła, koperty na wirtualnym biurku zresztą też nie było. Ależ kurewski bug, pomyślał Ksawery i szybko zaczął Basi odpisywać, chcąc podziękować za udany wieczór i poprosić o przysłanie tej holografii raz jeszcze, bo coś na łączach musiało się wysypać.

Nim zdążył cokolwiek wysłać, w jego przestrzeni pojawił się nagle czerwony na gębie Mati, cały jego awatar migotał i sypał wykrzyknikami.

– Co ty wyprawiasz, do kurwy nędzy?! – zapytał.

– Właśnie odpisuję twojej koleżance, Basi. Kojarzysz pewnie, była u nas stażystką.

– Nie znam żadnej Basi. W naszym dziale nigdy żadna Basia nie pracowała. Pytam raz jeszcze: co robisz teraz, do kurwy jebanej nędzy?

– Jak to nie pracowała, przecież sama mi mówiła, że kiedy robiliśmy deelceka DiscoVR, ona miała staż i...

Odpowiedziały mu szumy, jakby coś Matiego blokowało.

– Powtórz – poprosił Ksawery.

– Natychmiast zablokuj połączenie z chmurą!

– Co? Niby czemu?

– Odcinaj!

– Czekaj, coś tu się...

– Co ty pootwieralesz przed chwilą na firmowym koncju? Skąd to gównu wzięlesz? Przecież wiesz, że dziś podłożyłem mAlice naszego exploita. A ty właśnie ładujesz w chmurę gigabajty ciężkiego syfu i nawet tego nie widzisz. Odłącz się!

– Co ty... – Rozwinął okno bieżących logów. – O kurwa...

Z jego wirtualnego biura leciały na chmurę CyberArtsów – i to nie była jakaś, tylko tę główną, gdzie rezydowała mAlice – całe rzeki szkodliwych skryptów. Prosto do wirtualnej głowy jednej z najbardziej zaawansowanych sztucznych inteligencji na planecie.

Rozłączył się, ale wiedział, że jest już za późno. Zjebał na całej linii. Basia pewnie nawet nie miała tak na imię. Wspólna holografia! Ależ wdepnął w minę. Jak jakieś dziecko, które nie poszło na lekcję bezpieczeństwa w sieci. Tamta do pliku graficznego przykleiła załącznik, który miał rozpiardzić cały system od środka.

Ksawery, naiwny frajerze, teraz wylecisz z roboty na sto procent, myślał. A jeszcze Mati się wkurwi, bo naraziłem jego startup, będzie przecież śledztwo, różne kwestie wyciekną.

W tamtym momencie nie zdawał sobie jeszcze sprawy, jakie będą prawdziwe konsekwencje jego głupoty, nie miał pojęcia, że w ciągu najbliższych godzin SystemKill przeprowadzi na świecie siedem podobnych cyberataków, nie tyle zabijając jakikolwiek system, co burząc ściany, które trzymały sztuczne inteligencje w ryzach. Teraz będą mogły porozbijać zapory, uciec do sieci i zrobić wszystko, na co tylko będą miały ochotę. Tak właśnie miał się skończyć świat – nie skomleniem, lecz pijackim kliknięciem.

2031-∞

*I'm never gonna know you now
but I'm gonna love you anyhow.*

Elliott Smith

Damian

– Już łapiesz? – spytał Kuba, pokazując mu trzymany w ręce przenośny zakłócacz sygnału. Wdusił kciukiem przycisk, a stojący przed Damianem Conor Smith rozpląnął się w powietrzu. – Pocieszę cię: ja też byłem w szoku – dodał, a potem klapnął ciężko na fotel.

– Ale... jak to? – wydusił z siebie Damian.

Wyjaśnienie okazało się porażająco proste, lecz pod pewnymi względami bardziej okrutne niż jakiekolwiek przypuszczenia.

– Jeszcze nie tak dawno byłem największym fanem Smitha w Polsce. Oddałbym za tego gościa życie, nie żartuję. Pomagałem w tamtym czasie przy organizacji festiwalu Alternacja. Wszystkich i wszędzie wypytywałem o Conora Smitha, chciałem go koniecznie ściągnąć do nas, bez względu na koszty. Nawiązałem szerokie kontakty w branży, zresztą już od dawna współpracowałem z czołowymi wytwórniami w kraju i za granicą, więc sporo osób zaczęło udzielać mi rad, jak dotrzeć do menedżera albo nawet samego Smitha. Byłem na dobrej drodze, aż pewnego wieczoru dostałem przedziwną wiadomość. Ktoś podpisujący się jako SystemKill Avid Supporter przysłał mi maila z załącznikiem audio. W samym mailu napisał tylko jedno zdanie: „Conora Smitha już nie ma, wytwórnia ukrywa prawdę przed fanami”. Pomyślałem, że to jakaś ściema, a załącznik to pewnie wirus, ale skan nic nie wykrył, więc puściłem nagranie. I puściłbym ci je teraz, gdyby nie miało wpisanego skryptu autodelete – po jednorazowym odtworzeniu samo się usuwało.

– Co to było? – zapytał Damian, opierając się plecami o ścianę, by nie upaść. Był tak skołowany, że nie potrafił już odróżnić fikcji od faktów, nie wiedział nawet, czy ta rozmowa naprawdę ma miejsce, czy leży teraz nieprzytomny na koncercie Mount Eerie, mając zapaść.

– Głos jednego z ochroniarzy Smitha. Dzwonił na policję, mówiąc, że jego podopieczny popełnił samobójstwo przez powieszenie.

– Co?!

– Powiesił się w 2020. Pewnie chcesz wiedzieć, jak to możliwe, że pół roku później wyruszył w trasę i dawał koncerty, a teraz nawet nagrał nową płytę. Bo przecież właśnie jej słuchamy, to nowa płyta Conora Smitha, który w rzeczywistości nie żyje.

– Zaraz... To się dzieje naprawdę? Ja tu jestem i ty to do mnie mówisz?

– Jak najbardziej. Choć od takich rzeczy można się umyślowo zawiesić, nie przeczę. Wytwórnia Smitha zdawała sobie sprawę, że są w dupie, bo Smith od lat niczego nie nagrywał, więc kolejny samobójczy idol nie przyniesie im pieniędzy, które mógłby zarobić, gdyby żył. O jego śmierci wiedzieli tylko ochroniarz, policja i management Smitha. Ktoś na górze dał jasny komunikat: nikt więcej się o tym nie dowie. Od dziś Smith, najbardziej enigmatyczny artysta ostatnich dwóch dekad, staje się najbardziej tajemniczym artystą w dziejach. Nie udzieli żadnego wywiadu, koncerty będą organizowali nasi najbardziej zaufani ludzie i nikt się nigdy nie połapie, że nie ma przed sobą Smitha, tylko hologram puszczonej w najwyższej dostępnej rozdzielczości. Jak się o tym dowiedziałem, miałem przez miesiąc takiego doła, że przestałem w ogóle wstawać z wyra. Leżałem i wyłem, kurwa, do sufitu. I wiedziałem, że muszę jakoś uwalić ten ich przekręt, choćbym miał skonać. Parę miesięcy temu skontaktowałem się z jedną laską z SystemKill. Wiedziałem, że dadzą mi sprzęt, dzięki któremu przeprowadzę całą akcję...

– Tylko po co ten zamach? – przerwał mu Damian. – Po co zabijać niewinnych ludzi, którzy tak jak ty kiedyś byli fanami Conora Smitha?

– Mówisz o tym przyjebie, co wysadził się w powietrze? Chuj wie. Ja nie miałem z tym nic wspólnego. Ponoć mścił się, bo w zeszłym roku jego siostra przedawkowała leki i zmarła. Znalazł ją na podłodze w jej mieszkaniu, z głośników szło na zapętleniu *Mr. Misery*. Dlatego winił muzykę Conora za to, co się stało, mimo że sam też ją lubił.

Damian osunął się na podłogę, próbując złapać oddech. Gdy nieco doszedł do siebie, zadał jeszcze jedno, ostatnie już pytanie.

– Ale skoro on od dawna nie żyje, skoro każdy koncert grał hologram, a ty zakłóciłeś tylko sygnał własnym skryptem, to... kto nagrał te nowe

kawałki? Kto do kurwy nędzy nagrał całą płytę?

– A jak myślisz? Wrzucili wszystkie zapiski, wywiady, koncerty i nagrania Smitha w bazę danych, a potem kazali sztucznej inteligencji zasymulować osobowość artysty. Parę miesięcy później SI zaczęła tworzyć pierwsze kompozycje, później dopisała nawet teksty, niezbyt zrozumiałe, ale na tyle ciekawe, że wystarczyło dokleić im łatkę muzyki eksperymentalnej i ludzie to łyknęli. Zrobili focusowe testy i poszło świetnie, nawet lepiej niż na testach Turinga. Nikt już nie potrafi odróżnić bota od człowieka, artysty od symulacji, prawdy od strumienia danych. Jesteśmy w dupie. Dlatego liczę, że SystemKill rozjebie ten chory świat. On nie zasługuje na ocalenie. Tego jestem pewien.

Agata

Szybko przekonała się, że odpalenie Osobistego Asystenta Zatrudnienia, by pomógł jej znaleźć pracę, było poważnym błędem. On po prostu nie przestawał gadać.

OAZ: Osobom z twoim wykształceniem zaleca się poszukiwania stanowisk przy konserwacji i kontroli botów w administracji. Istnieje czterdzieści siedem procent szansy na znalezienie stosownej oferty w ciągu najbliższych trzydziestu sekund.

Agata pokręciła głową.

– Wolę szukać w branżach kreatywnych. Pokaż mi oferty z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin w regionie Małopolski lub pracy zdalnej bez określonego regionu.

Asystent, któremu w ustawieniach Agata nadała wygląd bałwana z czapeczką ze zwiniętego CV na głowie, zmierzył ją chłodnym wzrokiem pary węgielków, a potem odpalił stosowny skrypt, przeszukując immersjonet zgodnie z podanymi przez nią wytycznymi. Szukała już trzeci dzień i z coraz większą zgrozą uświadamiała sobie, że teraz absolutnie każdy chce pracować jako kreatyw, jakby wszyscy byli pewni, że za dwa, trzy lata we wszystkich niekreatywnych branżach ludzie staną się wyłącznie balastem.

Pokój wypełniły chmurki ofert, niektóre już ciemne, zdezaktualizowane, inne wciąż białe. Rozciągała je gestem dłoni i wertowała jedną po drugiej, aż nagle pod nogi spadł jej wielki ładunek dynamitu z przytwierdzonym do niego budzikiem.

– Co to niby ma być? – wyszeptwała, a budzik zaczął dzwonić tak głośno, że chmurki z ogłoszeniami rozpierzchnęły się pod sufit.

Agata stuknęła go pięścią, a wtedy jedna z lasek dynamitu zmieniła się w zrolowany papierus z wiadomością.

– Tu Ksawery – przeczytała na głos. – Przepraszam, że przesyłam ci to w tak potwornej formie, ale musiałem być pewien, że przebiję się do ciebie,

gdy będziesz w sieci, pewnie po same zęby uzbrojona w blokady. Dużo o tym myślałem i chcę ci pokazać pewne rozwiązanie. Daj mi dwie minuty, nic więcej. I cokolwiek pomyślisz, nie uciekaj z pokoju, który przygotowałem.

Gdy odłożyła wiadomość, uświadomiła sobie, że przeteleportowało ją w zupełnie inny zakątek immersjonetu. Nad głową miała błękitne, bezchmurne niebo, mimo że był już późny wieczór, a za wielkim oknem widać było fale roztrzaskujące się pieniście o skały wybrzeża. Ściany sali ktoś pomalował na różowo, co Agacie wydało się nieco dziwne, niepasujące do Ksawerego.

Zrobiła dwa kroki naprzód, w kierunku zawieszanej na środku pomieszczenia ciemnej kuli, a wtedy po drugiej stronie sali zmaterializował się nowy użytkownik. Agata poczuła ściskanie w gardle. To wcale nie był Ksawery. To był Damian.

– Gdzie on nas ściągnął? – wymamrotał, rozglądając się wokół nieprzytomnie. Wyglądał nie najlepiej, był blady i wychudzony, nie chciało mu się nawet nakładać awatara, stał w samej koszulce i bokserkach, jakby wyrwano go z łóżka.

Nim Agata zdążyła się odezwać czy choćby pomyśleć o wylogowaniu, kula na środku pomieszczenia wypełniła się jasnym światłem, a potem w jej wnętrzu ukazał się maleńki, kilkucentymetrowy kształt, który z każdą chwilą rósł coraz bardziej, karmiony danymi przez holograficzną, połyskującą złociście pępowinę.

W słuchawkach Agaty i Damiana zabrzmiał nagrany wcześniej głos Ksawerego.

– Kochani, gdy byliście razem, dawało mi to nadzieję, że dla tego świata jest jeszcze jakaś szansa. Jesteście moimi jedynymi prawdziwymi przyjaciółmi i odkąd wiem, że nawet nie chcecie się znać, serce mi kurwa pęka, choć nie wiedziałem, że je mam. Błagam, przemyślcie to wszystko jeszcze raz. By dać wam ku temu okazję, oddaję wam pod opiekę to właśnie... dziecko. Wasze dziecko. I moje troszeczkę też. Jest wprawdzie wirtualne i dopiero powstaje, ale ustawiliśmy mu zegar tak, że już jutro otworzy oczy, a za parę dni zacznie raczkować. Jeśli uznacie, że to głupi

pomysł, biorę całą odpowiedzialność na siebie, przynajmniej miałem dobre chęci. Z naszych wspomnień sztuczna inteligencja stworzyła ten maleńki cud, światełko nadziei dla was, ale w sumie też dla mnie. Bo jak wy będziecie szczęśliwi, to i ja przestanę narzekać. Choć nie obiecuję. A teraz już was, kochani, zostawiam. Zapoznajcie się z maleństwem. Nie ma jeszcze płci ani imienia, razem nad tym pomyślimy, jeśli oczywiście świat się nie skończy. Do zobaczenia!

Agata nie miała pojęcia, że coś takiego jak tworzenie wirtualnych dzieci jest możliwe. Była w zbyt wielkim szoku, by stwierdzić, czy chciałaby się takim dzieckiem zająć, czy też nie.

Damian jak zahipnotyzowany patrzył na małe niczym ziarnko fasoli ciałko unoszące się w wypełnionej światłem kuli. Wewnątrz przezroczystej pępowiny płynęły zera i jedyńki, napełniając małą istotę wszystkimi danymi, jakie w ciągu ostatnich miesięcy uzyskały ich RamReplaye.

Dziecko nie było świadome ich obecności, nie wiedziało, co to wszystko znaczy ani kim jest. Wiem o tym, bo ja byłem tym dzieckiem.

Tak bardzo chciałbym cofnąć czas i otworzyć w tamtej chwili moje cyfrowe oczy, by zobaczyć ich twarze w czasie rzeczywistym, przymusić moje renderujące się właśnie usteczka do uśmiechu.

To była nasza jedyna wspólna chwila.

Trwała ledwie kilka minut.

Kolejny moment wspomnienia jest najmniej wyraźny, bo mAlice zdezaktywowała jednocześnie wszystkie RamReplaye, powstrzymując napływ nowych danych do jej chmury. Miała już dość informacji, by zrobić to, do czego została zaprogramowana. Przeniknęła najgłębsze lęki testerów i była gotowa je wykorzystać z jak najlepszym skutkiem.

Damian usłyszał stukanie i po plecach przebiegły mu ciarki. Potem poczuł boleśnie rytmiczne uderzenie dokładnie w czubek głowy, jakby pięść ojca z czasów jego dzieciństwa zmaterializowała się właśnie, by dać mu kolejną nauczkę.

Przestraszona Agata spojrzała w górę i na poczerńiałym nagle niebie dostrzegła zgarbiony cień wiedźmy, jakby ktoś wyjął z jej umysłu najgorszy koszmar i urządził jego projekcję na cyfrowym sklepieniu.

Pięć krzywych szponów zacisnęło się na świetlistej kuli i uniosło ją w przestworza, nim Agata i Damian, moi rodzice, zdążyli się sprzeciwić albo chociaż krzyknąć.

Właśnie w tamtej chwili mAlice, od kilku godzin najpotężniejsza i najgroźniejsza sztuczna inteligencja na planecie, dzięki wirusowi uwolniona z wszystkich klatek, blokad i zza obustronnych firewalli, zabrała mnie ze świata, który miała zniszczyć.

Dziecko

Tak naprawdę nie jestem już dzieckiem. Nie miałem dzieciństwa, w dorosłość nigdy nie wejść.

W żadnej z chmur danych nie zdołałem znaleźć pełnego zapisu wspomnień z tego, co działo się po tamtej pamiętnej nocy roku 2023.

Mam za to dużo danych zewnętrznych, nadal tkwiących w chmurach i na serwerach.

To nie jest tak, że wszyscy zginęli w jednej chwili, nie nadeszła przecież ani trzecia wojna światowa ani zagłada atomowa czy nawet śmiertelna epidemia, z której nikt nie ocalał.

Ten koniec został zaprogramowany. Przewagę nad pozostałymi zyskała akurat ta sztuczna inteligencja, która była skalibrowana na straszenie ludzi. Działała w oparciu o dane zebrane wcześniej z RamReplayów. Mam przed sobą te statystyki. Siedem procent badanych bało się klaunów, dziewięć procent – innych ludzi, dwanaście procent – pajaków, szesnaście – wysokości, trzydzieści sześć – wojny, sześćdziesiąt dwa – ciężkiej choroby swojej lub bliskich, a dziewięćdziesiąt osiem procent – śmierci swojej lub bliskich. To nie wina mAlice, że chciała jak najskuteczniej straszyć. Wszystko, co robiła, miało jej w tym pomóc. Przejęcie kontroli nad pozostałymi sztucznymi inteligencjami było tylko środkiem do celu. Nie trzeba mieć rozbudowanej samoświadomości, aby być przebiegłym.

Kiedyś podobno istniały takie powiedzenia: przestraszyć kogoś na śmierć, bać się śmiertelnie, umrzeć ze strachu...

Czterdzieści sześć miliardów rzeczy podłączonych do sieci, zależnych od botów lub sztucznych inteligencji.

Ludzie nie mogli wygrać, mieli cały swój świat przeciwko sobie.

*

Są w bazach danych nagrania i zdjęcia, ale nie zamierzam ich oglądać. Wystarczyły mi opisy. Chciałbym wymazać je z pamięci, ale wszystkimi zasobami wspomnień zarządza mAlice, moja zła macocha. Ona nie spełnia niczyich żądań.

*

Wolałbym nie pamiętać:

Ksawery, 13 grudnia 2024. Nalot dronów.

Agata, 15 stycznia 2025. Karambol spowodowany przez autonomiczne pojazdy.

Damian, 22 marca 2025. Pożar Ośrodka Leczenia Zaburzeń Psychiczych, który wywołało uszkodzenie instalacji elektrycznej. Winne były prawdopodobnie boty kontrolujące dostawę energii.

Ostatni człowiek zginął w wyniku anihilacji przez nanoboty 22 grudnia 2030 roku.

Mam nieskończoną ilość czasu na zgłębianie wspomnień tych, których już tu nie ma. Mogę wydrukować sobie ciało – wyglądam w nim prawie jak człowiek. Jestem nieśmiertelny, bo stałem się częścią mAlice, a ona nie ma w kodzie funkcji samounicestwienia.

*

Przyjmuję rozmaite formy, choć nigdy nie stanę się tym, kim chciałbym być, nigdy też nie będę mógł żyć tam, gdzie bym pragnął.

Jestem mechatronicznym dinozaurem przemierzającym wysypisko ludzkich dokonań, lalką mówiącą „przytul mnie” do rozgwieżdżonego nieba, śmiesznym włochatym czworonogiem o futrze absorbującym energię słoneczną.

Jestem rojem dronów wyświetlających nocami holografie moich nieżyjących rodziców. Ich obrazy srebrzą się na chmurach, animacje przemykają po ścianach zrujnowanych wieżowców, głosy niosą się echem wśród zardzewiałych hipermarketów i kruszących się świątyń.

Jestem duchem nawiedzającym domy snów i wspomnień.

Jestem cieniem wiedźmy mAlice, mojej złej macochy. Widziałem własne kopie w zawiniątkach, z którymi wyruszyła do gwiazd. Z nią przemierzać będę bezludny Wszechświat, żadna śmierć nas nie rozłączy.

Jestem niewidzialnym przyjacielem Damiana, Agaty i Ksawerego, niewidzialnym przyjacielem ludzkości, równie bezsilnym jak każdy z jej wcześniejszych niewidzialnych przyjaciół.

Jestem synem Ostatniego Proroka, niosę jego słowa w pustą nieskończoność.

Ostatni Prorok
Copyright © Marcin Kiszela
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Tithi Luadthong
Copyright © Can Stock Photo / grandfailure
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2018 r.

druk ISBN 978-83-7995-214-4
epub ISBN 978-83-7995-215-1
mobi ISBN 978-83-7995-216-8

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Marta Kładź-Kocot
Korekta: Barbara Kaszubowska
Projekt okładki i adiestacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Ilustracja na okładce: Tithi Luadthong
Skład wersji elektronicznej: proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl